ROK XIII NR 3 (564) LONDYN, MARZEC 1959 R. CENA 3/-

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

SPRAWY I LUDZIE

OPIEKUNOWI UCHODŹSTWA POLSKIEGO, J. E. Ks. Arcybiskupowi JÓZEFOWI GAWLINIE, składają współpracownicy i czytelnicy ŻYCIA najlepsze życzenia na Dzień Patrona. — Wydawnictwo pod naczelną dyrekcją J. E. Ks. Arcybiskupa **SACRUM POLONIAE MILLENNIUM** w Rzymie ogłosiło V tom, który zawiera m.in. pracę prof. O. Haleckiego o wysiłkach na rzecz zjednoczenia Kościoła Wschodniego z Zachodnim — „od Florencji po Brześć".

✱

„DOCUMENTATION CATHOLIQUE" (15.2.59) podaje materiały dotyczące zapowiedzianego **Soboru Powszechnego**; teksty licznych wypowiedzi Ojca św. (m. in. apel Arcybiskupa Roncalli z r. 1934 w Bułgarii do „braci oddzielonych"); dowodzące rzetelnego zainteresowania reakcje przedstawicieli innych wyznań (Patriarchy antiocheńskiego Teodozego VI; Metropolity Antoniego Baskira z N. Jorku; teologa prawosławnego A. Swietłowa; pastora Boegnera, w-przew. Światowej Rady Kościołów protestanckich i jej sekr. gen. Dr. Visser't Hoofta; biskupa Ivor Watkinsa, przew. Komisji Anglikańskiej dla akcji zjednoczeniowej; pastora prof. Jean Bosc z Paryża). Numer zawiera prelekcję Arcybiskupa Montiniego „Po co szkoła chrześcijańska?".

✱

IPAK — INSTYTUT POLSKIEJ AKCJI KATOLICKIEJ w W. Brytanii odbył w świetlicy Kościoła Polskiego na Devonii w Londynie XIII Zjazd Rady. Tematem dyskusji była „odpowiedzialność katolików za sprawy publiczne" (ref. w. prez. J. Płoski); zgodnie nalegano na konieczność angażowania się katolików, także w życie polityczne, na terenie polskim i brytyjskim (w kuluarach komentowano dociekliwie pochodzenie słowa „idiota" — z greckiego: człowiek nie interesujący się sprawami publicznymi); Zjazd ze specjalnym naciskiem wyrażał konieczność stałej i wytężonej współpracy z młodzieżą; zwracano uwagę na wciąganie do pracy Polaków obywateli brytyjskich; podkreślano, że aktywność katolicka musi być oparta na „życiu życiem Kościoła w świecie współczesnym"... Na wniosek dyr. A. Onyszkiewicza, Zjazd uchwalił specjalne podziękowanie poprzedniemu dyrektorowi B. Podhorskiemu a za współpracę w „CZYNIE KATOLICKIM" ks. ks. J. Gołąbowi i J. Przybyszowi oraz pp. M. Małachowskiej i mjr. J. Kijowskiemu. Sprawozdania z terenu wskazały na popularność akcji charytatywnej, zwłaszcza na rzecz Kraju, umiejętnie wykorzystywanej dla cementowania pracy Kół. Omawiano trudności finansowe, których pokonanie wymaga zwiększonej ofiarności społecznej (w Birmingham, gdzie Koło Katolickie liczy ponad 500 członków, zebrano na Dom Katolicki ponad £ 8.000!). **KSIĘGARNIA RUCHOMA IPAK (151, Antrobus Road, Birmingham 21)** gotowa jest przyjmować zaproszenia na przyjazdy i urządzanie wystaw książki katolickiej.

✱

„DZIEŃ PAX ROMANA" w r. 1959, proklamowany jak co roku na św. Tomasza, 7 marca, rzuca hasło „jedności społeczności uniwersyteckiej w Chrystusie". Zapowiedziano zbiórkę na fundusz, który ma umożliwić zorganizowanie Zgromadzenia Międzyfederalnego Pax Romana w Azji w grudniu b.r.

✱

Opinia na uchodźstwie, na ogół apatyczna wobec wewnętrzno-politycznych problemów emigracyjnych, niepokoi się długotrwałością **KRYZYSU POLITYCZNEGO**. Tarcia dotyczące spraw „wczorajszych" zniechęcają społeczeństwo. Bezwład kierownictwa i kryzysy podcinają i tak słabą akcję Skarbu Narodowego. Sytuacja międzynarodowa wymaga działania.

Warto chronić najistotniejsze osiągnięcie Aktu Zjednoczenia — zebranie polityków „przy wspólnym stole obrad". Ale dla wykonania głównego zadania emigracji — wszechstronnej pomocy dla narodu w Kraju, trzeba zasadniczych zmian w konstrukcji i formach działania politycznego, reformy rzetelnej i co do założeń i co do metod. Porzucenie fikcji, samorząd społeczny, wybrane przedstawicielstwo, związanie kierownictwa ze społeczeństwem, w działaniu związek z rzeczywistością — oto praktyczne postulaty uzdrowienia sytuacji.

✱

KOMISJA EUROPY ŚRODK.-WSCH. RUCHU EUROPEJSKIEGO przeprowadziła debatę na temat „Zagadnienie Europy Środkowo-Wschodniej w związku z sowiecką ofensywą dyplomatyczną w sprawie Berlina i Niemiec" (w Europe House; przew. lord St. Oswald; sprawozdawał b.min. V. V. Tilea; zabierali głos m.in.: J. Biggs-Davison M.P., lord Birdwood, A. Rose, Sir E. Beddington-Behrens, amb. E. Raczyński, M. Gavrilovic, A. Constantinescu, płk. J. Kowalewski, I. Ratiu, S. Grocholski). Niemal jednogłośnie wyrażono przekonanie, iż mocarstwa zachodnie powinny wystąpić z ofensywą dyplomatyczną, proponując „rozsunięcie frontów" (disengagement) na obszarze obejmującym Niemcy oraz stopniowo wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Ze strony brytyjskiej padły ostrzeżenia pod adresem rewizjonistów niemieckich. Zebranie dało pełne poparcie sprawie uznania przez Zachód granicy Odry-Nysy jako ostatecznej.

✱

„THE CENTRAL EUROPEAN FEDERALIST" (półrocznik wydawany przez Polsko-Czechosłowacki Komitet Studiów w N. Jorku — **Czechoslovak-Polish Research Cttee, P.O. Box 205, Jackson Heights, N.Y., USA**; red. A. Rudzki i V. Brzorad, sekr. red. L. Teclaff; prenum. 1 dol.) jest pismem w języku angielskim poświęconym sprawie przyszłości Europy Środkowo-Wschodniej w zjednoczonej Europie. Długofalowym celem pisma jest, aby wolnościowe koncepcje federalne dla Europy kiełkowały w wolnym świecie i przenikały do naszych krajów.

W ostatnim numerze artykuły: dr. P. S. Wandycza oraz dr. L. Feierbranda o zbliżeniach polsko-czeskich w r. 1921 i w 1940-42: ś. p. Huberta Ripki — wykład z r. 1953 o współpracy polsko-czeskiej w przyszłej Europie; A. Korbońskiego — artykuł o położeniu gospodarczym Polski; apel Federacji Wolnych Dziennikarzy z ESW w sprawie Pasternaka i prześladowanych dziennikarzy węgierskich; liczne recenzje.

✱

„POLAND & GERMANY" za I kwartał 1959 przynosi artykuły: K. Grabowskiego o sprawie berlińskiej; T. M. Machrowicza o granicy Odry-Nysy w świetle prawa międzynarodowego; A. K. Tomlinsona argumentujący konieczność czujności wobec Niemiec. W dziale „Facts & Figures" — demograficzne dane statystyczne Ziem Zachodnich (K. Glabisz). Informacje o debatach w parlamencie i prasie brytyjskiej po rewizjonistycznych wystąpieniach Bonn. Recenzje książek: Vansittarta; Velan'a — o Niemczech przez Niemca katolika i przeciwnika pruskiej polityki; Jakscha — napastliwe uzasadnianie roli Niemiec w Europie Środkowo-Wschodniej. — Usterką pożytecznego wydawnictwa jest chyba pewna monotonia w krytyce polityki niemieckiej i uzasadnianiu praw Polski do Ziem Zachodnich. Brak rozważań o aktualnych próbach rozwiązań szerszych sprawy niemieckiej w Europie (np. „disengagement") oraz o rozwiązaniach przyszłościowych. Czy niemożliwe jest poszukanie pozytywnych głosów niemieckich? Warto-by dodać noty o autorach.

✱

Naród w świecie czy w zaścianku? **„HORYZONTY"** paryskie poruszają tę sprawę w artykule **Wojciecha Zaleskiego** (z Madrytu) p.t. „Rzecz o narodzie": odpowiedź na powiedzenie Gołubiewa, że „Polska jest tylko nad Wisłą". J. Barański (z Konga Belg.) pisze o „Dwu obliczach władzy" (demokracja — dyktatura); o Soborze Powszechnym na tle światowych zadań Kościoła pisze redaktor; wśród wielu ciekawych artykułów: „Zagubiona ambasada", „Zjazd na Kremlu", „Rewolucja na Kubie", „Zbytki z zabytkami", odkrywczy szkic M. Kasterskiej o na ogół mało rodakom znanej poetce francuskiej Marii Krysińskiej — Ballanger. **J.**

✱

Przyjaciele proszą o wspomnienie zmarłego w ub. r. polskiego pianisty, kompozytora i wirtuoza. **SEWERYN TUREL**, b. prof. Konserwatorium Lwowskiego, ochotnik do PSZ we Francji, jeniec (autor w niewoli „Polskiej Rapsodii"), grał i komponował w Ameryce. Był wierzącym i praktykującym katolikiem; patriotą-obywatelem; zasłużonym popularyzatorem muzyki klasycznej i propagandzistą muzyki polskiej.

SPIS TREŚCI

ŻYCIE —

Od początku istnienia ŻYCIE, tygodnik w różnych wydaniach i miesięcznik, nie było pismem finansowo samowystarczalnym. Deficyty pokrywały Fundacja „Veritas" i Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas". W poprzednich okresach pomagały je pokrywać subwencje i dotacje naszych Władz Kościelnych z J. E. Ks. Arcybiskupem J. F. Gawliną na czele oraz ofiary różnych przyjaciół. Ta pomoc była wyrazem przeświadczenia o potrzebie organu katolickiej opinii na wyższym szczeblu intelektualnym.

Przeświadczenie o potrzebie pozostało, ale w ostatnich latach subwencje ustały. Przyzwyczajono się do tego, że ŻYCIE należy popierać przez współpracę i zainteresowanie, ale nie przez prenumeratę i pomoc w kolportażu. **Ciężar deficytu spadł wyłącznie na K. O. W. „Veritas".**

W styczniu 1958 r. ŻYCIE stało się **miesięcznikiem.** Zmianę tę podyktowaną już wówczas także względami oszczędnościowymi objaśniał prospekt, w którym pisaliśmy m. in.:

„Dążeniem naszym będzie, by ŻYCIE stawało się w możliwie konkretnym sensie wyrazicielem stanowiska, zainteresowań i potrzeb katolickiej inteligencji polskiej na emigracji. Tam, gdzie procesy jeszcze nie dojrzały, pismo winno być pomocne w formułowaniu stanowiska i precyzowaniu zainteresowań i potrzeb. Ambicją naszą wspólną — to jest pisma i czytelników — będzie, by ŻYCIE było platformą wymiany myśli i informacji z ośrodkami inteligencji katolickiej w Kraju.

NACZELNYM ZADANIEM „ŻYCIA", jako pisma katolickiego, zainteresowanego wszelkimi sprawami Boga i ludzi, służącego na polskim odcinku sprawie zbliżenia ludzi do Boga — będzie pogłębienie świadomości naszego uczestnictwa w życiu Kościoła...

Realizacja tych dążeń następować będzie z konieczności stopniowo, jak każde DZIEŁO ZBIOROWE. Sukces eksperymentu, trwanie i rozwój ŻYCIA w no-

WILLOUGHBY DEWAR

„Od polskich przyjaciół i towarzyszy pracy w Bournemouth & District Anglo-Polish Society" napisali Polacy na wstędze wieńca. Na trumnie położono Złoty Krzyż Zasługi... Wieści z prowincji idą długo, gdy odchodzi człowiek, który nie szukał nigdy rozgłosu. Ale w osobie ś.p. Willoughby Dewar, zmarłego w dniu Niepodległości, stracili Polacy wiernego od pół wieku przyjaciela naszej sprawy.

Willoughby Dewar chciał pamiętać, że przodkowie jego znaleźli schronienie przed prześladowaniami i gościnę w tolerancyjnej Polsce Zygmunta Augusta. Paradoksy historii: dług wdzięczności wygnanych przez katolicką królową Marię spłacał Polakom w Anglii XX wieku wielbiciel św. Tomasza, Chestertona i Belloca.

Urodzony w 1886 roku na wyspie Jersey, wykształcony w Oksfordzie, Wi-

(C. d. na str. 4)

IDZIEMY DALEJ, CZY ZAWIESZAMY?

wej postaci jako miesięcznika będzie zależeć nie tylko od wysiłków redakcji i pomocy bliższych i dalszych kręgów przyjacielskich, ale także od postawy czynnego zainteresowania ze strony czytelników, a więc społeczeństwa, które pismo wesprze **poparciem moralnym i materialnym.**

„ŻYCIE" — przyszłość pisma to TEST PODWÓJNY:

po pierwsze — zawartość jego łamów odpowie na pytanie, czy znajdą się na emigracji pióra chętne, by dać nie tylko „katolicki" materiał, ale katolickie spojrzenie na rzecz, by wychodząc z katolickich założeń ogarnąć najistotniejsze zagadnienia nas interesujące;

po drugie — jeżeli miesięcznik znajdzie echo i poparcie, będzie to znaczyło, że emigracji a zwłaszcza inteligentom na emigracji problematyka katolicka jest bliska a jej chwytanie i pogłębianie potrzebne."

Minął rok z górą. Osiągnęliśmy **dostrzegalny postęp** w tym „teście podwójnym", w treści i formie zawartości pisma, w poszerzeniu grona współpracowników i zainteresowanych. Oto pełny wykaz alfabetyczny tych, którzy stale czy doraźnie pisali w ciągu ostatnich 14 miesięcy: **Franciszek Arciszewski, Irena Bączkowska, o. Feliks W. Bednarski, ks. Stanisław Bełch, Jan Bielatowicz, o. I. M. Bocheński, Władysław Bogucki, o. Dunin-Borkowski, Krystyna Borowska, Aleksander Bregman, Andrzej Busza, Ludwik Buyno, Maciej Cybulski, Stanisław Czechanowski, Leon Czosnowski, Marian Czuchnowski, Antoni Dargas, J. Daszkiewicz, Wojciech Dłużewski, Michał Dobriański, Magdalena Dubanowiczowa, Tadeusz Felsztyn, ks. Antoni Filipiak, Ewa Gieratowa, Jędrzej Giertych, Maciej Giertych, o. Władysław Giszter, Seweryn Leszczyc-Grabianka, Stanisław Grocholski, Wacław Grubiński, Juliusz Grzędziel, Alfred Holiński, Irena Hradyska, Irena Huml, Adam Jarosiński, Roman Jasieńczyk, ks. Walery Jasiński, Władysław Jelonek, Józef Kisielewski, Alicja Kisielnicka, Leon Koczy, Tytus Komarnicki, Janina Kościałkowska-Węgrzyńska, Zofia Kozarynowa, Józef Kozłowski, Leszek Krajewski, Tadeusz Krasoń, Wanda Kujawska, Marian Kukiel, Jan Kułakowski, Antoni Lanckoroński, Janusz Leszczycki, Zygmunt Ławrynowicz, Władysław Łęski, Stefan Łochtin, Andrzej Malkiewicz, Mira Małachowska, Jan Michalski, Aleksander Milker, Zofia Montana, Stefania Niekraszowa, Zofia Niezabytowska, Beata Obertyńska, Andrzej Onyszkiewicz, Pakenham, ks. Janusz St. Pasierb, Mieczysław Paszkiewicz, Czesław Polechowicz, Jadwiga Pomorska, Edward Pomorski, Antoni Pospieszalski, Bronisław Przyłuski, Jan Radomyski, Józefa Radzymińska, Zofia Salachowa, Michał Sambor, Teresa Skórzewska, ks. Wojciech Sojka, Robert Speaight, Tadeusz Stark, Augustyn Steffen, St. Oswald, Stanisław Szydłowski, Marian Bohusz-Szyszko, Henryk Czesław Śliwiński, Florian Śmieja, Wit Tarnawski, Tymon Terlecki, Anna Tokarska, Janina Tokarska, Jan Tokarski, Wiktor Tomaszewski, Wiesław Toporowski, Stanisław Bóbr-Tylingo, Władysław Tylka, ks. Władysław Urban, Wojciech Wasiutyński, Zdzisław E. Wałaszewski, Piotr Wandycz, Aleksander Wasung, Władysław Wielhorski, Eugeniusz Zaleski, Jerzy Zdziechowski, Tadeusz Ziarski, Jerzy Żarnecki, Halina Żeleńska, Halina Żuchowska.**

Echa świadczą o **rosnącym powoli zainteresowaniu.** Wstrzymywaliśmy się z reklamą, uważając, że pismo powinno najprzód osiągnąć jaki taki poziom.

Niestety, za **poparciem moralnym nie szło poparcie materialne.** Ostatnio zaś zbieg trudności niezależnych od wydawnictwa stawia pod znakiem zapytania możliwości dalszego pokrywania niedoborów, bez pomocy z zewnątrz. Spadła gwałtownie chłonność rynku emigracyjnego na polskie książki i pisma; zjawisko pomieszania pojęć co do zadań uchodźstwa i współzależne z tym objawy zobojętnienia na polskie poczynania emigracyjne dotknęły może najsilniej polską akcję wydawniczą; duże prace Ośrodka w zakresie pomocy książkowej spotkały się nagle z nieprzewidzianymi trudnościami...

W rezultacie **braknie środków, by zdobyć czas** na stopniowe likwidowanie deficytu ŻYCIA przez zwiększenie prenumerat, sprzedaży i szukanie pomocy.

Fundacja „Veritas" i Kierownictwo K. O. W. „Veritas" oraz zespół przy ŻYCIU muszą, wobec tego, otwarcie poinformować wszystkich naszych Przyjaciół, Współpracowników i Czytelników ŻYCIA, że już w tej chwili **nie stać Ośrodek dłużej na dźwiganie ciężaru niedoboru finansowego.**

TRZEBA BĘDZIE WYDAWANIE „ŻYCIA" ZAWIESIĆ, JEŻELI W BARDZO SZYBKIM TERMINIE PISMO NIE UZYSKA ZNACZNIEJSZEGO NAPŁYWU PRENUMERAT I OFIAR.

Ażeby stać się samowystarczalnym, ŻYCIE potrzebuje co najmniej 600 nowych prenumerat (względnie bardzo znacznego zwiększenia sprzedaży). Ponieważ znalezienie tak dużej liczby indywidualnych czytelników jest trudne w ciągu paru miesięcy, potrzeba także pomocy w drodze ofiar od tych, których na to stać, aby niezwłocznie znaleźć pokrycie dla deficytu. Ofiary na **FUNDUSZ „ŻYCIA"** w wysokości £ 500 pozwolą zdobyć czas na przeprowadzenie w ciągu roku bieżącego kampanii o dalsze trwanie pisma.

Od reakcji naszych przyjaciół i społeczeństwa zależeć będą ostateczne decyzje. Zwiększenie prenumerat i ofiary na **FUNDUSZ „ŻYCIA"** (listę ofiarodawców zamieścimy w naszych pismach) będą praktyczną odpowiedzią, czy przeświadczenie o potrzebie ŻYCIA wyrazi się czynnie, czy stać nas wszystkich razem na pismo, które zbiorowym wysiłkiem powinno i może sprostać postawionym zadaniom. Znaczenie sprawy wszyscy doceniamy.

Ks. Stanisław Bełch, Jan Bielatowicz, Olgierd Czarliński, Leon Czosnowski, Stanisław Grocholski, Józef Jasnowski, Andrzej Jonscher, Zygmunt Ławrynowicz, Andrzej Malkiewicz, Mieczysław Paszkiewicz, Antoni Pośpieszalski, Paweł Skwarczyński, Florian Śmieja, Zdzisław E. Wałaszewski, Janina Wiśniewska, Halina Żeleńska.

FUNDACJA VERITAS:
Adam Kosiba, Wojciech Dłużewski

K. O. W. VERITAS:
Józef Kisielewski

T u p r o s z ę o d c i ą ć

Zamawiam/odnawiam... prenumeratę(y) „ŻYCIA" ....

....

(wg danych na str. 35)

Przesyłam sumę ....

NA FUNDUSZ „ŻYCIA"

Imię i nazwisko: ....

Adres: ....

CHCĘ, ŻEBY PISMO NADAL WYCHODZIŁO!

Dla przekazania znajomym

Zamawiam/odnawiam... prenumeratę(y) „ŻYCIA" ....

....

(wg danych na str. 35)

Przesyłam sumę ....

NA FUNDUSZ „ŻYCIA"

Imię i nazwisko: ....

Adres: ....

CHCĘ, ŻEBY PISMO NADAL WYCHODZIŁO!

SPRAWY I LUDZIE

(Ciąg dalszy ze str. 2)

lloughby Dewar był dziennikarzem, politykiem, działaczem samorządowym i społecznym. Miał dwa przywiązania, do ziemi i natury oraz do Polski. Jego rodzina przywędrowała przed wiekami ze Szkocji do Hampshire. Póki siedzieć mógł w domu rodzinnym, był czynny w organizacjach lokalnego samorządu, w życiu społecznym i politycznym. Jako b. kombatant pierwszej wojny światowej, założył oddziały British Legion w Enham i Hurstbourne Tarrant. Założył miejscowe Stowarzyszenie Liberałów i przewodniczył mu. Był współautorem ustawodawstwa ochrony ptaków.

W dziennikarstwie zajmował się publicystyką społeczną i literacką. Współpracował w różnych okresach z „Saturday Review", „Times", „Everyman", „Outlook", „Time & Tide", był zastępcą redaktora „XIX-th Century". W partii liberalnej orientował się na Asquitha, nie Lloyd Gorge'a. Współpracował w wydaniu studiów polityczno-historycznych.

Polską interesował się zawsze; przyjaźni polsko-brytyjskiej poświęcił swoje ostatnie lata. We wspomnieniach pisał o radości, jaką mu sprawił „powrót Polski do niepodległego bytu, w czym widziałem tryumf sprawiedliwości. Nie znajdowałem zrozumienia dla pro-niemieckich i pro-rosyjskich sympatii, które wkrótce pochłonęły moich współziomków i tak hałaśliwie były wyrażane". Zetknął się z amb. Skirmuntem, który opowiadał mu jak w roku 1920 „Lloyd George telefonował nieustannie, doradzając poddanie się bolszewikom, aż wreszcie nadeszła noc, gdy ja mogłem zatelefonować do premiera, donosząc mu o rozgromieniu bolszewików przez Piłsudskiego..." Młody urzędnik ambasady polskiej, Edward Raczyński, dostarczał mu materiałów o Polsce; po latach spotkał się amb. Raczyński na uroczystości założenia oddziału Towarzystwa Angielsko-Polskiego w Bournemouth z Willoughby Dewar, wiceprezesem, a następnie prezesem do śmierci.

Od wybuchu drugiej wojny niezmordowanie pracował wraz ze swoją żoną, Honor, na rzecz pomocy Polsce, żołnierzom, uchodźcom, emigrantom. Gotów był dzielić się wszystkim, choć miał niewiele; służył radą; dawał przyjaźń. Przewidywał opuszczenie Polski przez aliantów: nie chciano wydać książki, którą napisał przestrzegając przed polityką prowadzącą ku „zdradzie jałtańskiej".

Nasz przyjaciel był człowiekiem wielkiej kultury i równie wielkiej skromności. Uroczy, delikatny w obejściu, budził szacunek postawą miłości bliźniego, wiernością bezkompromisową sprawie wolności. Promieniował niezwykłą szlachetnością; był najwspanialej bezinteresowny.

*

IUVENTUS CHRISTIANA

Rocznica nawrócenia św. Pawła jest doroczným świętem koła młodzieży akademickiej. Mszę św. na intencję Stowarzyszenia celebrował w Brompton Oratory Asystent Kościelny, ks. mgr. K. Krzyżanowski. Goście i członkowie spotkali się w Klubie Mar. Woj. na wspólnym obiedzie. Prezes Stowarzyszenia S. Biel, witał gości (S. Pieniążek, prez. Zarz. Gł. PKSU Veritas; A. Onyszkiewicz, dyr. IPAK; M. Kleczyński prez. lond. Oddz. PKSU Veritas; S. Grocholski, kurator fund. Veritas dyr. IPAK; M. Kleczyński prez. lond. Oddz. PKSU Zgodnie ze zwyczajem b. prezes J. Stawarz odczytał referat o św. Pawle. Wyświetlono kolorowy film dźwiękowy Czapiewskiego T.J. z Chicago **„Boże żniwo w słonecznej Rodezji"**, o pracy misjonarzy polskich. Film znakomicie obrazuje twarde życie i osiągnięcia polskich misji pod opieką J. E. Bpa Kozłowieckiego. Nie brak humoru, ładne zdjęcia, dzieci murzyńskie mówią po polsku...! Wyświetlanie filmu, który warto zobaczyć, organizuje za pozwoleniem Sodalicji Mariańskiej p. M. Franc, zapalony do propagandy sprawy misyjnej. — Iuventusowe święto zakończono tańcami. J.J.

Iuventus Christiana została założona w latach dwudziestych w Warszawie przez grupę studencką młodzieży katolickiej, która uważała, że inteligent katolicki powinien nie tylko wierzyć, ale także rozumieć i umieć uzasadniać swój światopogląd. Pracę organizowano w kołach, liczących nie więcej niż 20 osób. Na cotygodniowych zebraniach studiowano Pismo św. i naukę Kościoła oraz dyskutowano referaty. Nad całością pracy kół czuwali asystenci duchowni.

Emigracyjna Iuventus Christiana jest kontynuatorką przedwojennej. Są różnice spowodowane odmiennymi warunkami lokalnymi i upływem 20 lat od wybuchu wojny, a co za tym idzie, przemianami w charakterze młodzieży. Główne jednak założenia pozostały bez zmian. Celem Iuventusu jest pogłębienie wiedzy religijnej wśród członków oraz zapoznawanie się z ogólnymi metodami filozofii i studium filozofów, nie tylko katolickich. Mamy tam szkołę w prowadzeniu dyskusji na odpowiednim poziomie intelektualnym.

W naszym przekonaniu jedynie maksymalnie szeroki wachlarz studiów jest odpowiedni dla świadomego katolika z akademickim wykształceniem. Wszelkie wąskie bigoteryjne nastawienia są nam obce.

Asystent duchowny w organizacji tego typu jest w ścisłym tego słowa znaczeniu moderatorem i doradcą zarządu. Nie jest ani cenzorem ani tym mniej „dyktatorem". Głos jego jest decydujący w sprawach wiary i moralności; ks. asystent również osądza czy dane zagadnienie istotnie dotyczy wiary i obyczajów. Dodajmy, że dobre funkcjonowanie organizacji z góry zakłada istnienie zaufania pomiędzy członkami (szczególnie zarządu), a asystentem duchownym.

Członkowie spotykają się na zebraniach ogólnych, które odbywają się co miesiąc w Hospicjum św. Stanisława, mniejsze grupy zbierają się w domach prywatnych, na referatach i dyskusjach filozoficznych. Całością kieruje Zarząd wybierany na rok przez walne zebranie (prez. S. Biel; A. Dadlez — w-prezeska). Na zebraniach miesięcznych, po odczytaniu i skomentowaniu wyjątków z Pisma Św., prelegentami są w zasadzie członkowie I.CH. Zarząd czasem zaprasza gości z prelekcjami i ekspertów. Do tradycji naszych należy uroczysty obchód Patrona organizacji i wspólna wycieczka na Zielone Świątki, ze wspólną Komunią św., referatem i dyskusją, zabawami i grami.

A.D., E.J., S.B.

KASZUBY

Autor artykułu o Kaszubach, drukowanego w ŻYCIU Nr 20/517, p. Bronisław Socha-Borzestowski, podjął kontynuację tego ciekawego tematu w odczycie wygłoszonym w YMCA (11.2.1959). Po wstępnej podbudowie geograficzno-historycznej i podparciu lirycznym w postaci wiersza anonimowego poety, zarecytowanego przez dr. F. Bajorka, prelegent dokonał szczegółowego przeglądu powojennych inicjatyw i prac piśmienniczych i badawczych, powstałych na Pomorzu w celu wskrzeszenia i wzbogacenia życia umysłowego Kaszub, w oparciu o prastarą i piękną w swej odrębności kulturę regionalną. Przegląd wypadł zwięźle i interesująco. Po „październiku" ruch wydawniczy ożywił się znacznie. Oprócz poczynań Toruńskiego Towarzystwa Naukowego, stają się znowu głośne nazwiska i prace takich starych kaszubskich działaczy, jak ks. Czaplewski, ks. Władysław Łęga, ks. dr Bernard Sychta z Pelplina. Wychodzi znowu pismo kaszubskie (KASZEBE), odradza się sztuka ludowa, wzmaga ruch zrzeszeniowy (koła śpiewacze i inne).

Z potężnego niegdyś szczepu słowiańskiego Pomorzan pozostało dziś — jak się oblicza — 100.000 Kaszubów na Pomorzu (i pewna, dotąd nie ustalona liczba na emigracji). Masowy napływ ludności z różnych dzielnic Polski bywa nieraz powodem do nieporozumień, gdyż Kaszub, chociaż z uporem przy Polsce stoi, to jednak z równym uporem domaga się szacunku dla swego języka i swojej odrębności kulturalnej. Ta postawa — pewnie nie zawsze dostatecznie respektowana przez przybyszów — powinna mieć dla nas — emigrantów — specjalnie żywą i aktualną wymowę.

Odczyt zakończono filmem dokumentarnym „Nad Odrą, Nysą i Bałtykiem".

A. K.

GRABOWSKI GALLERY

Początek lutego był świadkiem niezwykłego na stosunki emigracyjne zdarzenia. Jest nim powstanie stałej, prywatnej galerii sztuki mec. Mateusza Grabowskiego, w której urządzane będą wystawy plastyków, pracujących tak w ojczyźnie, jak poza jej granicami, tudzież wystawy plastyków cudzoziemców. Łącząc piękne z nadobnym, p. Grabowski umożliwia zwiedzającym zapoznanie się jednocześnie z różnorodnymi wyrobami polskiej sztuki ludowej, które widnieją w przestrzennych gablotkach lub jak kilimy i makaty — zwisają ze ścian.

Zdarzenie to zasługuje na szczególnie sympatyczną notatkę z dwóch przynajmniej względów. Primo, ważny jest fakt, iż powstał stały, bezpłatny lokal, w którym nasi wcale liczni artyści plastycy wystawiać będą swe prace w regularnych odstępach czasu. Skończyły się zatem ich kątem

(Dalszy ciąg na stronie 21)

„...Chrześcijanin... powinien raczej poczytywać sobie za wstyd, ilekroć da się prześcignąć przeciwnikom Boga w ruchliwej pracowitości, i przedsiębiorczości połączonej nieraz z duchem poświęcenia. Nie ma terenów zamkniętych, nie ma kierunków zakazanych dla działalności chrześcijanina: żadna dziedzina życia, żadna instytucja, żadna władza nie mogą być niedostępne współpracownikom Boga, gdy chodzi o podtrzymywanie Bożego ładu i harmonii w świecie."

PIUS XII

„...Prasa znajduje się w pierwszym szeregu tych czynników, które przyczyniają się do ukształtowania i rozpowszechnienia opinii...

...Prasa katolicka — w całym swoim sposobie bycia i działania — winna przeciwstawiać nieprzezwyciężone przeszkody cofaniu się, zanikaniu podstawowych warunków zdrowej opinii publicznej i utrwalać, umacniać to, co z niej jeszcze pozostaje... Niech umie zachować się z energiczną i dumną godnością... usprawiedliwić często powtarzane hasło: „W KAŻDYM DOMU KATOLICKIM PISMO KATOLICKIE".

...Prasa ma wybitną rolę do odegrania w wychowaniu opinii, nie aby jej dyktować czy nią komenderować, lecz by jej UŻYTECZNIE SŁUŻYĆ...

PIUS XII

MARZENA POLLAKÓWNA

MYŚLI O UNIWERSYTECIE

Towarzystwo Naukowe KUL-u wydało rzecz cenną i uroczą: **„Katolicki Uniwersytet w oczach Wychowanków“** (str. 189 z ilustracjami, 1958. Cena 40 zł.) Książka przynosi „słowo autentyczne“ o życiu młodzieży, współbudowniczych uniwersytetu.

Ks. rektor Rechowicz pisze w przedmowie: „KUL w oczach wychowanków, w czterdziestolecie Uczelni, poświęcamy naszym Przyjaciołom w Polsce i za granicą“. Wdzięczni za pamięć, przedrukowujemy bez pytania o pozwolenie wyjątki z paru artykułów starszych architektów KUL-u, które uczą o katolickiej idei uniwersytetu w rzeczywistości współczesnej.

Ze wstępu bierzemy wskazanie Prymasa: „...Gdy dzisiaj tyle się mówi o obowiązkach społecznych, ciążących na własności materialnej, to obowiązki społeczne ciążą nie tylko na pieniądzu, na ziemi, na posiadanych dobrach, ciążą one również na Twoim dorobku umysłowym, na Twoich wartościach serca, na Twoich cnotach, bo tym wszystkim musisz również żyć“.

Ks. Rektor mówi:

„Publikacja niniejsza... zrodziła się jako owoc gorącego klimatu życia uczelni, jako produkt wymiany poglądów i przemyśleń: jaki powinien być katolicki Uniwersytet Lubelski, jaki jest w rzeczywistości.

...Idea uniwersytetu przeżywa niewątpliwie kryzys. Z jednej strony mówi się o jego funkcji społecznej, o powiązaniu z życiem, o służbie społeczeństwu utożsamianej często z dydaktyką i kształceniem inteligencji zawodowej (szkoła zawodowa), z drugiej podkreśla się w nim charakter badawczy, służbę obiektywnej prawdzie naukowej, a więc służbę, w której moment i interes podmiotowy są zredukowane do minimum.

...Ideałem byłoby... połączenie funkcji społecznej z przedmiotowym szukaniem prawdy, ideałem byłoby także posiadanie przez każdego absolwenta jakiegoś modelu otaczającej nas rzeczywistości i tej w porządku łaski i tej w porządku natury. Bez takiego poglądu nie tylko dydaktyka, ale i wychowawstwo są wręcz niemożliwe. Tym problemom służą... artykuły dr Pollakówny, O. doc. Krąpca i prof. Sławińskiej. Nie wyczerpują one zagadnień, ale je stawiają odważnie...“

Wyjątki z artykułów o. prof. Krąpca i prof. Sławińskiej damy w następnym numerze. **(Red.)**

*

...Zadanie uniwersytetu, cel któremu ma służyć, to sprawy związane z jego koncepcją. Jesteśmy na uniwersytecie z połowy wieku dwudziestego, w Europie, w Polsce, na Uniwersytecie katolickim. Uniwersytet i — uniwersytet katolicki. Dlaczego? Stoimy wobec tych problemów, zadajemy sobie często i słyszymy z nimi związane pytanie. Jaka jest koncepcja nowoczesnego uniwersytetu? Czym jest? Co o tym myślą ci, którzy go tworzą?

...Prof. Kazimierz Twardowski... powiedział, że rdzeniem uniwersytetu jest praca naukowa — zdobywanie prawd i prawdopodobieństw naukowych oraz krzewienie umiejętności ich dochodzenia. Służba obiektywnej prawdzie — tworzenie najwyższych wartości intelektualnych — to jest idea uniwersytetu.*) By to zadanie móc spełnić, uczony musi uniknąć pokusy odgrywania roli tam, gdzie nie chodzi o zagadnienie prawdy. Musi zachować dystans w stosunku do prądów go otaczających, by móc zbliżyć się do ideału, którym jest obiektywizm. Zadanie wychowawcze spełnia uniwersytet przez budzenie w młodzieży zrozumienia dla prawdy obiektywnej i nauczanie, jak jej szukać.

Do tego ideału można by sprowadzić w zasadzie wypowiedź Tadeusza Czeżowskiego, który ujmuje wszakże zagadnienie roli uniwersytetu bardziej praktycznie i wysuwa obok zadania pierwszorzędnego, jakim jest praca badawcza i przygotowanie do niej młodych, cel drugi — kształcenie do określonej pracy zawodowej i wychowanie młodzieży do życia w społeczeństwie poprzez całokształt form życia akademickiego i przez stowarzyszenia.

Angielski uczony Richard Livingstone zastanawia się nad sytuacją uniwersytetu współczesnego w zachodnim świecie. Stwierdza, że ma on oblicze liberalno - burżuazyjne, że gubi się coraz bardziej jego zadanie wychowawcze, natomiast rozwija się świetnie strona administracyjna! Rozwój nauki, także na uniwersytecie, zmierza ku coraz większej specjalizacji, co z jednej strony podnosi niewątpliwie kompetencje poszczególnego badacza, z drugiej strony jednak prowadzi nieuchronnie do zatracenia „sensu całości“, tj. widzenia szczegółów badanych w ich związku z całokształtem świata.

Humanistyka zatraca swój humanizm. Nauka uniwersytecka przekształca się coraz silniej w technikę. Uczony uwiedziony przez nią traci zmysł proporcji i zapomina, że poza jego maleńkim światem jest większy. Traci także kontakt z życiem... Obok specjalistycznych studiów w określonej dziedzinie na każdym uniwersytecie powinno być studium, gdzie student mógłby się spotkać z zasadniczymi problemami związanymi z życiem człowieka, gdzie obudziłaby się w nim dążność do — medytacji... Odzyskanie utraconego sensu całości — the sens od the whole — może się dokonać jedynie poprzez myślenie nad znaczeniem i ostateczną natura świata. Zatem do studium uniwersyteckiego trzeba wprowadzić studium religii, pojmowane przez Livingstone'a jako religioznawstwo — oraz studium filozofii. Bez zetknięcia się z największymi, najbardziej niewątpliwie istotnymi dla życia człowieka problemami, nie ma mowy o rzeczywistym przejściu etapu nazywanego wyższym wykształceniem. Uniwersytet, zdaniem Livingstone'a stracił swój wpływ na życie, ponieważ zamknąwszy się w specjalizacji przestał się zajmować zagadnieniem najbardziej centralnym — koncepcją życia, celem istnienia człowieka.

Na temat uniwersytetu wypowiedział się także uczony szwajcarski Werner Näf. Stwierdza on, że celem pracy na uniwersytecie staje się obecnie coraz bardziej przygotowanie do zawodu, nie zaś sama nauka. Uczelnia ta staje się coraz bardziej szkołą specjalizującą, a nie dającą jakiejś pełni wykształcenia. Łączy się to z horyzontalnym układem poszczególnych dyscyplin na uniwersytecie nowoczesnym — specjalności stoją obok siebie — w przeciwieństwie do struktury scholastycznej stanowiącej układ shierarchizowany, w którym pozycję zwornika zajmowała teologia. Niezależnie od potrzeb życia współczesnego, którym wykształcenie na uniwersytecie ma służyć, rozpad na specjalności musi być jakoś wstrzymany. Uniwersytet musi tworzyć wspólnotę, musi wiązać. Celem jego jest stworzenie kultury. Jak jednak tę „wspólnotę“ realizować, to pozostawia Näf jako problem otwarty.

Cel badawczy, cel praktyczny — przygotowanie do zawodu, cel wychowawczy. Takie zadania nakreślają uniwersytetowi przytoczone wypowiedzi. Uderzającą cechą obu opublikowanych w okresie powojennym wypowiedzi uczonych obcych jest stwierdzenie kryzysu, jaki przeżywa uniwersytet i szukanie wyjścia z niego. Uniwersytet spełnia pewne zadania we współczesnym społeczeństwie, brak mu jednak w tworzeniu kultury tej roli centralnej, jaką miał niegdyś. Poszukiwanie wyjścia z tej sytuacji prowadzi do postulatu przywrócenia na uniwersytecie filozofii, która jest nauką ogarniającą całość ludzkich problemów. Jako taka daje oparcie dla własnej medytacji studentowi, który żyje problemami swoich czasów i obserwuje otaczającą go rzeczywistość. Drugą dziedziną, która obejmuje całokształt zagadnień, jakkolwiek jej założenia, oparte są na innych podstawach, jest religia. Rozważenie różnych religii daje znowu jakieś doświadczenie i możność rozumienia różnych kultur.

Trzy główne zadania uniwersytetu zarysowujące się w tych kilku przytoczonych wypowiedziach wynikają z dziejów tej instytucji... Patrząc na uniwersytety XIX-wieczne możemy obserwować odrębny charakter uczelni niemieckich, francuskich i angielskich. Uniwersytety niemieckie przeżywają wtedy swój wielki rozkwit związany z rozwojem warsztatów naukowych, zapoczątkowany jeszcze w XVIII wieku. Cała uwaga uczonych koncentruje się na przedmiocie

---

*) Twardowski Kazimierz: O dostojeństwie uniwersytetu, Poznań 1933; Czeżowski Tadeusz: O uniwersytecie i studiach uniwersyteckich, Toruń 1946; Livingstone Richard: Some thoughts on university education, London 1948; Näf Werner: Wesen und Aufgabe der Universität, Bern 1950

nauki i na metodach pracy. Ten rozkwit nauki związany jest z sytuacją Prus w okresie wojen napoleońskich i powstaniem Uniwersytetu Berlińskiego, z którego ówczesny minister wychowania Wilhelm von Humboldt chciał uczynić wybitne środowisko. Sprowadzono najlepsze siły z całego kraju. Zapewniono uniwersytetowi stanowisko niezależne. Dominującą cechą wyższych uczelni niemieckich był cel badawczy, któremu wszystkie służyły. Zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja we Francji, gdzie rewolucja zniszczyła właściwie dotychczasowe formy. Nowe podstawy uniwersytetów zostają ustalone w roku 1808 przez Napoleona. Nauczanie zostaje w kraju scentralizowane, a wyższe uczelnie poddane są odtąd kontroli państwa. Efektem Wielkiej Rewolucji jest zatem laicyzacja uniwersytetów francuskich, wynikiem posunięć Napoleona — etatyzm w stosunku do nich. Ingerencja rządu w sprawy uniwersyteckie prowadzi do praktycyzmu — celem staje się przygotowanie do konkretnych zawodów. Decentralizacja wyższego wykształcenia zostaje przeprowadzona dopiero w końcu wieku, tj. w roku 1896. O ile uniwersytety niemieckie i francuskie przeżywały w początkach XIX wieku silne wstrząsy, które wyryły charakterystyczne piętno na ich obliczu, o tyle uniwersytety angielskie żyły w spokoju w dawnych tradycjach... Ich cechą charakterystyczną jest przywiązanie znaczenia do wychowania...

Gdy zestawimy obraz uniwersytetów XIX-wiecznych z obrazem tej instytucji z okresu średniowiecznego, uderza przede wszystkim zmiana strukturalna, usunięcie teologii oraz pozostającej z nią w harmonii filozofii, a w każdym razie zmiana ich miejsca.

Laicyzacja najjaskrawiej i konsekwentnie przeprowadzona we Fracji zapanowała we wszystkich nowoczesnych uniwersytetach. U ich podstawy leżała nowa koncepcja nauki budowanej jedynie drogą indukcji. Obserwacja i rozumowanie konstruują hipotezy w coraz to nowych wariantach, z natury rzeczy nie mogąc wykroczyć poza te granice.

Uniwersytet średniowieczny był tworem kultury, która wyrosła w atmosferze nauki Kościoła, uniwersytet zlaicyzowany XIX-wieczny wyrastał wraz z tworzeniem się nowej kultury intelektualnej z tą nauką niezharmonizowanej lub po prostu jej przeciwstawnej. W nowych warunkach instytucje zajmujące się nauką zgodnie z dawnym duchem, ograniczone do kół ściśle kościelnych, związanych z duchowieństwem (szkoły zakonne, np. św. Jakub — dominikański uniwersytet istniejący od 1229 r. w Paryżu) znalazły się na marginesie życia intelektualnego Europy. Tradycyjne wykłady, zastygnięte w dawnych formach, ograniczają rolę tych środowisk do przechowywania tradycyjnej nauki. Ten impas, pogłębiony przez zburzenie szeregu instytucji we Francji w dobie Rewolucji, zaczyna się przełamywać pod koniec pierwszej połowy wieku XIX, gdy Lacordaire odbudowuje dominikański uniwersytet S t u d i u m G e n e r a l e — w Grenoble. W ślad za nim powstają następne z poparciem Leona XIII. W tym też czasie zostaje zreformowany przez Merciera, z polecenia tegoż papieża, uniwersytet lowański, jedyna wówczas uczelnia, która pozostała związana z Kościołem, a równocześnie posiadała pełne prawa uznawane przez państwo. Uniwersytety katolickie zaczynają się odtąd mnożyć. Co jest ich cechą charakterystyczną?

Sięgnijmy do IDEA OF A UNIVERSITY J. H. Newmana... Celem uniwersytetu jest wychowanie dobrych członków społeczeństwa. Osiąga się to przez samo studiowanie, tj. kształcenie umysłu, które w wyniku podnosi ogólny poziom społeczeństwa oraz — przez wychowanie w okresie studiów. Wychowanie to dokonuje się przez atmosferę, w której młodzież się kształci, kontakty z wykładowcami i innymi studentami, życie w kolegium (młodzież mieszka przy uniwersytecie), swoim g e n i u s l o c i związanym z tradycjami danego środowiska. „Takie wychowanie daje człowiekowi jasną świadomość własnych opinii i sądów, rzetelność w ich rozwoju, wymowę w ich wyrażaniu oraz siłę w ich przeprowadzaniu. Uczy go widzieć rzeczy takimi jakimi są".

Newman podkreśla rolę filozofii, dzięki której jedynie można ująć właściwie istotne stosunki między zjawiskami i wznieść się ponad wiadomości szczegółowe. Drugą dyscypliną, która ma zasadnicze znaczenie na uniwersytecie jest teologia. Jej wykładanie uważa Newman za niezbędne. Nie może ona jednak ingerować w nauki szczegółowe, jest inną dziedziną wiedzy, opartą o sobie właściwą metodę dedukcyjną. Niezbędna jest dlatego, że w razie jej usunięcia, inne nauki uzurpują sobie prawo rozstrzygania o kwestiach, które do nich nie należą i w ten sposób usiłują zastąpić jej brak. Z tego wynika, że rolą teologii w stosunku do innych nauk jest utrzymywanie równowagi i właściwych proporcji.

Newmanowska koncepcja zgadza się uderzająco ze strukturą uniwersytetów średniowiecznych... Wynika ona z koncepcji w ramach kultury katolickiej. Taka jest po prostu koncepcja uniwersytetu w tych ramach. Kościół posiada swoją naukę opartą na Objawieniu. Przyjmujemy ją na podstawie autorytetu tych, którzy nam ją przekazali i przekazują. Całość stanowi teologię. Obok tej nauki ściśle kościelnej istnieje nauka budowana indukcyjnie (tzw. nauki szczegółowe oraz filozofia) badające rzeczywistość i stosunki między jej elementami. Uniwersytet zatem w ramach kultury katolickiej musi obejmować oba te tory: wykład wiedzy objawionej oraz wiedzę zdobywaną samodzielnym wysiłkiem człowieka. Tworzenie tego dwugłosu — to jest katolickość uczelni. Ta koncepcja polegająca na sprzężeniu obu tych nurtów polega równocześnie na zachowaniu ich nieprzekraczalnej odrębności. Są to odrębne dziedziny nieprzekraczające się nawzajem. Wiązanie ich wyników odbywa się w podmiocie poznającym, w tym, który studiuje stając się zdolnym do twórczości intelektualnej leżącej u podstaw wszelkiej pracy kulturotwórczej. Stąd wniosek praktyczny: istotą uniwersytetu katolickiego nie jest bynajmniej to, że istnieją na nim różne fakultety... ale to, że studiujący styka się tu zarówno ze swoją dziedziną wiedzy specjalnej, jak i ze studium teologii względnie niesprzecznej z nią filozofii (tzw. filozofii chrześcijańskiej czy katolickiej).

W ten sposób ma możność poznania rzeczywistości w obu tych aspektach i posiadając wiedzę w obu dziedzinach staje się zdolny do tworzenia kultury katolickiej.

Marzena Pollakówna

ZORGANIZOWANI NAUKOWCY

Okres pracy Zrzeszenia Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich na Obczyźnie (1957-1958), zamknięty na odbytym ostatnio walnym zgromadzeniu, był szczególnie trudny. Zabrakło na stanowisku kierowniczym długoletniego prezesa Zrzeszenia śp. prof. Adama Żółtowskiego oraz śp. prof. Tadeusza Grodyńskiego, b. wiceprezesa. W wyniku wyborów dokonanych na walnym zgromadzeniu prezesem Zrzeszenia został wybrany prof. Władysław Wielhorski. Do nowego zarządu weszli: prof. C. Jędrzejewiczowa, prof. W. Kwiatkowski, prof. A. Laskiewicz (wiceprezes), dr J. Mękarska (sekretarz generalny) dr W. Rouppertowa (skarbnik), prof. Z. Stahl, prof. T. Sulimirski, prof. T. Tchórzewski, prof. R. Wajda (wiceprezes).

Zrzeszenie, jako oficjalna reprezentacja polskiego świata uniwersyteckiego, bierze czynny udział w życiu Międzynarodowego Stowarzyszenia Profesorów (International Association of University Professors and Lecturers — I.A.U.P.L.). We wrześniu ub. r. odbyła się X-ta międzynarodowa konferencja uniwersytecka w Brukseli, zorganizowana przez I. A. U. P. L. Program dyskusyjny tej konferencji obejmował dwa zasadnicze problemy: 1. rola uniwersytetów w kształceniu zawodowym oraz 2. przygotowanie kadry profesorów i wykładowców w obecnych warunkach społecznych. Na konferencji nawiązano kontakty zawodowe wśród przedstawicieli 25 grup narodowych, reprezentowanych w I.A.U.P.L.

W konferencji tej reprezentował Zrzeszenie prof. dr Jerzy Langrod z Paryża.

Zrzeszenie Profesorów — jako skupienie polskich wykładowców na obczyźnie — prowadzi kartotekę ewindencyjną, która dochodzi do 300 pozycji. Mimo trudności wynikających z odległości rozsianych po świecie członków i wobec braku bezpośrednich kontaktów łączność organizacyjna utrzymywana jest drogą komunikatów i korespondencji. Komunikat wydany w okresie sprawozdawczym zawiera wiadomości z życia członków i bibliografię ich publikacji w tym okresie. Ze skromnych funduszów płynących ze składek członkowskich Zrzeszenie stara się służyć pomocą rodzinom profesorów w Kraju, wysyłając corocznie pewną ilość paczek.

Wobec stałego zwiększania się liczby Polaków-wykładowców, pochodzących z młodego pokolenia emigracyjnego, wykształconego w szkołach uniwersyteckich zagranicą — Zrzeszenie ma wszelkie dane skupienia młodej kadry Polaków — „university teachers", rozumiejących i odczuwających potrzebę łączności organizacyjnej i znaczenie swego wkładu naukowego poprzez obce szkolnictwo do kultury polskiej.

MAX JACOB

PORADY DLA MŁODEGO STUDENTA

„Porady dla młodego studenta" ukazały się w roku 1944 łącznie z „Poradami dla młodego poety" (Vide „Życie Nr 8 (557). Jak pierwsza rozprawka była wprowadzeniem w istotę twórczości literackiej, tak druga jest wprowadzeniem w skomplikowaną problematykę praktycznego życia, przewodnikiem po zawiłych drogach życia wewnętrznego. Młodzi rzadko kiedy zdają sobie sprawę, że tak jak porządkowanie spraw ciała jest warunkiem zdrowia fizycznego, sukcesów sportowych i popularności, tak porządkowanie spraw duszy jest warunkiem równowagi psychicznej, harmonijnego rozwoju osobowości, kamieniem węgielnym pełnego sukcesu życiowego. Tym młodym, zagubionym w gąszczu problemów życiowych, zafascynowanym religią i atwych sukcesów materialnych, Max Jacob przypomina, że istota rzeczy leży gdzie indziej. Jakkolwiek — zdaje się mówić Jacob — rzadko masz okazję w życiu zostać bohaterem lub świętym — to jednak co dzień masz okazję być odważnym, co dzień masz okazję do przezwyciężania lenistwa ciała i duszy, zniechęcenia, co dzień masz okazję do praktykowania miłości bliźniego, do wyrabiania woli, pogłębiania wiedzy, usprawniania myśli i charakteru.

Max Jacob mówi o tych sprawach z pogodnym uśmiechem mędrca, nie popadając ani w moralizatorstwo ani w dydaktyzm. Tłumacz

Uporządkowana miłość zaczyna od siebie. Głębokie zdanie. Obowiązki względem samego siebie zajmują pierwsze miejsce. Zapomnienie własnego ja wtedy dopiero nabiera pełnej wartości, kiedy jest świadome i zorganizowane. Człowiek mądry jest otoczony rodzajem filtru, przez który przenika wszystko co się przyjmuje i wszystko co się daje. Dobrze czynić jest jednym z warunków zbawienia, ale co się rozumie przez „ofiarować Bogu", to znaczy ofiarować Duchowi, swojemu własnemu duchowi... Spontaniczność jest cechą miłą, ładną i czarującą, ale jakże wolę pełną świadomość i spokojną refleksję. Ofiarować Bogu posłuszeństwo, usłuchać bez zwłoki, oczywiście, ale także zdać sobie dokładnie sprawę z ofiary własnego czasu.

✱

Pamięć jest najpotężniejszym darem umysłu. Jako środek obronny budzi paniczny lęk u ludzi, którym się przypomni pewne daty, okoliczności, a zwłaszcza ich własne słowa. Prawda!... Źródło trwogi i niepokoju dla przeciwnika. Pamięć! Ona wspiera nas tam gdzie jesteśmy słabi przypominając to, co inni mówią na ten temat. Ona wspomaga nasze sądy przez zasób przykładów. Ona jest matką doświadczenia i kształtuje to, co nazywamy geniuszem, a co stanowi przedwczesne doświadczenie. To z kolei zdobywa się przez tęgą pamięć.

Kiedy odkładasz wszystko inne, kultywuj pamięć.

✱

Powołanie jest imperatywną koniecznością. Są muzycy, którzy na widok fortepianu rzucają się jak tygrys na ofiarę, są malarze, którzy już w dwunastym roku życia pędzlują ściany rodzinnego domu, i poeci, którzy budzą się nagle w nocy po to, aby całe strony pozapisywać rzędami nierównych linijek. Jeżeli nie jesteś chory na jedną z tych chorób, to znaczy, że nie masz powołania. Wówczas patrolowanie w tym lub tamtym kierunku prowadzi do nikąd i tylko uniemożliwia wybór innej kariery. Amatorstwo jest plagą, jednym z elementów zła, które spowodowało zgniliznę Francji, odwracając uwagę od obowiązków a wiodąc ku próżnościom.

✱

Pomijając wszystko inne, bądź człowiekiem! To wszystko, to jest wszystko, to jest jedyny cel. Co to takiego Człowiek? To jest zwierzę obdarzone duszą. Tę duszę trzeba obłaskawić, wychować, wykształcić. Dusza to przede wszystkim wola. Wola ma potęgę pocisku: wszystko może z Bożą pomocą, nic dla niej nie jest niemożliwe kiedy wspiera się o modlitwę. Modlitwa jest rzutem woli, magiczną działalnością. Będziesz kultywował duszę poprzez stałą refleksję i powolny pośpiech. Festina lente. Rozwijaj! Jeżeli kochasz, kochaj potężnie, kochaj gorąco, kochaj naprawdę. — Precz z wątłym chce-mi-się. Pamiętaj, że Bóg wypluje letnich z ust swoich. — Jeżeli nienawidzisz zła, niech twoja nienawiść będzie silna, nie cierp zła, odrzuć je daleko od siebie (Mam na myśli samo zło, bo chyba nie nienawidzisz tego, który zło czyni, trzeba nienawidzić grzechu, a kochać grzesznika.) Będziesz kształtować własną duszę poprzez stałą introspekcję: miej siebie samego dobrze na oku. Zawsze zdaj sobie dokładnie sprawę ze stanu, w jakim się znajdujesz. Czy jesteś po stronie diabła, czy jesteś po stronie Boga? Czy nie jesteś zawzięty, czy nie nosisz w sobie złości, chęci zemsty, niezadowolenia? Dlaczego? Czy nie jesteś za bardzo przywiązany do ziemskich rozkoszy? Czy nie jesteś łakomczuchem, rozrzutnikiem, rozpustnikiem? To prawda, że zalecam ci namiętność w twoich uczuciach, to znaczy uczucia pełne, ale jeszcze bardziej zalecam ci kontrolę nad uczuciami oraz subtelną znajomość taktu i dyskrecji.

✱

Dyskrecja. Rada. W dyskrecji św. Benedykt widział pierwszą cnotę chrześcijańską. Uważał ją za wyczucie po chrześcijańsku pojętego taktu. Na przykład: chcę dać jałmużnę, udzielam jej banknotem tysiąca franków. Nędzarz pójdzie go rozmienić i od razu oskarżą go o kradzież, ba, aresztują! — czyli, jałmużna niedyskretna. Chcę zbesztać kolegę, który ma brzydką wadę. Mówię zupełnie otwarcie obrażając go do tego stopnia, że zrywa stosunki: niedyskrecja! Itd.

Rada! To jest jeden z darów Ducha Świętego, zdoność odkrywania środków... poznania strategii na szczeblu naczelnego wodza, etc.... Nawiasem mówiąc warto zapamiętać sobie siedem darów Ducha Świętego, są to: miłość, bojaźń Boża, inteligencja, mądrość, umiejętność, moc i rada.

✱

Oto więc mamy duszę z jej silną wolą, z rozwiniętymi i wyraźnie określonymi uczuciami, z jej nieustanną introspekcją. Czego jeszcze chcieć od niej można? Chcę żeby widziała wszystko sub specie aeternitatis, to znaczy, żeby osiągnęła taki stan, kiedy wszystko to, co się dokoła niej dzieje, mogło równie dobrze dziać się tysiąc lat temu, jak zaistnieć dopiero za tysiąc lat w przyszłości. To się nazywa mieć odskocznię. W ten sposób dusza staje się inteligentną, ponieważ to, co nazywamy inteligencją, jest umiejętnością odnoszenia szczegółów do wielkich linii generalnych...

✱

Pobłażliwość jest zrozumieniem przyczyn zła. Oto masz złoczyńcę: poznaj rodzinę, z której wyszedł, środowisko, dzieciństwo, brak wykształcenia, a przebaczysz mu.

✱

Powtarzam: umiejętność odnoszenia, wiązania faktów, wzbogaca się poprzez znajomość historii. Zobowiązuję cię do poznania historii tak, abyś mógł porównywać sytuacje, w jakich znajdują się różne narody. Historia jest dla umysłu tym, czym medycyna dla ciała. Oczywista, mam na myśli historię ludzi, a nie wydarzeń.

✱

Kultywuj własną duszę. Bądź ludzki przede wszystkim. Wystrzegaj się okropności umysłów matematycznych, dla których X równa się Y, więc równa się Z. Ci używają słów, jak „wobec tego" i „w konsekwencji" i zapominają o psychologii człowieka. Tymczasem psychologia jest wszyskim. Znając własną psychikę poznasz także psychikę innych ludzi. Zrozumiesz także różnicę, jaka zachodzi pomiędzy nimi i tobą. Przykład. Zostawiam pieniądze na stole trochę przez lekkomyślność, a trochę na skutek przekonania, że inni są tacy jak i ja, więc cudzych pieniędzy nie tykają. Na nieszczęście, mój przyjaciel Michaś jest słaby wobec pokusy, a na domiar złego — bardzo biedny. Zabiera pieniądze. Gdybym znał psychologię, to wiedząc, że jest słaby i ubogi, nie zostawiłbym pieniędzy na stole, nie stwarzając w ten sposób okazji do grzechu wobec Boga i bliźniego. A więc uczmy się psychologii. Umysł matematyczny w tym wypadku powiedziałby, niewątpliwie głupio: „Przecież on jest twoim przyjacielem, wystarczyło poprosić, a przecież byś mu nie odmówił pieniędzy, których potrzebował." Umysł matematyczny nie zdaje sobie sprawy z tego, że prosić wstyd, a ukraść łatwo. Bądź ludzki, to znaczy znający się na psychologii i rozsądny.

✱

Kultura duszy. Cios lancy! To co płynie z serca Jezusa — to woda — materia połączona z krwią-duchem. Jedność ducha i materii. Rozumienie jest jednością ducha i rzeczy. Kochać rozumiejąc, rozumieć kochając. Taki jest sens słowa „caritas". Bądź konkretny. Mów konkretnie, pisz konkretnie, myśl konkretnie. Nie rozpływaj się w abstrakcji, zawsze i natychmiast dawaj dokładne przykłady. Udowadniaj precyzyjnie. Panuj nad swoim umysłem, miej go dobrze w rękach. Niech twoje ręce będą zdolne i zręczne, miej ręce robocze i oko robocze. Oto znaczenie tamtego ciosu lancą i prawdziwej caritas, czyli jedności ze światem rzeczy. Umiej wytłumaczyć się, rozwijaj. Nie bądź małomówny i lakoniczny, bo to prowadzi do oschłości i skostnienia, co jest grzechem. Krótkość wypowiedzi i sztywniactwo, to wynik lenistwa.

✱

Kultura duszy. Największym złem duszy jest lenistwo. Nie mam na myśli lenistwa rąk, ale lenistwo zaspanego serca, lenistwo umysłu, który nie ma celu.

✱

Niech twój umysł będzie zawsze zajęty, czy to rozwiązaniem takiego lub innego problemu — a Bóg wie przecież, że wszystko jest problemem — czy przez pamięć o studiach, czy obserwacją, a zwłaszcza baczną uwagą skierowaną na to, czym jesteś, co robisz, co mówisz, a także co inni robią i mówią. Bezwład umysłu jest chorobą, więcej, jest katastrofą.

✱

Czytaj listy Apostołów: św. Pawła i innych. Znajdziesz tam moc wskazówek odnośnie kultury duszy.

Kultura duszy. Jest rzeczą nieodzowną, bez względu na to czy jesteś czy nie jesteś wyznawcą Chrystusa, uprawianie porannej medytacji codziennie bez wyjątku, podczas

wakacji, przed egzaminami czy nawet podczas choroby. Jeżeli jesteś na wakacjach, medytacja usunie dziecinne roztrzepanie. Jeżeli jesteś chory, przywróci zdrowie. Jeżeli przygotowujesz się do egzaminu, to zaprowadzi ona w twoim umyśle jasność i porządek, tak iż nie tyko nie będzie stratą czasu, ale wręcz przeciwnie.

✱

Medytacja nie polega na posiadaniu wielkiej ilości idei, wprost przeciwnie, polega na posiadaniu jednej idei, którą należy przekształcić w uczucie, w przekonanie. Medytacja jest dobrą wtedy, kiedy prowadzi do TAK, wypowiedzianego całym ciałem, kiedy powoduje krzyk wychodzący z głębi serca, radość lub ból, łzy albo wybuch śmiechu. Spróbuj tylko medytować w następujący sposób: powtarzaj „Bóg stał się człowiekiem" tak długo aż dopóki nie zjawi się przekonanie. To nie ważne jakie obrazy zjawią się przy tym w wyobraźni, Chrystus jako dziecko, czy jako młody mężczyzna, czy jako ukrzyżowany. Powtarzaj na klęczkach: Bóg stał się człowiekiem! Jak długo? To zależy od twojej wytrzymałości. Są dobre medytacje dziesięciominutowe i bardzo podłe, mimo że trwające godzinę. Wreszcie, pamiętaj skupić się wewnętrznie przynajmniej dwa razy dziennie.

Nie wygłaszam ci tu kazania, nie mówię o kontemplacji, bo sam niewiele wiem na ten temat i nie mam zamiaru wychowywać cię na mistyka, a tylko chcę abyś był człowiekiem.

✱

Człowiek! Możesz być kim chcesz, budowniczym, profesorem mechaniki, czy rolnikiem, ale nie zapomnij także być człowiekiem, to znaczy duszą, wobec której ciało jest jak służący wobec pana.

✱

Człowiek: to jest istota moralna, która posiada własną linię postępowania i stanowczo sprzeciwia się wszelkim próbom wytrącenia jej z raz obranego kierunku.

✱

Umysł człowieka może być zewnętrzny i wewnętrzny. Umysł zewnętrzny proponuje, umysł wewnętrzny akceptuje, załatwia. Umysły zewnętrzne to są anioły i demony, z których każdy śpiewa we własnym niebie, i z którymi umysł człowieka jest w kontakcie, ponieważ umysł to „jedność", i z których każdy proponuje swoją specjalność. Będąc istotą rozumną, człowiek replikuje rozumem: w tym się wyraża symbolika walki Jakuba z Aniołem. Życie wewnętrzne polega na badaniu „specjalności" w natchnieniach i zastępowaniu ich rozumem, który pochodzi od Boga. Jak widzisz, każdy bywa natchniony lub kuszony. Wyższość człowieka w tym się objawia, że może on te natchnienia i pokusy rozstrząsać i osądzać. Wyższość człowieka polega także na konieczności wyboru.

Niech mnie Bóg broni przed złośliwością w stosunku do aniołów. Są anioły przewyższające człowieka, bo przecież najmniejszy mieszkaniec Raju bije największego z ludzi, jakim był św. Jan Chrzciciel (Ewangelia), ale między aniołami są także specjaliści...

Chcąc jasno czytać w tych sugestiach, najlepiej jest odwołać się do Przykazań Bożych. Aby nie utracić łączności z Bogiem najlepiej jest przystępować często do Komunii św., co oznacza także częstą spowiedź. W ten sposób stajemy się ludźmi, zasługującymi na to by tak się nazywać.

✱

Stworzyć próżnię w sobie poprzez medytację, znaczy to samo, co zerwać łączność z suflerującymi duchami. Im częściej to następuje, tym lepiej. Cierpienie jest tu pomocą. Należy również stworzyć próżnię z cierpienia, to znaczy oderwać się od niego. Oderwanie nie równa się głupiej obojętności, to jest wzniesienie się ponad. Należy cierpieć na tyle, na ile nas stać, ażeby móc rozumieć, bowiem bez cierpienia nie ma zrozumienia, ale po nasyceniu się nim trzeba panować nad cierpieniem. Nalepszą metodą cierpienia jest zdać sobie sprawę z tego co się dzieje, o czym mówiłem już wyżej. Kto? Co? Jak?

Dlaczego nie mam być wesoły? Moim ojcem i opiekunem jest najpotężniejsza, a zarazem najlepsza z istot. On pragnie mojego dobra ponieważ mnie zbawił. I jakże nie mam być smutny, kiedy nieszczęcie jak grad pada na ziemię, istnieje w czyśćcu i gdzie indziej. Jakąż mam zachować równowagę pomiędzy tamtą radością a tym smutkiem? Jest wesołe cierpienie i zasmucona wesołość, którą należy zrozumieć przy pomocy łaski. Szukaj!

✱

Courteline mawiał do Jules Renard'a: „Nie bądź rozgoryczony." Ah, jakie to głębokie słowo! Precz z goryczą! Rzadka zaleta. Pozostać dzieckiem, dzieckiem rozsądnym, inteligentnym, głębokim, czułym. Pamiętaj, nigdy w życiu nie oddawaj się rozgoryczeniu. Dlaczego miałbyś zgorzknieć? Przecież Bóg jest z tobą.

Skupiaj się. Skupiaj się od czasu do czasu. Skupiaj się często. Żyj w skupieniu. Że to niby za wcześnie w twoim wieku? A dlaczego nie miałbyś być ponad wiek rozwinięty?

✱

Żyj otwarcie, towarzysko: unikaj złośliwych plotkarzy, obmowy. Im się zdaje, że są bardzo dowcipni, miażdżą swoich bliźnich myśląc, że w ten sposób budują własną wielkość, tymczasem umniejszają siebie, albo wiem słowa, jakie wychodzą z naszych ust, wydają sąd nie tyle o naszych bliźnich, ile o nas samych. Popisujemy się tylko tymi, słowami, które pasują do nas jak rękawiczki. A więc nie sądź innych. Jest daleko łatwiej zauważyć wady bliźniego niż jego zalety. Odnajdując jego zalety otwierasz zarazem drzwi do jego psychiki, podczas gdy wyszukując wady zatrzaskujesz je na zawsze. Tym gorzej dla ciebie! Żyj z uśmiechem dobroci na ustach.

✱

Dawać! To jest metoda duchowego, a nawet i materialnego, wzbogacania się. Szukaj piękna w sobie i u innych. Żyj w szczęściu cierpiąc równocześnie. Kochaj, a będziesz kochany. Dawaj z siebie, a sam będziesz obdarowany i staniesz się jako Raj żywy. Sekret mojego małego szczęścia leży w tym, że kochałem wszystko, rezerwując sobie szaniec obronny. Zachowaj szańce. Unikaj roztargnienia! Precz z rozgoryczeniem!

✱

Bez ironii. Ironia spowoduje oschłość u ciebie i u twojej ofiary. Humor — to co innego. To jest iskra, która osłania twoje wzruszenie, odpowiada nie udzielając odpowiedzi, nie zadaje ran a bawi...

✱

Celem życia jest doskonałość. Ach, jakże maleje i łatwym się wydaje wszystko inne w porównaniu z dążeniem do doskonałości. Nie może być innego celu. „Szukajcie przeto na pierwszym miejscu Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta będzie wam przydana" (Ewangelia).

Szukaj sprawiedliwości i mądrości zamiast ubiegać się o wieczne posiadanie racji i narzucenie innym swoich małych poglądów. Zostaw sprzeczki, szykany; odrzuć zbędne powijaki.

✱

Życie większości ludzi jest jak długi łańcuch pańszczyźnianych obowiązków. Powinno być na odwrót. Należałoby wszystko wykonywać z umiłowaniem. Nawet wykuwanie nomenklatury, poprzez odnajdywanie w niej własnych zainteresowań. Nawet rachunki, sprawunki na mieście, stanie w ogonku u rzeźnika, itd., wszystko to należy wykonywać z miłością. Czy może być coś smutniejszego niż życie, które w całości składa się z przykrych obowiązków, uciążliwej pańszczyzny?

✱

Każdemu się zdaje, że jest poza ludzkością każdy wierzy w swoją wyższość, swoją wyjątkowość. Ujrzyjmy siebie tak jak Bóg nas widzi, w tłumie, jako ziarnko piasku w morzu innych ziaren piasku, zobaczmy podobieństwo, jakie łączy nas wszystkich. Precz z egocentryzmem. Wyzbycie się go byłoby wspaniałym osiągnięciem. Pokora, prawda.

✱

Pokora wcale nie wymaga, abyśmy siebie całego widzieli w czarnych kolorach. Trzeba widzieć siebie takim, jakim się jest. Bądź ostrożny ze skłonnością pobłażania sobie. Bądź pobłażliwy dla innych, surowy w stosunku do siebie.

✱

Rób rachunek sumienia co wieczór, na piśmie i zachowaj, tak abyś mógł wytropić grzech powtarzający się najczęściej. Wówczas walcz z nim ze wszystkich sił. Jeżeli udaje się w ten sposób wykorzenić chociaż jeden, ma się słuszne prawo do dumy. Św. Franciszek Salezy przezwyciężył w sobie napady złości i zastąpił je słodyczą.

Jeden duchowny, który miał charakter pedantycznej starej panny, na moich oczach stał się człowiekiem o szerokich horyzontach i łatwym w pożyciu z ludźmi. Z uszczypliwego stał się dobry, z szorstkiego, miły.

✱

Jeżeli mówisz „wstaję", wstając z łóżka, to wstaniesz — z pełną świadomością tego co robisz — wcześniej i uczynisz wszystko to co jest stosowne, a więc pomodlisz się i ofiarujesz nowy dzionek Bogu. Jeżeli powiesz sobie: „myję się", uczynisz to starannie i przykładnie. Jeżeli natomiast wykonujesz te i inne czynności machinalnie, to wykonujesz połowicznie, bez zainteresowania, itd.

✱

Odwaga jest podstawą wszystkich cnót. Jest jedną z najbardziej użytecznych cnót. Odwaga prowadzi do wszystkiego, do niej należy doskonałość, sukces materialny, zdrowie, inteligencja. To nieprawda, że odwaga musi mieć odpowiednio wielkie pole do popisu. Potrzebujemy jej na codzień, przy wstawaniu, ubieraniu się, dla zachowania czystości, dla stałości w poznawaniu siebie, po to aby przysiąść fałdów nad jakąś robotą, potrzebujemy jej, aby wytrwać w dobroci, cierpliwości, żarliwości i miłości bliźniego, a także, aby uniknąć wszystkiego co obraża Boga.

✱

Czytaj codziennie po kilka wierszy z Ewangelii, przekonaj siebie o tym, co one mówią. Nawracaj swoich kolegów. Nie obawiaj się, że się ośmieszysz. Zdobędziesz sobie w ten sposób większy szacunek, nawet jeżeli z początku przyjmą cię śmiechem. Cieszysz

się sympatią, korzystaj więc z niej w służbie Bożej. Bóg wynagrodzi cię stokrotnie.

✱

Strach przed opinią ludzką! Ciężki grzech, a tak powszechny. Gwiżdż na opinię całego świata, jeżeli jesteś pewien, że droga twoja jest słuszna i prawdziwa. Cóż może mnie obchodzić opinia ludzi, skoro wiem, że Bóg jest ze mną i że oto Wieczność zdobywam!

✱

Ofiarować nasze zdolności służbie Bożej, znaczy tyle, co wyrazić należną Bogu wdzięczność.

✱

Religia nie jest zespołem uciążliwych obowiązków, jakie się wkłada na siebie na początku drogi. Ona jest tą drogą. Ona pije, ona nasiąka naszym życiem. Ona kieruje nami w naszych wewnętrznych skłóceniach, ogranicza naszą działalność, uszlachetnia ją i uwzniośla. Wyznawca Chrystusa nie mówi jak poganin, nie je jak poganin, nie śpi jak poganin, nie ubiera się jak poganin. Mając oczy zawsze skierowane ku Bogu, osiąga się większą pewność siebie, swobodę, skromność, radość, powściągliwość, powodzenie i rezygnację. Taka postawa zostawia piętno na całości bytu wewnętrznego.

Nie ma nic piękniejszego nad młodego chrześcijanina. (Naturalnie bez ostentacji, ale także bez fałszywego wstydu i przesadnej uwagi na to, co ludzie powiedzą.)

✱

Kiedy byłem młody, wstydziłem się oglądać w lustrze. Sądziłem, że przeglądanie się w lustrze płynie z chęci przypodobania się sobie. Trzeba przeglądać się w lustrze z całą surowością, stosując to jako rodzaj instrospekcji. Poprawka zewnętrzna posiada ogromne znaczenie, równocześnie jest zwiastunką poprawy wewnętrznej. Nie należy szokować ludzi swoim wyglądem, rozmową ani nawet intymnymi myślami (które są odgadnięte). Dokonuj surowej inspekcji samego siebie, tak pod względem fizycznym jak i moralnym. Ludzie mają cię na oku, podobnie jak ty sam obserwujesz innych. Bądź więc zapięty na ostatni guzik. Niegdyś, sporo nacierpiałem się z powodu mojego wyglądu i braku staranności w ubiorze. Można zwichnąć karierę z powodu brudnych butów czy dziury w marynarce (tak! tak!). Jauresowi wybaczonoby opadające skarpetki, ale tylko i wyłącznie przez wzgląd na jego geniusz. Chrześcijanin nie jest ani przesadnie elegancki, ani niechlujny. Dba o poprawny wygląd, który w żadnym wypadku nie zwraca na siebie uwagi...

✱

Powiedz mi z kim przebywasz, a powiem ci kim jesteś, mówi przysłowie. Bywaj u tych przyjaciół, którzy cię mogą podciągnąć i wzbogacić, a nie u tych którzy rozbudzają w tobie frywolność. Miej mało przyjaciół i wybieraj ich z rozwagą, nie kierując się kryterium przyjemnostek.

✱

Przyjemność! Jakie to niebezpieczeństwo! Na przyjemność będziesz mógł sobie pozwolić mając lat pięćdziesiąt, kiedy już sobie na nią zasłużysz. Im bardziej subtelna przyjemnośc, tym bardziej niebezpieczna. „Cóż w tym złego, że zajmuję się muzyką i malarstwem?" Otóż to. Ile zmarnowanego czasu, wówczas kiedy trzeba zdobywać wiedzę, formować umysł, przystosować się do medytacji, ćwiczyć się w cnocie. Prowadź życie zakonnika przez dziesięć czy piętnaście lat. Pełne powodzenie życiowe będzie twoją rekompensatą.

✱

U źródeł wszelkiej kariery leży cud pracy.

✱

Ce! Cel! Nie strać celu z oczu, a celem tym jest zbawienie wieczne. Podobać się rodzicom, Bogu! A nie światu. Świat nie przejmuje się tobą ani trochę. Gdybyś wiedział jak potworna obojętność kryje się pod pozorami sympatii!

✱

Mówię do studenta! Nie ma gorszej rzeczy niż obojętność t.zw. przyjemnych ludzi, więc po cóż poświęcać im swój czas? Dobieraj starannie swoich przyjaciół, kochaj ich, ale pamiętaj, że prawdziwy przyjaciel poprze cię w twojej pracy zamiast odrywać od niej...

✱

...Nie możesz siąść do pracy ani rano ani wieczorem, jesteś zaniepokojony już na cały tydzień naprzód. I dlaczego? A dlatego, żeby Pani X. oznajmiła swoim przyjaciółkom: „Był u nas Jurek... przemiłe stworzenie! Ten młody człowiek ma przyszłość przed sobą." Smutna to przyszłość skompromitowana takim zdaniem! Jest rzeczą bez wątpienia głupią dać się uwikłać w towarzyskie bzdury, kiedy trzeba kłaść fundamenty pod własne życie...

Mówię zawczasu do studenta. Nie miej zaufania u „society". To są zatrute grzyby.

W twoim wieku przyjaciele są współpracownikami, którzy mają te same tłumaczenie z łaciny. Wszyscy inni są wrogami twojej pracy.

✱

Unikaj próżniactwa! Miej umysł albo ręce zajęte jakąś robotą. Próżniactwo prowadzi do szukania przyjemności, a te pomału odwracają twoją uwagę od obowiązku.

✱

Nigdy nie mów: „ja tylko jeden raz". Tu leży początek dróg wiodących do złego. Studiując filozofię dowiesz się, że przyzwyczajenie zaczyna się od pierwszego razu. Niech więc twoje czyny będą czyste. Wyrzekaj się! Wyłączaj się!

✱

Sport sam w sobie jest rzeczą piękną. W rękach wielu ludzi staje się źródłem antychrześcijańskiej próżności oraz podniecenia, które jest przeciwnością pogody mędrca. Trochę sportu to zdrowie. Sportowy obłęd jest natomiast objawem niebezpiecznej głupoty.

✱

Nie zaniedbuj obowiązków kościelnych pod pretekstem zajęć. Ceremoniał obrządków kościelnych rozjaśni ci umysł. Jak podają legendy, mnisi pracujący nad iluminowaniem świętych ksiąg, po powrocie z kaplicy, znajdowali prace swoje wykończone w cudowny sposób. To jest bardzo możliwe, tym bardziej, że wierzę w cuda. Tylko, że my, marni grzesznicy, nie zasługujemy na nie. Wierz w cuda: Bóg bowiem może wszystko, ale nie myśl, że zasłużyłeś na tak wielką łaskę. Współcześni Francuzi, którzy już od stu lat nie wierzą w cuda, nagle zaczęli wmawiać w siebie, że cud uratuje ich ojczyznę. Ale nadzieja ich się nie sprawdzi. Kto nie wierzy w cud wtedy, kiedy cud mu nie jest potrzebny, ten nie zasługuje na ratunek w postaci cudu, kiedy zachodzi potrzeba. Zostaw swoje algebraiczne zadanie i idź na nieszpory i poproś swojego Anioła Stróża albo Ducha Świętego, aby udzielił ci dodatkowej inteligencji, potrzebnej do rozwiązania zadań. Taki cud ci się stanie, bo twoja pokora zasłużyła sobie na to, bo to zresztą nie jest cud. Nic mi nie jest wiadome jakoby ogromne dzieło św. Tomasza z Akwinu ucierpiało z powodu częstych modlitw. To samo odnosi się do prac innych pisarzy autorów żywotów Świętych, do prac takich ludzi, jak Pasteur, Branly, Lavoisier, Foch, itd.... którzy, jak wiadomo, przystępowali co dzień do Komunii św.

✱

Pewna bardzo intelektualna dama zwróciła się do mnie, mówiąc: „Proszę mi dać dowód na istnienie Boga" (między nami mówiąc, chodzi tu o środowisko dobrze poinformowanych, kulturalnych i inteligentnych ludzi).

Odpowiedziałem: „Jakiż inny lepszy dowód mógłbym Pani dać ponad ten, który otrzymaliśmy wprost od samego Boga?"

W istocie bowiem, aby nas zbawić od potępienia wiecznego, potrzebna Mu była nasza wiara w Niego. Dał więc mnożące się dowody swojego istnienia i swojej ingerencji w sprawy ludzkie. 1-o Stworzył odrębny naród hebrajski po to, aby ten mógł Go przyjąć. 2-o Narodowi temu dał wiarę w Jedynego Boga, tak aby mógł wierzyć lub nie wierzyć w Syna Jego. 3-o Narodowi temu dał historię, gdzie wszystko jest Jego symbolem, symbolem Boga. Józef — stróż pszenicznych śpichlerzy, Dawid — pokora, Salomon — mądrość (to wszystko można znaleźć w książkach) itd. 4-o W narodzie tym zaszczepił wiarę w przyjście Mesjasza, tak aby ten naród słuchał proroków swoich. 5-o I dał temu narodowi proroków, którzy zapowiadają jego przyjście tak wyraźnie, że jeden z nich, Izajasz, zasłużył sobie na miano piątego ewangelisty. Proroctwa stanowią tytuł szlachetności przed Panem, któż bowiem mógł być przepowiadany przez piętnaście wieków, począwszy od Mojżesza, jak nie Bóg. Jakże ściśle trzymał się On proroków i często wracał do nich, a umierając wyrzekł: „Wszystko się spełniło!", co znaczy — „Swoją osobą potwierdzam wszystko, cokolwiek przepowiedziano o mnie." 6-o Narodowi temu dał taki charakter że choć niefortunny i zniewolony, to przez Babilończyków to przez Rzymian, nigdy nadziei nie tracił na przyjście Zbawiciela... 7-o Do tego dodajmy niezliczone cuda, Zmartwychwstanie i bezpośredni kontakt Zmarłego z apostołami na przestrzeni czterdziestu dni, Wniebowstąpienie... 8-o Sakramenty, Kościół, Opatrzność. Eucharystia. Kiedy powątpiewa się w codzienny cud Hostii Przenajświętszej, zapytuję, dlaczego od dwu tysięcy lat milionv ludzi padają co dzień przed nim na kolana! Gdyby ten cud nie istniał w rzeczywistości, jakże można by było oszukać tylu ludzi od tylu już wieków? Zbiorowa halucynacja? Zgoda na to, że zbiorowej halucynacji ulec mogą kobiety, dzieci i prosty lud. Ale co z ludźmi wielkiego umysłu, którzy przyzwyczajeni są do ciągłej introspekcji, do chłodnego rozumowania, którzy mają zdolności krytyczne i umiejętność refleksji? A tymczasem wielkie umysły świata z wiarą przystępowały do Komunii św....

✱

Naucz się na pamięć Veni Creator i powtarzaj co rano albo każdorazowo przed rozpoczęciem pracy. Modlitwa ta jest nadzwyczaj skuteczna dla otrzymania pomocy Ducha Świętego: „Proście, a będzie wam dane." To, co tu mówię, mówię w oparciu o własne doświadczenie.

✱

Czy wiesz jakie są dary Ducha Świętego? Miłość, bojaźń Boża, inteligencja, mądrość, umiejętność, moc i rada.

Miłość Boga, bliźniego, miłość zwierząt i rzeczy, miłość, która jest matką ciekawości a więc miłosnego poznania, prawdziwa caritas... Bojaźń Boża, lęk przed sądem Bożym, który nas trzyma z dala od zła, od grzechu i słusznie nas powstrzymuje w kwestiach sumienia. Bojaźń objaśnia nam również nasze obowiązki (co jest o wiele trud-

niejsze niż intencje ich spełnienia). Inteligencja, albo zmysł perspektywy, który nam pozwala odnosić szczegóły do generalnych wytycznych i pomaga w klasyfikowaniu ludzi i wydarzeń w historii i ludzkości pojętej humanistycznie. Mądrość, albo filozofia praktyczna, zmysł doskonałego sprawowania się, który obejmuje rezygnację, słodycz, pogodność, oderwanie się i świadomość nicości rzeczy świata tego, dar miłości, brak pożądliwości i pychy. Umiejętność, albo pamięć, doświadczenie, obserwacja. Moc, albo niewzruszona, aczkolwiek ludzka, wola. Moc nie jest równoczesna z oślim uporem. Moc posiada w sobie element ludzki i dlatego właśnie krzyż jest niesiony przez Człowieka. Rada, albo takt, rozsądek, zastanowienie...

I co powiesz na to wszystko? Czy nie chciałbyś, aby powyższe dary stały się twoją własnością? W takim razie miej nabożeństwo do Ducha Świętego...

✱

Zgoda na to, że są wybitni ludzie, którzy nie mają nabożeństwa do Ducha Świętego, ale nie znaczy to, że w przymierzu z Duchem Św. ich osiągnięcia nie byłyby jeszcze większe. W każdym razie, to, co nazywamy „wrodzoną inteligencją", nie zapewni nam zbawienia wiecznego.

✱

Duch chrześcijański posiada wiele odmian, a przynajmniej dwie: ducha Najświętszego Serca czyli ducha żarliwości, miłości, zapału, entuzjazmu; duch Najświętszej Maryi Panny jest inny jak mi się zdaje. Jest to duch spokoju, skromności, roztropności, powściągliwości. N.M.P. zsyła ducha francuskiej trzeźwości, zdrowego rozsądku, logiki. Wielkie umiłowanie Najświętszej Maryi Panny jest gwarancją powodzenia. Oznajmia się ono u człowieka, który posiada w sobie dużo kobiecości (wrażliwość, delikatność), a także u człowieka, którego cechuje męskość (wola, akcja), jest to jednak skomplikowane zagadnienie. Za wcześnie jeszcze dla ciebie na wprowadzenie w kraje duszy, za dziesięć lat może, jeżeli będę jeszcze żył i pisał. Niech duch N.S. i duch N.M.P. będą w tobie, a zacznij od Najświętszej Panny, która poprowadzi cię do Najświętszego Serca.

✱

Musisz mieć kierownika w sprawach duchowych. Regularna spowiedź nie wystarcza. Kierownik zna nie tylko twoje grzechy, ale i cnoty. Spowiednik natomiast zna tylko mniej piękną stronę twego charakteru.

✱

Ambicja. Mówię dosyć często o „sukcesach". Co też należy myśleć o ambicji? Znam jedną jej okropną odmianę, a mianowicie ambicję posiadania tego na co się nie zasłużyło. To ona zabiła ostatnich wodzów naszej Francji. Poczciwy piekarz, który pragnie zostać posłem, senatorem i ministrem i bogaczem, jest obrzydliwy, śmieszny i niebezpieczny, zwłaszcza jeżeli ma szczęście i wolę. Piękna odmiana ambicji jest ambicja intelektuanej i moralnej doskonałości. Ambicja służenia ludzkości, ojczyźnie, sobie samemu i rodzinie staje się obowiązkiem. Pomijając specjalne powołanie do życia samotnego, mamy obowiązek dzielić się z ludźmi bogactwem, którego Bóg nam udzielił, tak samo jak i tym, które zdobyliśmy własną pracą...

✱

Żałować, że się ma wady, to dobrze. Usunąć je poprzez kult przeciwstawnej cnoty, to dużo lepiej.

✱

Nie skarż się nigdy. Porównaj swoje cierpienia z męką Chrystusa, który zmarł w strasznych męczarniach. Pamiętaj o męczennikach, o żywcem spalonych, o paznokciach wyrywanych na żywca. Wówczas twoje małe nieszczęścia wydadzą ci się maleńkie.

✱

Miłość własna — ona zatruwa wszystko, sprawia, że się nie ustępuje nikomu, jest źródłem niechęci, nienawiści. Zraniona miłość własna jest największą przeszkodą w wypełnieniu przykazania o miłości bliźniego...

✱

Zaufać Bogu! Mieć nadzieję w Bogu. Ten, który życie swoje poświęcił, aby ciebie zbawić, pragnie tylko twojego dobra...

✱

Bogaćmy się w cnoty! Nieobecność grzechu nie wystarcza. Kiedy spotykamy się z przykładem cnoty, starajmy się ją naśladować. Cierpliwość, rezygnacja i poświęcenie są niezbędną bronią w walce z trudami życia w tej dolinie łez. Nie wystarczy nie grzeszyć: to jest tylko negatyw, trzeba praktykować cnoty, a jednej starczy, aby otwarły się bramy Raju.

✱

Ile czasu, ile długich godzin zmarnowałem na czytanie książek, których dziś już w ogóle nie pamiętam. Gdybym ten sam czas poświęcił na studia w określonym kierunku, stałbym się bezapelacyjnym znawcą w tej dziedzinie.

✱

Nie chodź do kina. Jest to wykolejająca rozrywka, tyleż warta co podły romans kryminalny albo to, co nazywamy kuchenną literaturą. Dzieci bardzo lubią obrazki. Czy kino nauczy cię czegokolwiek? Zafałszuje ci umysł...

Piękno jest owocem życia wewnętrznego. Świat ci się uzewnętrzni i zarysuje w sposób interesujący kiedy potrafisz żyć w sobie. I to wystarczy. Spocób, w jaki inni widzą, nie należy do kręgu twoich zainteresowań. Sztuka nie jest rzeczą interesującą dla twojej duszy. Twoja własna wizja, to co innego! Zbliżając się do czterdziestki będziesz mógł sobie pozwolić na luksus sztuki. Dziś inne zadania stoją przed tobą. Z tych wszyskich książek, z tych wszystkich filmów rodzi się tylko gadulstwo, które nie zna końca, podczas kiedy milczenie jest rzeczą drogocenną. Wszystko co dobre wypływa z milczenia. Któż zdobędzie się na pochwałę milczenia?

✱

Nie bądź człowiekiem czarującym. Czarować kogo? I po co? Bądź człowiekiem rzeczywistym, prawdomównym, wrażliwym, inteligentnym, energicznym. Czarującym nazywamy takiego człowieka, który potrafi łechtać próżność innych ludzi (a sposobów jest tysiąc), Prawdziwy człowiek jest także i naprawdę czarujący, ale w stosunku do Boga, do aniołów, on czaruje ludzi którzy zasługują na to, a nie przeciętniaków, którzy — nudząc się — pragną urozmaicić puste życie elegancją, świeżością twoich dwudziestu lat. Pochlebcy budzą we mnie odrazę, to oni cieszą się uznaniem świata, albowiem potrafią schlebiać każdemu z osobna.

✱

Moralność to rysunek życia, jego armatura. Rysunek miękki, jak mówi Ingres, jest rysunkiem tchórza.

✱

...Czytaj historię, staraj się o zrozumienie historii, czytaj pamiętniki z minionych czasów, o tak! Tam znajdziesz wiele, wszystko. Kiedy przeczytasz pamiętniki X-a czy Z-ta, wszystkie zdarzenia z tej epoki powiążą ci się w całość i lepiej ją poznasz niż za pomocą jakiegokolwiek podręcznika szkolnego. Czytaj monografie...

Streszczam: Bądź człowiekiem wyspecjalizowanym, ale staraj się także mieć wiedzę spoza sfery twojej specjalności, jeżeli to możliwe, nie bądź natomiast jednym z t.zw. „kulturalnych" ludzi, w tym sensie, jaki nadaje się temu słowu. Jedynie szeroka wiedza zasługuje na miano kultury. Każda inna kultura jest kulturą mętnego bakałarza, przeciętniaka, plotkarza salonów. Przede wszystkim bądź prawdziwym chrześcijaninem, to jest istota rzeczy i podstawa wszystkiego.

✱

Rzeczy, które obdarzamy zainteresowaniem nigdy nas nie nudzą. Jeżeli jakaś rzecz cię nudzi, wystarczy pogłębić twoją wiedzę o niej, a zacznie cię pasjonować. Pasjonować się można dosłownie wszystkim co się zgłębiło, nawet jeżeli to jest produkcja guzików do spodni czy zapałek.

✱

Rzeczą istotną jest znać ludzi i w ten sposób walczyć z umysłowością matematyczną, czyli z umysłowością anty-chrześcijańską i przeczącą inteligencji ludzkiej. Nie gardź prostaczkami. To od nich usłyszysz ten głos idący z serca, który ludzie z „towarzystwa" potrafią zmusić do milczenia. Nie gardź także „wielkimi ludźmi"...

✱

Gdyby młodzi wiedzieli, co to jest starość dręczona wyrzutami sumienia, co znaczy ten koszmar, unikaliby nawet najlżejszego grzechu z obawy przed tym piekłem na ziemi! Gdyby młodzi znali pogodne piękno starości człowieka czystego i mądrego, pracowaliby ze wszystkich sił, aby osiągnąć czystość, mądrość i sprawiedliwość. Nie mów, że masz jeszcze dosyć czasu na te rzeczy, bo czas nie istnieje. Na Sądzie Ostatecznym będziemy zdawali rachunek z całego życia. Będziemy musieli się wyliczyć z każdej myśli, z najmniejszego lenistwa, z nieważnej zabawy, aby zostały usprawiedliwione lub potępione.

✱

W dobroci Boga pokładaj ufność: jeżeli kochasz Boga, On cię będzie kochał. Co to znaczy kochać Boga? To znaczy kochać Dobro, to znaczy za cel swój obrać Doskonałość, to znaczy mnożyć dobre uczynki dyskretnie i żarliwie. Kochać Boga w ten właśnie sposób oto jest cel życia.

Miej nadzieję w Bogu, ale wiedz, że granicą Jego dobroci jest Jego Sprawiedliwość albowiem będąc Doskonałym nie może nie być Sprawiedliwym. Sprawuj się więc tak, aby Jego Sprawiedliwość miała powody do okazania ci Jego Dobroci...

✱

...Należy formułować swoje opinie stanowczo, jeśli jest okazja po temu, nawet afiszować je, kiedy zachodzi potrzeba dania przykładu, a także czynić próby nawrócenia innych. Zresztą wiem, że jesteś taktowny i że znajdziesz właściwy ton, nie okazując ani tchórzostwa ani nie uciekając się do gwałtu. Pomnij na następujące słowa Chrystusa: „Kto mnie będzie wyznawał przed ludźmi, Tego i Ja wyznam przed Ojcem Moim." Podkreślaj więc swoją wiarę. Wiem, że nie stanie się to u ciebie okazją do pychy czy pretensjonalności.

✱

Wszystko sprowadza się do tego, żeby być, jeżeli nie lepszym, to przynajmniej dobrym.

✱

Skończyłem mój zeszyt. Wygląda raczej na długie kazanie niż na praktyczny podręcznik, którego się spodziewasz. Ale widzisz, nie wierzę w kazania, które nie są równocześnie praktycznymi podręcznikami...

Tłum. Z. Ławrynowicz

TADEUSZ FELSZTYN

DUSZA, UMYSŁ, CIAŁO

Na dorocznym zjeździe nauczycieli przyrody (Science Masters Association) w Londynie, w dniu 31 grudniu 1958 r., wybitny biolog J. Z. Young, jeden z czołowych angielskich pozytywistów, powiedział: „jeśli zwierzę potrafi zapamiętać przeszłe doświadczenia, to jest dogmatem nauk przyrodniczych, że pamięć ta musi być czymś materialnym".

Powiedzenie to niezmiernie charakterystyczne. Po pierwsze, dlatego, że nareszcie przyznał jakiś pozytywistyczny przyrodnik, iż u podłoża jego światopoglądu tkwi nie rozumowy wniosek z doświadczenia lub też naukowa hipoteza (jak to twierdzi większość pozytywistów), ale dogmat. Po drugie, określił on niezmiernie dokładnie ten dogmat, który większość pozytywistów milcząco przyjmuje, choć bardzo niechętnie się do tego przyznaje.

„Jeśli u zwierzęcia spotykamy pamięć, to pamięć ta musi być materialna." Warto tu zwrócić uwagę na słowo „być". Gdyby Young twierdził, że pamięć musi posiadać podłoże materialne, większość przyrodników i filozofów by się z nim zapewne zgodziła, gdyż byłoby to zgodne z dotychczasowymi doświadczeniami nad pamięcią zwierząt, a nawet ludzi. Ale Young postuluje więcej. Pamięć nie tylko ma swe podłoże materialne, ale jest materialna, jest więc tylko jakimś procesem fizyko-chemicznym w mózgu.

To twierdzenie, ten dogmat, jak słusznie się wyraził Young, ma zapewne wiele faktów doświadczalnych, które za nim przemawiają. Wycięcie odpowiednich płatów mózgu u zwierzęcia, obrażenia mózgu u człowieka — jeśli nie całkiem wymazują pamięć, to przynajmniej mocno ją osłabiają. I to samo dzieje się z innymi cechami umysłowymi człowieka. Leukotomia (przecięcie połączeń między przednim płatem mózgu a niektórymi innymi jego częściami) zmienia charakter człowieka: z niepoczytalnego gwałtownika może np. uczynić spokojnego, choć nieco otępiałego flegmatyka. Biochemikowi Akerfeldtowi udało się wyodrębnić we krwi serum, które, zastrzyknięte do krwi innego pacjenta, wywołuje u niego przejściowe objawy schizofrenii. Dr Bercel zdołał nawet wywołać objawy schizofrenii u pająków.

Wniosek jednak, jaki się z tego często wyciąga, że zjawiska psychiczne są tylko przejawami procesów fizjologicznych, zachodzących w mózgu, jest niewątpliwie logicznie wadliwy. Jedyne twierdzenie, które z tych faktów wysnuć można, to ścisły związek, jaki zachodzi między zjawiskami psychicznymi, a procesami materialnymi w mózgu.

* ✱ *

Niewątpliwie więc zjawiska psychiczne mają swe podłoże materialne w procesach, zachodzących w mózgu. Nie znaczy to jednak, aby koniecznie były z nimi identyczne. Jak w tym samym wykładzie słusznie podkreślił Young, analiza chemiczna farby drukarskiej nie może nam niczego powiedzieć o treści książki. Podobnie, można by dodać, dokładna znajomość fal stojących w elektronowych rurach „pamięci" nowoczesnych liczydeł elektronowych (owego ulubionego modelu mózgu cybernetyków) nie może nam niczego powiedzieć o tym, co one znaczą, dopóki nie znamy „programu" pracy tego liczydła, a więc sensu, jaki tym znakom nadał jego operator, który za owe liczydło elektronowe myśli.

Istnieje dziś wiele już automatów, które mogą się „uczyć", które więc posiadają „pamięć". Dzięki niej mogą one pewne czynności wykonywać w sposób najkorzystniejszy w danych warunkach zewnętrznych. Czynią to jednak nie same z siebie, ale dlatego, że takie instrukcje dał im ich konstruktor, czy też układający ich „program". Poza tym programem jednak, same z siebie, niczego dokonać nie potrafią. Nie „myślą" więc, ale są po prostu przedłużeniem myśli człowieka, tak jak samochód jest przedłużeniem jego nóg.

Niektórzy przyrodnicy chcieliby w zwierzętach widzieć jedynie tego rodzaju automaty, choć niewątpliwie dla zwierząt wyższych tego rodzaju model na pewno nie odzwierciedla rzeczywistości zbyt wiernie. Na pytanie, kto jest „programującym" dla owych zwierzęcych automatów, odpowiadają, że „dobór naturalny". Wydaje mi się, że w dyskusji, jaka rozwinęła się na ten temat w sierpniowych numerach „Sunday Times" w 1958 roku, miał rację anglikański biskup Ward, gdy twierdził, że dla chrześcijanina „programującym" jest Bóg, który posługuje się doborem naturalnym jako narzędziem swego „programowania".

Jeśli chodzi o człowieka, model ów jest fałszywy, nie uwzględnia on bowiem dwu podstawowych faktów życia psychicznego człowieka, jego świadomości i jego wolnej woli, dwu faktów niezaprzeczalnych, skoro każdy człowiek jest ich świadom z introspekcji. Jak słusznie stwierdził MacKay w odczycie radiowym w B.B.C. (9 maj 1958), nawet dokładne poznanie wszystkich prądów elektrycznych w mózgu człowieka nie pozwoliłoby nam przepowiedzieć, co człowiek ten za chwilę uczyni, ze względu na jego wolność wyboru. Co więcej, nowsze obserwacje psychologów i psychiatrów wykazały, że — jeśli zjawiska fizjologiczne mózgu wpływają na procesy psychiczne człowieka, to i na odwrót stan psychiczny człowieka w równej, a może nawet i silniejszej mierze, wpływa na jego procesy somatyczne, to jest takie, które zwykle przypisujemy wyłącznie ciału. Wiemy z codziennej obserwacji, że złość, radość, strach, czy uniesienie odbijają się na całym nie tylko zachowaniu, ale i wyglądzie człowieka, a więc wywołują różne objawy fizjologiczne, czasami nawet bardzo przykre. Wiadomo również, że przy silnej woli człowiek może nie tylko zapanować nad tymi objawami, ale nawet znieczulić się na bodźce zewnętrzne w stopniu nieraz tak doskonałym, jak to widzimy w wielu opisach śmierci Świętych, lub — na niższym poziomie duchowym — w wyczynach fakirów.

W doskonałych artykułach „Sunday Times" z czerwca i lipca 1957 roku wybitny, choć z konieczności anonimowy psychiatra przytacza wypadki, kiedy zachorzenia pozornie czysto somatyczne miały swe wyłączne źródło psychiczne. Przytacza on m. in. wypadek kobiety, która od lat cierpiała na straszliwe bóle w ramionach, karku, plecach i obu nogach, przy czym bóle te z czasem stały się nie do zniesienia. Wszelkie badania lekarskie, prześwietlania, nie zdołały wykryć żadnego somatycznego źródła owych bólów. Dopiero psychiatra zdołał stwierdzić, że powodem ich był stan naprężeń psychicznych. Po znalezieniu ich źródła i usunięciu go metodami psychoanalizy, ustały i bóle fizyczne.

Inny przykład — to chłopak, który codziennie wracał ze szkoły ze straszliwymi bólami brzucha. Żadnego somatycznego źródła tych bólów nie udało się wykryć. Psychoanaliza wykryła jednak ich pochodzenie psychiczne. Chłopak ten przez trzy lata był odłączony od matki. Ilekroć wracał ze szkoły, obejmowała go nieświadoma obawa, że znów matki nie zastanie. Nie znajdując ujścia w świadomości, obawa jego objawiała się bólem fizycznym.

Nie są to bynajmniej wypadki odosobnione. Spośród 42 pacjentów w szpitalu Strong Memorial Hospital w Rochester (Stany Zjedn.) u jednego tylko badania psychiatryczne nie zdołały wykryć psychicznej przyczyny jego czysto somatycznej choroby. U wszystkich innych choroba pozornie nie mająca żadnego związku ze stanem duchowym pacjenta (jak np. choroba serca, wrzód na dwunastnicy, częściowy paraliż, bronchit, wrzód w mózgu itp.) była ściśle związana z jakimś przykrym przejściem psychicznym. Te same wyniki dają i obserwacje klinik londyńskich. W jednej z przychodni ginekologicznych ponad połowa chorób miała swe podłoże emocjonalne. W przychodniach chorób wewnętrznych u 20 w przybliżeniu procent pacjentów źródłem choroby były zaburzenia psychiczne lub też silny stan pobudzenia emocjonalnego. W przychodniach w okolicach wiejskich procent ten spadał do 10 lub najwyżej 15. Widać więc, że warunki życia na wsi, nawet tej silnie uprzemysłowionej wsi angielskiej, są znacznie korzystniejsze dla zdrowia psychicznego, niż warunki życia w nowoczesnym mieście.

Ten tak silny związek chorób somatycznych ze stanem psychicznym pacjenta był słusznym uzasadnieniem wniosku komisji biskupów anglikańskich (na konferencji tych biskupów w styczniu 1958 roku), że na trzech chorych jednemu co najmniej bardziej by się przydał ksiądz niż doktor.

Do tego samego wniosku prowadzą i badania nad samym procesem walki organizmu z chorobą. Bez względu na to, czy jest to rana czy też choroba, proces leczenia się organizmu przebiega zawsze w ten sam sposób. W pierwszym rzędzie musi nastąpić sygnalizowanie uszkodzenia do mózgu człowieka, czy też zwierzęcia. Badania nad zwierzętami, których uszkodzone miejsca umieszczono w takim

sztucznym środowisku, że życie poblis-kich uszkodzonemu miejscu komórek biegło zupełnie normalnie, wykazały, że w tych warunkach rana się nie goi. Po prostu nie doszła ona do podświadomości zwierzęcia. Takim bardzo ważnym i istotnym sygnałem jest ból, którego silny ładunek emocjonalny pozwala mu się przebić poprzez najintesywniejsze nawet wrażenia, absorbujące w danej chwili świadomość. U osób, które wyjątkowo nie odczuwają bólu, proces leczenia się jest znacznie trudniejszy. Widać więc, że ból nie jest tylko „złem", jak to twierdzi wielu przeczulonych nowoczesnych „humanistów", ale — na odwrót — jest zjawiskiem pożytecznym w życiu osobnika.

Z chwilą, gdy sygnał uszkodzenia doszedł do mózgu, podświadomy proces mózgowy wywołuje sygnały do gruczołów wydzielania wewnętrznego, te zaś z kolei wysyłają do uszkodzonego miejsca odpowiednie hormony, które powodują proces gojenia się, lub też walki z chorobą.

Chociaż ten bieg sygnałów od uszkodzonego miejsca poprzez mózg do gruczołów wydzielania wewnętrznego jest całkowicie podświadomy, to jednak stan psychiczny osobnika wywiera nań bardzo duży wpływ. Przygnębienie lub lęk zwalniają proces wydzielania hormonów, nastrój optymistyczny go przyspiesza. Wola wyzdrowienia jest poważnym czynnikiem, przyspieszającym walkę z chorobą, rezygnacja, bierne poddanie się złu, lub bardziej jeszcze — pragnienie śmierci, proces ten osłabiają, lub nieraz całkowicie przerywają. I nie odnosi się to tylko do walki z chorobą. Ci, którzy przeżyli obozy koncentracyjne, doskonale wiedzą, że utrata wiary w to, że wyjdzie się z obozu, była prawie że zawsze początkiem konania w obozie.

* ✱ *

Te wypadki bardzo silnego wpływu stanu psychicznego na stan fizyczny osobnika, podobnie jak i — na odwrót — stanu fizycznego na jego stan psychiczny, nie mogą znaleźć wytłumaczenia w materialistycznym ujmowaniu człowieka jako istoty czysto materialnej, której życie psychiczne jest tylko przejawem procesów fizjologicznych w mózgu. Wykazują one bowiem, że zarówno życie psychiczne jak i fizjologiczne człowieka stanowi całość. Zaburzenie jednego powoduje zaburzenie drugiego. Dobry stan jednego wywołuje dobry stan drugiego.

Jedynym zgodnym z rzeczywistością wyjaśnieniem tego faktu jest teoria Arystotelesa i św. Tomasza o łączności materii i formy (hylemorfizm). Ciało i dusza nie są bynajmniej jakimiś dwoma zupełnie odrębnymi bytami, jakimś przypadkowym i nieszczęśliwym połączeniem dwu zupełnie odrębnych elementów. Dusza nie jest „duchem w maszynie", kierowcą w samochodzie, ale jest ściśle złączona z ciałem. Jest — zgodnie z hylemorfizmem tomistycznym — treścią substancjalną istoty ludzkiej, podczas gdy ciało jest tej istoty tworzywem. Dusza i ciało nie są więc dwoma odrębnymi składnikami istoty ludzkiej, lecz stanowią jedną nierozłączną całość. „To nie dusza myśli i to nie ciało trawi: ale człowiek myśli i człowiek trawi"; „dusza ludzka nie jest Aniołem, ale treścią ciała, a ciało nie jest maszyną, ale składnikiem duchowej istoty" (o. Bocheński, „ABC tomizmu", Veritas 1950, str. 48 i 49).

Pomimo 700 lat, jakie upłynęły od chwili wygłoszenia tej tezy, jest ona dziś najlepszym wyjaśnieniem tego intymnego związku między życiem duchowym i fizycznym człowieka, jaki coraz bardziej odkrywa nowoczesna medycyna i psychiatria.

Sądzę, że należałoby tu — za św. Tomaszem — powtórzyć, że ów ścisły związek ciała i duszy czyni duszę samą, po śmierci człowieka, czymś niedoskonałym, niekompletnym. I dlatego właśnie ciała zmartwychwstanie, które kiedyś nieśmiertelną duszę znów połączy z odrodzonym ciałem, jest logiczną konsekwencją owego ścisłego związku, owej istotnej jedności człowieka w pozornej jego dwoistości.

* ✱ *

W dotychczasowych wywodach, mówiąc o życiu fizycznym i duchowym człowieka, o jego duszy i ciele, nie użyliśmy ani razu słowa „umysł". Słowo to zostało wprowadzone przez uczonych, którym się początkowo, być może nieświadomie, wydawało, że „dusza" jest „nienaukowa" i że stosując nazwę „umysł" będą mogli oderwać psychologię od spirytualizmu. Z czasem nazwa ta została powszechnie przyjęta i dziś stanowi podstawowy termin psychologiczny. Niestety jednak nikomu dotąd nie udało się zdefiniować ściśle, czym właściwie jest „umysł". Nie dziw zresztą. Nawet Freud, który jest właściwie twórcą całej nowoczesnej psychologii, uważał „umysł" tylko za opis bardzo złożonych zjawisk fizjologicznych mózgu. Sądził on, że kiedyś przyjdzie dzień, gdy całe życie psychiczne człowieka można będzie bez reszty wyjaśnić przy pomocy działalności jego mózgu. Dla Freuda więc badanie umysłu było tylko fazą zastępczą do czasu, gdy postęp fizjologii potrafi wyrazić wykryte przez niego prawa w opisie czysto fizjologicznym.

Dla innych psychologów umysł jest umownym skrótem tych zjawisk w życiu człowieka, które łączą się z jego myślą, wolą, postrzeganiem, uczuciem itp. „Umysł, głosi słownik psychologiczny J. Drewera, jest to zorganizowana całość struktur i procesów psychicznych, tak świadomych, jak nieświadomych", gdzie pod słowem „psychiczny" rozumie autor wszystkie przejawy myśli człowieka, szczególnie jednak te, które nie są bezpośrednio złączone z jego zmysłami.

Jeden z czołowych psychiatrów angielskich, dr Strauss, uważa umysł za termin naukowy, obejmujący całokształt ludzkich doznań, uczuć i pragnień, tak tych, które istotnie zachodzą, jak i tych, które są potencjalnie możliwe. Wzorem wielu psychologów jednak stosuje on nazwę „psyche", zamiast nieomal pojęciowo identycznej „mind".

Jak widać, choć nazwa „psyche" pochodzi od tego samego greckiego słowa, co i „dusza", ma ona pojęciowo zakres dużo mniejszy, obejmuje bowiem tylko część przejawów życia człowieka, inaczej niż dusza w znaczeniu tomistycznym, która bierze udział zarówno w procesach somatycznych, jak i tych, które określamy nazwą „umysł".

Aczkolwiek, jak o tym mówiliśmy wyżej, jest niezmiernie trudno postawić granicę między procesami somatycznymi, a psychicznymi, splatają się one bowiem ściśle ze sobą, tym niemniej użycie nazwy „umysł" jest zupełnie uzasadnione. W każdej nauce bowiem z obszernego zakresu splecionych ze sobą zjawisk zawsze wyodrębniamy pewien ich zakres węższy, który chcemy badać.

Gdy mówimy o tym węższym zakresie zjawisk, którym przypisujemy nazwę zjawisk umysłowych, z miejsca nasuwa się pytanie, czy mają one charakter czysto materialny, czy też są jakimś odrębnym światem niematerialnym. Opinie psychologów są co do tego mocno podzielone. Nie będziemy tu dyskutowali tego problemu, omówiliśmy go bowiem już poprzednio i wrócimy do niego na końcu artykułu. W niniejszej części ograniczymy się więc jedynie do czysto psychologicznego znaczenia słowa „umysł", określonego wyżej.

To wyodrębnienie przejawów duchowych człowieka od jego procesów czysto somatycznych, jest konieczne, gdyż oba te przejawy życia człowieka są całkowicie od siebie różne i — mimo wszelkich wysiłków psychologów materialistycznych — nie dadzą się ująć w jedną całość, wyrazić jednymi prawami. Jak to mocno podkreślił Sherrington, życie umysłowe człowieka nie daje się ująć w jednostkach masy, siły, energii, które są przecież podstawą wszelkiego opisu zjawisk natury fizycznej.

Zapewne, cybernetyka usiuje przerzucić most na tę przepaść przy pomocy swoich modeli, a przede wszystkim pojęcia sprzężenia zwrotnego. Pomiędzy jednak tak modelami, jak i automatami cybernetyki a myślą ludzką zachodzi zasadnicza różnica. Jest nią świadomość, której wyjaśnić nigdy nie potrafi żaden model cybernetyki. Weźmy wspomniany na początku artykułu przykład książki. Nawet, gdyby od analizy chemicznej farby drukarskiej przejść do opisu jej liter i do ich „organizacji", tj. słów i zdań, sens książki wciąż jeszcze pozostanie niezrozumiały, jeśli nie będzie istoty myślącej dla jej rozszyfrowania. Możemy skonstruować automat, który na takie czy inne słowa będzie reagował w określony sposób, automat ten jednak nadal nie będzie książki rozumiał. Choćbyśmy nawet sobie wyobrazili automat, który „przeczytawszy" opis jakiegoś krajobrazu, krajobraz ten „namaluje", ciągle jeszcze nie będzie to dowodem, że automat „zrozumiał" treść książki, a jedynie wynikiem jej zrozumienia przez człowieka, który odpowiednio taki automat skonstruował i sprogramował.

Wyjaśnienie więc, dlaczego, gdy oko moje odbiera fale świetlne określonej długości, ja widzę kolor czerwony, dlaczego, gdy czytam wiersz lub słucham muzyki, wywołuje to w moim umyśle nie tylko pewne obrazy, ale i pewne stany uczuciowe, nie jest możliwe na gruncie materialistycznym. Jedynie dualizm istoty ludzkiej, łączność hylemorficzna ciała i duszy, może być syntezą obu tych tak w swej istocie odrębnych zjawisk.

Jeśli więc słowu „umysł" dać znaczenie zespołu pewnych zjawisk życia ludzkiego, to wszelkie opisy życia umysłowego nie będą dokładnym odzwierciedleniem

rzeczywistości, ale jedynie jakimś jej modelem. Takie określenia, jak np. „ego", „id", „superego", którymi szermują psycholodzy, są z samej swej istoty nieobserwowalne. Określić je można jedynie przy pomocy funkcji, jakie spełniają one w danym modelu, nigdy jednak nie można im przypisać ani miejsca, ani kształtu, ani innych cech fizycznych.

Modele, jakie wprowadza nowoczesna nauka, nie są jakimiś bytami rzeczywistymi, istniejącymi poza naszym umysłem, nie są fotografią jakiejś rzeczywistości, ale są tylko obrazami, stworzonymi przez umysł ludzki, aby rzeczywistość możliwie najlepiej opisać. Wyraźne zrozumienie tej podstawowej zasady współczesnej epistemologii jest w psychologii jeszcze bardziej konieczne niż w fizyce. Na skutek bowiem mylnego ujmowania tych modeli wielu ludzi wyobraża sobie, że człowiek to nie tylko dusza i ciało, ale to jeszcze ponadto „id" „ego" i „superego", jakaś wielowarstwowa istota, zespół różnych bytów, związanych w jedną osobowość ludzką. Tego rodzaju fałszywe wyobrażenia, będące wynikiem zbytnich uproszczeń w popularnych książkach i prasie oraz braku wykształcenia filozoficznego, wyrządzają wiele szkody i utrudniają zrozumienie czym właściwie jest człowiek.

* ✱ *

Jak zaznaczyliśmy, przejawy życia duchowego człowieka, to co w skrócie nazywamy „umysłem" człowieka, podlegają prawom zupełnie odmiennym od praw, jakie spotykamy w świecie ciała ludzkiego, w świecie materii w procesach somatycznych. Jeśli do tego dodamy zjawiska introspekcji, w których, jak twierdzi Young (w niedawno przetłumaczonej na angielski książce, napisanej wspólnie z niedawno zmarłym wybitnym fizykiem atomowym Paulim: „The Interpretation of Nature and the Psyche"), związek między czasem a przestrzenią jest znacznie ściślejszy niż w zjawiskach otaczającego nas świata, oraz zjawiskach postrzeżeń pozazmysłowych, to jasne się staje, że opis wyłącznie fizjologiczny nie może wyjaśnić istoty życia psychicznego człowieka. Czy znaczy to, zapytuje Pauli, że opisując zjawiska psychiczne i towarzyszące im zjawiska fizjologiczne w mózgu, opisuje się dwa zupełnie odmienne, częściowo tylko ze sobą połączone procesy? Bynajmniej, brzmi jego odpowiedź, opisujemy te same zjawiska, tylko z dwu różnych punktów widzenia. Postępujemy zupełnie podobnie jak wówczas, gdy opisując światło stosujemy raz model fali, drugi raz model bezważkiej cząsteczki, fotonu. Z tą tylko różnicą, że w wypadku światła możemy znaleźć syntezę obu tych modeli w postaci matematycznej teorii mechaniki kwantowej. Możemy to uczynić, gdyż oba te modele, operując podstawowymi elementami masy, przestrzeni i czasu mogą znaleźć wspólne ujęcie w teorii matematycznej, opartej na tych samych elementach.

Natomiast zjawiska psychiczne człowieka nie tylko że nie dają się wyrazić elementami masy, energii i przestrzeni, jak o tym już poprzednio mówiliśmy, ale ponadto niekiedy nawet nie dadzą się podporządkować kategorii czasu. Przeczucia, jasnowidzenia, postrzeganie zjawisk, które jeszcze nie zaistniały, wskazują na to, że — pewne przynajmniej — przejawy psyche ludzkiej mają charakter pozaczasowy.

Zjawiska psychiczne człowieka przebiegają więc równocześnie w dwu niejako płaszczyznach: płaszczyźnie materialnej, podległej kategoriom czasu, energii i przestrzeni, oraz płaszczyźnie duchowej, poza czasem i przestrzenią. Ujęcie ich więc wspólną syntezą na jednej z tych płaszczyzn jest niemożliwe. Konieczne są dwa modele, wyrażające tę samą rzeczywistość, każdy jednak na innej płaszczyźnie, w innym układzie.

Ten pogląd dwu wybitnych uczonych, jednego psychologa, a drugiego fizyka, jest podwójnie ciekawy. W pierwszym rzędzie bowiem wskazuje on na to, że nawet dla ludzi, którzy — jak Pauli — całe swe życie naukowe spędzili w atmosferze świata materialnego, obecny nasz stan wiadomości o człowieku nie daje się zamknąć w ramy materii, lecz wymaga wyjścia poza nią, do innego świata, innymi zupełnie rządzonego prawami, świata ducha. Po wtóre, jeśli bliżej przyjrzymy się obu modelom dopełniającym, które — wedle Paulego — są konieczne dla pełnego opisu zjawisk psychicznych człowieka, to zauważymy, że w gruncie rzeczy są to tomistyczne kategorie materialnego ciała, tworzywa, i niematerialnej duszy, jego formy substancjalnej.

Po latach więc szukania rozwiązania wszystkich zagadnień jedynie w świecie materii, latach odrzucania filozofii tomistycznej, jako „średniowiecznego scholastycyzmu", myśl uczonych, starających się objąć całość zjawisk, tak zewnętrznych, jak i odbywających się w naszej psyche, powraca do tego, co 700 lat temu głosił św. Tomasz. Wyrażają to oni innymi słowami, słownictwem zapożyczonym z nauk nam współczesnych. Istotna treść jest jednak ta sama: człowiek nie jest ani tylko ciałem, ani tylko duszą, ani nawet luźnym związkiem obu tych składników, z których każdy inną wykonuje funkcję, ale jest duszą i ciałem równocześnie, duszą i ciałem tak ściśle ze sobą związanymi, że w każdym jego działaniu, w każdym objawie jego życia oba te czynniki występują równocześnie i nierozdzielnie. Taka jest dziś jedynie naukowo możliwa synteza tego, co wiemy o naturze ludzkiej.

Dr Tadeusz Felsztyn

W OBLICZU CIERPIENIA

Człowiek nieuleczalnie chory albo kaleka, ale który ma przed sobą jeszcze spory szmat życia, nie chce szpitala. Chce mieć dom. Chce wierzyć, że ma jeszcze coś do zrobienia, że może służyć jakiemuś pożytecznemu celowi. A przede wszystkim chce być po prostu normalnym człowiekiem, żyć w tak normalnych warunkach jak to po ludzku jest możliwe, cieszyć się swobodą i serdecznością życia rodzinnego. Temu celowi właśnie nasze Domy (Cheshire Homes) chcą służyć.

Jest zjawiskiem uderzającym, że gdy zdrowi i mocni zaprzęgną siebie do pomocy tym, którzy są bezradni, dostają więcej niż dają. Otrzymują łaskę. Jest im dana pomoc i siła w rozwiązywaniu ich codziennych spraw i trudności; bo przecież przede wszystkim przez zapomnienie o sobie samym i przez pamięć o potrzebach innych osiągniemy zbawienie i wprowadzimy ład w nasze nieporządne życia. Tak się też staje, że mężczyźni i kobiety o najróżnorodniejszych społecznych pozycjach, poglądach czy narodowościach, którzy staną razem, aby założyć „dom" (home) dla kalek i bezdomnych, sami osiągną między sobą jedność i porozumienie, jakich nie znali dotąd. Innymi słowy, ten proces, który w nas się przejawia, kiedy oddamy się bez reszty dziełu miłosierdzia, zaczyna się przejawiać i rozprzestrzeniać w społeczeństwie. A skoro raz się zacznie, któż może przewidzieć jak daleko sięgnie?

Kiedy rozpoczynała się nasza robota, nie mieliśmy nic innego na widoku jak tylko bezpośrednie potrzeby jednego starego człowieka umierającego na raka. Dzisiaj, przez zbieg okoliczności i dzięki pomocy wielu ludzi, ta robota rozszerzyła się na różne strony świata i rozszerza się szybko dalej. Cel jej jest ten sam co na początku — stworzyć „dom" (home) dla tych, którzy swego nie mają i nigdy mieć nie mogą. Tylko zamiast jednego Domu, istnieją dziś Rodziny Domów — symbol, chcemy w to wierzyć, podstawowej solidarności wszystkich ludzi, bez względu na rasę czy wierzenia, gdy staną w obliczu ludzkiego cierpienia i nieszczęścia.

Leonard Cheshire

✱

Istnieje związek logiczny między okropnościami epoki atomowej i obranie cierpienia jako dziedziny „zawodowej" przez jednego z bohaterów ostatniej wojny. Leonard Cheshire, pierwszy uczeń, najmłodszy pułkownik lotnictwa, kawaler „Victoria Cross", „D.S.O." (potrójnie) i „D.F.C.", był obserwatorem przy zrzuceniu bomby atomowej na Hiroshimę. Dzisiaj jest twórcą ruchu dla niesienia ulgi w cierpieniu (**Mission for the Relief of Suffering**), fundacji miłosiernej (**Cheshire Foundation Homes for the Sick**), założycielem stowarzyszenia modlitewnego i ofiarniczego (**Family of the Holy Cross**), szerzycielem kultu Św. Oblicza, organizatorem międzynarodowej akcji miłosiernej, których celem jest ulga w cierpieniu, walka z cierpieniem negatywnym, przetwarzanie cierpienia na zasługę, wyrabianie solidarności z cierpiącymi, braterstwo w cierpieniu i z cierpieniem. Cheshire i jego



współpracownicy „robią karierę w branży cierpienia", karierę, której sukcesy moralne i materialne są zdumiewające.

Zdemobilizowany Cheshire szukał, jak wielu, celu życia. Buntował się przeciw wojnie i cierpieniu, chciał współdziałać w zapewnieniu światu i ludziom pokoju, bezpieczeństwa i ulgi w cierpieniach. Był zdolnym, praktycznym i wytrwałym realizatorem. Nie ugrzązł w pacyfizmie i egzystencjalizmie, nie poszedł na manowce światopoglądów opartych na zawiści i nienawiści. Został katolikiem. Po paru nieudałych próbach organizowania „wspólnot", żyjących, pracujących i gospodarujących na zasadach „każdemu wedle potrzeb; od każdego wedle zdolności", w świetle chrześcijańskich cnót miłości i sprawiedliwości, w roku 1948 spotkał się ze swoim Panem w osobie bezdomnego starego lotnika, umierającego na raka, który przyszedł pod jego dach. To spotkanie pokazało drogę.

Dzisiaj Fundacja ma 20 domów w W. Brytanii i około 600 obywateli „czeszyrskiej społeczności". Nieustannie planuje się dalszy rozwój. „Trust" w Indiach założył już 7 domów i opiekuje się setkami dusz; niebawem będzie więcej. „Trust" i 1 dom istnieje na Malajach, ośrodki w Libanie (1), w Nigerii (2), we Francji (1), w Polsce (1); wszędzie iskra inicjatywy z „kwatery głównej" albo echa wyników mobilizują dobrą wolę miejscową: pierwszym krokiem jest powstanie komitetu organizacyjnego autochtonów.

Cała akcja nosi nazwę „Misji Niesienia Ulgi w Cierpieniu". Pod tym nagłówkiem-hasłem dzieje się bardzo wiele spraw, które przeważnie nie szukają rozgłosu: zorganizowane odwiedzanie więźniów, umysłowo chorych, rekolekcje, pielgrzymki, szerzenie kultu św. Oblicza itd. Dla katolików założył Cheshire „Rodzinę św. Krzyża", której „sztandarem" jest Całun Turyński; zadaniem — duchowe wspieranie dzieł Misji przez uświęcenie własne, modlitwę za umierających i chorych, zwłaszcza niewierzących, codzienne umartwienia; celem szczytowym — współdźwiganie z Chrystusem ukrzyżowanym cierpień świata. Są zebrania, biuletyn, biuro informacyjne: **Mr. John Messent, 10 Spencer Hill, Wimbledon, London, S. W. 19.**

W roku 1958 do Misji dołączyła akcja Sue Ryder, znanej działaczki dobroczynnej wśród „dipisów" w Niemczech. Powstała fundacja (**Ryder Cheshire Foundation**), która objęła działalność w Niemczech (osiedle św. Krzysztofa pod Hanowerem — domy i warsztaty dla inwalidów; Koło św. Krzysztofa opieki nad więźniami), w Anglii (Cavendish Home — dom wakacyjny dla kacetowców z Niemiec), w Polsce (dom dla nieuleczalnie chorych w Konstancinie) i w Indiach (osada w Dehra Dun, dla nieuleczalnie chorych).

Przedmiotem zaborczej troski założyciela i rosnącej grupy „uczniów" są nieuleczalnie chorzy, umierający, kaleki, umysłowo niedorozwinięci, bezdomni, starzy i młodzi. Ale zawsze ci spośród nich, którymi nikt się nie zajmuje. Robota rosła bez planu, „jak lilie polne", w miarę odkrywanych potrzeb, które trosce odpowiadały bolesnym echem, i w miarę środków, które Opatrzność i wytrwała zapobiegliwość i dobra wola ludzka wyczarowywały znikąd: „Nigdy nie mamy pieniędzy, ale jakoś robota idzie". ...Chorzy, kaleki, opuszczeni znajdywali się sami; „krzyżowcy cierpienia" potrafili znajdywać ochotników do pomocy, opustoszałe domy, ofiary idące w dziesiątki tysięcy funtów, poparcie społeczeństwa i władz. Od dołu wyrosła organizacja, pobudowano nowe domy, zmobilizowano fachowy personel, doświadczalnie wypracowano założenia i metody zorganizowanej, wielkiej i rozwijającej się stale roboty.

Niektóre z założeń: nie szpitale ani przytułki, ale „domy", gdzie w imię miłości bliźniego i wspólnoty cierpienia ma powstać życie „w duchu rodzinnym" — przyjaźń, praca, nauka, twórczość — w kontakcie ze społecznym życiem miejscowym. „Terapia społeczna" każe wymagać usługiwania sobie i innym, zapominać o swoim cierpieniu współczując i przynosząc ulgę w cierpieniu drugiego, czuć się przydatnym i potrzebnym (stąd mieszanie różnych stadiów ułomności czy choroby i różnych poziomów kultury). Wspólnota musi się znać; dlatego „G. C." (znaczy „Group Captain", popularne określenie Cheshire'a) założył pismo kwartalne dla „Rodziny Domów" — **„The Cheshire Smile"**.

Dynamizm i radosny optymizm tej pionierskiej roboty jest niezwykły i zaraźliwy. Braterstwo w cierpieniu, realizowane w skali międzynarodowej, ponad przedziały ras i klas, służy chrześcijańskiemu pojęciu pokoju. Wyzwala dobro; Cheshire powiedział: „W żadnym ułomnym nie szukajmy szkody, jaką kalectwo spowodowało, ale dobra, które on nosi w sobie". Udział w Misji stawia na nogi ułomnych moralnie.

„Kwatera główna" akcji, gdzie rządzi tęgi i praktyczny realizm w służbie idei, w osobie prawej ręki „G. C.", Margot Mason, mieści się w Londynie; adres: **7 Market Mews, W. 1.**

S. G.

JAN TOKARSKI

ABRAHAM LINCOLN

W londyńskim „Obserwerze" (nr z 8 lutego b. r.) uczcił 150-lecie urodzin Abrahama Lincolna*) Adlai Stevenson. Jeśli przypomnimy sobie, że republikanin Lincoln wyrósł na postać w skali całego kraju właśnie w walce z demokratami, to piękny szkic Stevensona, dzisiejszego przywódcy partii demokratycznej, nabiera symbolicznego znaczenia. A mianowicie wskazuje na to, że Lincoln nie jest człowiekiem partii, ani zawołaniem jakiejś jednej orientacji. Jest Amerykaninem. Największym Amerykaninem, jak był największym człowiekiem XIX stulecia, i jednym z najgłębiej chrześcijańskich mężów stanu, na jakich możemy wskazać w nowożytności.

Jest w tym zastanawiający paradoks. Boć ten południowiec — urodził się bowiem w „niewolniczym" stanie Kentucky — postawiony na czele tragicznie podzielonego kraju, stał się przywódcą stanów północnych w wojnie domowej przeciw secesji stanów południowych. Jako przywódca części narodu w walce bratobójczej przeciw drugiej części — i to walce zaiste totalnej, prowadzonej z nieopisanym okrucieństwem przez obie strony — powinien dzielić, a nie łączyć. Bo jak świeżo przypomniał w BBC prof. David Donald, niedawno mianowany na katedrę historii amerykańskiej w Oksfordzie, ta wojna, choć zakończona przed 94 laty, nie przestaje w Ameryce być żywą raną do dziś dnia.

A tymczasem Lincoln jest bohaterem wszystkich, Północy i Południa, republikanów i demokratów, białych i kolorowych, intelektualistów i ludzi prostych. Sławią go piosenki i muzyczne dzieła, teatr, szkoła, wyznania; opisują poeci, pisarze, profesorowie. Jest przedmiotem bezustannych studiów, co roku wychodzi kilkadziesiąt tomów mu poświęconych, ilość dzieł o nim napisanych dawno przekroczyła 4.000 i równocześnie jest bohaterem folkloru, jak nikt inny w amerykańskiej historii. Odsunął w cień Waszyngtona, który zresztą przy nim jest jak niewyraźna statua, oglądana z oddali, gdy Lincoln żyje nie tylko we własnych pismach i mowach, nie tylko w cudzych książkach, ale w sercu, umysłach, pamięci, aspiracjach najszerszych mas amerykańskich.

Jak to sobie wytłumaczyć? Jak to się stało, że człowiek tak stosunkowo niedawno zmarły, jest nie tylko historią, ale i legendą równocześnie. I więcej nawet, bo jest rzeczywistością, która nie przestaje wpływać; nie przestaje kształtować nie tylko rzeczy wielkich, ale i — nie tak wielkich. (Np. — że znowu pozwolę sobie powołać się na zasłyszane słowa prof. D. Donalda — do dziś dnia typ polityka amerykańskiego, bez względu na przynależność partyjną, formuje się — usiłuje się formować — na wzorze, zostawionym przez Lincolna, to jest na zaprawianiu humorem politycznych wystąpień).

Odpowiedź znajdujemy we wspomnianym artykule Stevensona.

Zaczyna on od wyliczania jego zasług. Pisze więc, że dla Amerykanów jest tym, który ocalił Stany Zjednoczone od zagłady i wyzwolił Murzynów. Dla uczonego badacza historii — mówi dalej — Lincoln to przede wszystkim obrońca prawa konstytucyjnego. A dla szerokich rzesz Starego i Nowego Świata stanowi uosobienie tej filozofii amerykańskiej, z powodu której od tak już dawna ludzie przybijają do brzegów Ameryki i którą żyją amerykańskie masy: że w społeczeństwie, które rządzi się wolnością, przed człowiekiem stoi każda najwyższa szansa. Wybił się Lincoln z samych nizin własnymi siłami, więc może dokonywać tego samego każdy inny człowiek.

I wyliczając to, co jego zdaniem sumuje główne zasługi Lincolna, Stevenson jakby nagle spostrzegł, że w tym jednak nie zawiera się c a ł y Lincoln. Że jego wielkości nie da się wyczerpać najobfitszym katalogiem zasług i dokonanych dzieł.

Dlatego przerywa wyliczanie zasług i pisze:

„Lecz uniwersalność posłannictwa Lincolna polega na czymś znacznie większym. A znajdujemy ją w samym jego charakterze. Inni mężowie stanu są nam obcy w swej wielkości. Lincoln — nigdy. Bo żył dla ludzi życiem prawdziwego człowieka i był człowiekiem na wskroś, z ciała, krwi i kości. Ludzie przeto mogą akceptować jego wielkość, bo mogą pojąć i zrozumieć jego pochodzenie, jego sposoby postępowania, jego mowę, jego śmiech."

Jest więc sam Lincoln czymś znacznie większym niż to, czego dokonał.

✱

A są ludzie wielcy, do których trzeba odnieść słowa, jakimi czasem teologowie określają niektórych dziwacznych ascetów: „admirandi sed non imitandi": „trzeba ich podziwiać, lecz nie można naśladować". Do takich na przykład należą Aleksander Wielki i Juliusz Cezar.

Świat zaliczył ich do rzędu swoich największych, bo historia zmieniała się w takt i rytm ich kroków. Ale — o życiu ich wolimy nie pamiętać. Tak mało bowiem podobne jest do tego, co każdy z nas — żeby nie wiedzieć jak lichy, jak cyniczny — nosi w swej duszy jako obraz życia godnego człowieka. Ich wielkość, to dzieła, których dokonali. Czasem bardziej jeszcze skutki tych dzieł; skutki, których przecież pomimo całego geniuszu nie mogli przewidzieć. Ani Aleksander ani Juliusz Cezar nie zdawali sobie sprawy czyimi — i czego — są poprzednikami i heroldami. Nie wiedzieli, że spod ich żołnierskich sandałów, z krwawych kampanij i wojen, narodzi się kiedyś Europa, której historii się uczymy i ta cywilizacja, która nas ukształtowała i którą my usiłujemy kształtować.

Płynął przez nich strumień wielkości, ale oni nie byli wielcy — życiem swoim. Do każdego z takich ludzi odnoszą się słowa, które angielski poeta Pope napisał o Aleksandrze Wielkim: „Podbił i opanował cały świat — z wyjątkiem siebie". Ich wielkość kończy się i ustaje z wyliczeniem ich dzieł. Tym, czego dokonali, usiłujemy ich bronić we własnych oczach za to, że nie dorastają nieraz miary zwyczajnego człowieczeństwa.

Ale są ludzie, którzy również dokonali dzieł znamienitych i których dzieła również wpłynęły i nie przestają wpływać na historię. Lecz, kiedy skończymy wyliczać wszystko, czego dokonali, czujemy się nagle jak ktoś, kto mówiąc coś bardzo przejmującego, dopiero gdy skończył, uderza się nagle w czoło i woła: „Ach, przecież zapomniałem o najważniejszym". A tym czymś najważniejszym, najpiękniejszym, to właśnie ów człowiek, o którym opowiadamy, to jego życie. I to wcale nie dlatego, by życie to mogło być bez potknięć, bez skazy, bez słabości i upadków. Nie ma i nie będzie takiego życia. Ale właśnie dlatego, że było tak ludzkie; że pomimo potknięć i skaz, słabości i upadków człowiek ten nie przestawał się dźwigać.

To jest ten drugi rodzaj wielkości, o którym mówił Chesterton, że przynosi prawdziwą chwałę ludzkiemu rodzajowi i stanowi nie wysychające źródło wiary w człowieka. Jeśli określając kogoś tytułem „wielki człowiek", możemy w tym określeniu położyć główny nacisk na słowie „człowiek", wtedy mamy do czynienia z kimś, kto należy do najwspanialszych przedstawicieli ludzkiego rodzaju. Mamy do czynienia z tak prawdziwym człowiekiem, że największe jego zasługi nie dadzą nam jego pełnego obrazu, dopóki nie poznamy jego życia. Mamy do czynienia z kimś, przez kogo nie tylko płynął strumień wielkości, ale kto sam był wielki. I którego życie jest najlepszym i najpiękniejszym komentarzem jego dzieł.

Do ludzi, których pojmiemy w pełni i tylko poprzez całe ich życie, należał na przykład Michał Anioł i przede wszystkim takim człowiekiem był Abraham Lincoln.

✱

Są ludzie — powiada Szekspir — którzy rodzą się wielkimi, inni wielkimi się stają, a do innych wielkość przychodzi sama. Lincoln nie urodził się wielkim, ani wielkość nie przyszła doń sama. Lincoln wielkim się s t a w a ł poprzez całe swoje życie. Każdy człowiek ma w sobie jakby kamerton duchowy, który drga, dźwięczy i poddaje jedyny dlań ton, do którego winien dostroić myśli i postępowanie. Można go nie chcieć dosłyszeć, można go zagłuszać, a nawet — przynajmniej okresowo — zagłuszyć całkowicie. Bo niełatwych rzeczy się domaga. Lincoln wsłuchiwał się w ton swego ducha i pozostawał mu wierny, chociaż był to ton nastrojony bardzo wysoko.

I właśnie ta wierność wysokiemu tonowi człowieczeństwa wyniosła go tak wysoko. Jest to człowiek, któremu możemy zaufać w tym, co sam mówi o sobie. A naprawdę niewielu — jak niewielu! — jest nawet wielkich ludzi, o których dałoby się to powiedzieć; których prawdziwy charakter przebijałby z taką jasnością ze słów zarówno napisanych

(Dokończenie na str. 26)

*) ur. 12. 2. 1809, + 15. 4. 1865.

EWA GIERATOWA

PO AMERYKAŃSKU

— Patrz, jaki rozkoszny diabełek — mówi Staś o murzynku w Hamtramck, polskiej dzielnicy Detroit.

— Tyś sam diabełek — odcina się malec najczystszą polszczyzną.

Świadek zdarzenia, gość z Londynu, gotów potem twierdzić:

— Murzyni w USA mówią po polsku. Słyszałem na własne uszy.

Łatwo mnożyć takie przykłady. Cokolwiek bowiem się powie o Ameryce, jest prawdziwe, chodzi tylko o uwzględnienie skali, w jakiej dane zjawisko zachodzi. Uogólnieniom można przeciwstawić wiele wyjątków nie za bardzo potwierdzających regułę, a uproszczonym syntezom „na eksport" — odwrotną stronę tego samego medalu, np.: Tolerancja i równość? Tak. Dyskryminacja? Tak. W sumie jednak, tolerancja nadaje ton życ'u, pomimo specyficznego snobizmu protestantów wobec katolików i temu podobnych przejawów dyskryminacji.

Może jedna z największych różnic między amerykańskim a europejskim pojmowaniem religii wypływa właśnie z tej równorzędności wszelkich wyznań i poglądów. Ortodoksyjny i reformowany judaizm, 250 sekt protestanckich, katolicyzm i towarzystwo krzewienia etyki pakuje się tu do jednego worka. Jedyność Kościoła jest znacznie bardziej niestrawna i chyba przysparza mu więcej niechęci, niż jakakolwiek inna jego doktryna czy obrządki.

Stosunkowo łatwo stwierdzić, że w niektórych powiatach Kalifornii przypada samochód na osobę, z niemowlętami włącznie. Trudniej mierzyć sprawy duchowe, jako że opłacanie składek parafialnych, ilość chrztów, a nawet rozdanych Komunii św., nie stanowi dostatecznych podstaw do wyrokowania o religijności. Mimo to jednak, prowokujący tytuł „Odkrywamy katolicką Amerykę" (Florian Śmieja, ŻYCIE, grudzień 1958), zgodnie z życzeniem autora, wywołuje oto stadko wilczków z lasu.

Na wielkim kontynencie, zamieszkałym przez 50 różnych narodowości, każda parafia ma swoje dobre i złe, chwalebne i straszliwe zwyczaje. Określanie katolicyzmu w Ameryce przymiotnikami: zmaterializowany, businessowy, sekciarski, formalistyczny, na pewno odzwierciedla część prawdy, sprawiedliwość wymaga jednak, by każdy zrównoważyć obfitym „ale za to", albo uzasadnionym „ponieważ". Zamiast wątpliwej jakości syntezy, lepiej przedstawić autentyczne sceny.

***

— Pierwszym moim bossem w Ameryce był poloninjny rzeźnik — powiada ex-D.P., dzisiaj amerykański businessman. — Dobry chłop, na cele polskie świadczył i dzieci po polsku kształcił. Pyta kiedyś, do której parafii należę.

— Do żadnej — odpowiadam zdziwiony.

— To źle, bardzo źle. Ja należę do dwóch.

— Ależ to wbrew kościelnym przepisom!

Machnął ręką. Parafia jest niezmiernie ważna dla businessu. Sklep jego leży akurat między dwoma kościołami, więc w niedzielę na 10-tą jedzie do jednego, złoży do koszyka na kiju szeleszczący zielony papierek w kopertce ze swym nazwiskiem, wsiada w samochód i pędzi do drugiego, aby i tam nie ominąć kolekty.

— Co kraj, to obyczaj! U nas, pamiętam, unikało się księdza przeciskającego się z tacką, a gdy już nie można się było wymigać, rzucał człek co najdrobniejsze grosze...

Nowoprzybyły rodak ma za złe rzeźnikowi, że nie będąc człowiekiem zbyt religijnym świadczy szczodrze na rzecz dwóch parafii.

— Ja nadal nie należę do żadnej; dosyć mają te amerykańskie klechy, jeszcze będę im kiesę nabijał. Żeby chociaż polski kościół, toby żalu nie było, ale w pobliżu mam tylko włoski.

***

List od jednego rodaka do drugiego, parę słów poświęconych bliźniemu:

„Iksinska jest prawidłową katoliczką, i to nie tak po polsku, raz do roku koło Wielkiejnocy, ale po amerykańsku, w każdą niedzielę i święto."

— Co ten twój kolega wypisuje — dziwi się matka, przybyła w odwiedziny z Krakowa do Kalifornii. — Czy Ameryka jest bardziej katolicka od naszej Polski?

***

Nocleg na jakimś zjeździe weekendowym u Łotyszów w Bostonie. Są tu już dziesięć lat.

— Pani Polka, to pewno katoliczka? Jutro mąż zawiezie panią do nowego pięknego kościoła, a ja przez ten czas przyszykuję śniadanie. Bo pani musi iść przed śniadaniem, prawda? My jesteśmy luteranie, ale mamy dużo przyjaciół amerykańskich katolików...

***

Nocuje jedna Polka u drugiej.

— Jakie plany niedzielne? Idziemy na Mszę przed śniadaniem? Jestem Polką, więc mnie nie zapytasz!

Śmieją się. Właśnie dyskutowali tę sprawę w parę osób, wydziwiając nad przyzwyczajeniami, zawiłościami psychiki i wpływem środowiska. Zgodzili się co do faktu: gościa, katolika amerykańskiego — może n a w e t mężczyznę? — trzeba zapytać, czy chce śniadanie przede Mszą, czy po; to taki sam obowiązek dobrej gospodyni, jak dać mu ręcznik. Gościowi-Polce tego pytania nie postawi. A Polakowi, za żadne skarby świata! Żeby sobie pomyślał: „co za zwariowana dewotka" i żeby wszyscy czuli się nieswojo! Też byłby pomysł!

***

— Wiesz, wczoraj na tych chrzcinach zgromadziło się w kościele ze trzydzieści osób, sami rodacy. Akurat się tak złożyło, że było wystawienie. Jak myślisz, czy kto zauważył, przyklęknął?

— No, choćby parę starszych pań?

— Owszem, jedna dygnęła tak w powietrzu zginając kolano. Usprawiedliwiam: reumatyzm. Ale śmietanka inteligencji w kwiecie wieku ani drgnęła. A tak prawidłowo, na oba kolana z pochyleniem głowy, zachowało się tylko młode rodzeństwo: on w wojsku, a ona w college'u, w tutejszych szkołach wychowani.

— I w parafialnej powszechnej i w Catholic High?

— Trzeba było słyszeć, jak za szkolnych czasów wyjaśniali ojcu kościelną etykietę, z tym przyklękaniem na jedno czy dwa kolana, kiedy i dlaczego. I dopytywali się, czy to w Polsce nie obowiązuje.

— Rodzice pewno spławili ich, że w Polsce inne zwyczaje, zresztą w kościele stoi się w tłumie i nie można rygorów przestrzegać.

— Oczywiście. Co zresztą jest prawdą, ale przecież niecałą prawdą. O te zewnętrzne detale można nie kruszyć kopii i znaleźć dużo usprawiedliwień. Lecz jak wytłumaczyć na czym polega gorącość polskiego katolicyzmu? Gdy w prasie ujrzeli fotografie tłumów w Częstochowie, kobiety pielgrzymujące na kolanach, byli zbudowani, ale jednocześnie trochę zażenowani taką egzotyką. Automatycznie wrócił temat wypływający przy każdej okazji: Dlaczego babcia nie chodzi do spowiedzi, przecież już jest stara i może umrzeć, trzeba to jej wytłumaczyć. I dlaczego ciocia i wujek z Polski, gdy tu byli z wizytą, w jedną niedzielę chodzili na Mszę, a w drugą nie, tak jak im się podobało?

— Te polsko-amerykańskie wzajemne odwiedziny jaskrawo uwypukliły nam wiele szczegółów i różnic, dyskutowaliśmy je ze znajomymi, którzy po wakacjach u rodziny wrócili do Ameryki. Nie przyszło im do głowy jechać do Częstochowy, nie interesowali się nowenną maryjną na tysiąclecie. Ale że na niedzielnej Mszy komunikowali, ich rodzinka zdumiewała się i oczy przecierała, nie w ten sposób wyobrażając sobie zamerykanizowanie!

***

— Niech sobie pani wyobrazi — dziwi się gość z Londynu — tę serwetkę zachowałem na pamiątkę z restauracji w centrum Manhattanu, taka zwyczajna kafeteria, zdaje się na 6-tej Ave koło Radio City. Nie spodziewałem się, żeby w Ameryce...

Wyciąga zadrukowaną papierową serwetkę. Na jednym rogu wezwanie: „Say your grace", odmów modlitwę przed jedzeniem. Na pozostałych trzech teksty, dla protestantów, katolików i żydów.

* ✱ *

Nowoczesny szpital koło Waszyngtonu. Kaplica ma obrotowy ołtarz, koło podzielone jest na trzy części, z których dwie pozostają „za kulisami", a jedna nastawia się „dla widowni". Kolejno odprawiane są Msze, nabożeństwa protestanckie i żydowskie, każde przy swoim, a wszystkie przy tym samym ołtarzu. Kaplica budującej się Air Force Academy w Colorado ma trzy nawy — katolicką, protestancką żydowską. Po-

dobnie kościoły uniwersytetów, różnych instytucji.

Zebrania, zjazdy, bankiety, obozy wielkich organizacji, jak np. Girl Scouts of America: piątek zawsze bezmięsny - dla wszystkich. W dobrym jadłospisie przecież musi raz na tydzień być ryba i „morskości". Wieprzowiny nie podaje się w ogóle — ze względu na Żydówki. Jeśli inwokację początkową odmawia ksiądz, to modlitwę końcową rabin albo pastor. Dla wszystkich.

***

Wielki Post. Nabiał i wszelkie możliwe stwory morskie reklamują się na potęgę w sklepie (czyli: „w storze" lub „na markecie") i na łamach czasopism (czyli wmagazynach). Koncerny serowe i rybne wydają broszurki z coraz to nowymi przepisami postnych potraw. W menu wielu kafeterii podwaja się rozmaitość bezmięsnych sandwiczy — bo przecież na głupiego hot-doga nie kalkuluje się marnować przywileju mięsnego posiłku, trzeba zachować go na steak dinner.

— Jak kuszą te ciastka! Ale to dobrze dla zachowania linii, że nie wolno jeść między posiłkami — pocieszają się biurowe koleżanki stojąc w ogonku do wózka z kawą. — Dwa małe bezmięsne posiłki i jeden duży mięsny wystarczają mi, ale tych jajkowo-rybno-serowych sandwiczy mam wyżej uszu, doprowadzają mnie do rozpaczy!

Nie-katoliczki albo się nie interesują, albo wyrażają, może milczącą, lecz na pewno aprobatę. Dowcip lub uwaga jest nie do pomyślenia. Nie tylko byłby w złym tonie, ale w ogóle przejawy osobistej religijności nie kojarzą się dla nikogo ze śmiesznością, czy zacofaniem. Natomiast dowcipów o niebie i piekle, pastorach, rabinach i księżach jest zatrzęsienie, a karykatury zakonne, jak np. Three Little Sisters, Brother Sebastian, Brother Jupiter, zapełniają całe książeczki. Humor ten może być czasem głupi — ale pozbawiony jest złośliwości, cechuje go życzliwość.

***

Bez składek członkowskich, bez zebrań, bez żadnych form organizacyjnych — ruch Christophers dociera do 10 milionów ludzi. Programy Christophers ukazują się przez cały rok na 1463 stacjach radiowych i telewizyjnych. Setki gazet zamieszcza stale kolumnę Christophers. Bezpłatny ich biuletyn drukowany jest w nakładzie 1.250.000 egzemplarzy. Ich filmy ze sławnymi aktorami... ich płyty gramofonowe... ich książki...

Ruch Christophers — z greckiego „Christophoros", nosiciele Chrystusa — rozpoczął się kilkanaście lat temu. Na czele stoi dynamiczny Father James Keller ze zgromadzenia Maryknoll, autor kilku książek, jak np. „Three Minutes a Day", „You Can Change the World", „Government Is Your Business" itd. Motto: „Lepiej zapalić jedną świeczkę niż przeklinać ciemności" obrazuje wartość jednostki, indywidualnego wysiłku. Celem ruchu jest właśnie mobilizacja poszczególnych ludzi, podkreślanie odpowiedzialności każdego człowieka w rozszerzaniu miłości i prawdy „na placu targowym", a więc w rządzie i samorządzie, w instytucjach wychowawczych, na rynku pracy i w związkach zawodowych, w literaturze, w rozrywkach, zwłaszcza w radio, telewizji i kinie. Około sześciu tysięcy listów tygodniowo napływa do biura Christophers. Ludzie donoszą o swych codziennych, zwykłych osiągnięciach: szofer ciężarówki podejmuje funkcję w związku zawodowym, emerytowany radiotelegrafista decyduje się zostać nauczycielem, sąsiadka za darmo „babysittuje", aby młodej matce umożliwić skończenie studiów, producent TV odrzuca jeden skrypt a przyjmuje inny, sekretarka podkreśla wobec szefa zapoznane wartości paru urzędników... Co z tego? Wielkie rzeczy, to mi dopiero działalność!

A biuletyny i programy Christophers powtarzają: twoje codzienne życie składa się tylko z takich właśnie rzeczy. Podejmuj je dla Boga, z myślą, by w twym najbliższym otoczeniu było lepiej niż jest. Patrz, co z takich uczynków czasem wynika...

Skąd są pieniądze? Przychodzą w codziennej poczcie, od ludzi wszystkich wyznań i od tych bez wyznania, którzy uważają, że Christophers Inc., odwalają dobrą robotę, a fine job. Warto posłać parę dolarów na 18 East 48 Street, New York, 17, N.Y. Szczególnie, że all gifts are deductible from taxable income.

***

Ogłoszenia! Nieznośna, wszechwładna, natrętna i pomysłowa reklama, której — wedle speców z Madison Ave — kraj ten zawdzięcza swój dobrobyt.

Klasztor Gethsemani w Kentucky, gdzie przebywa Thomas Merton, rozsyła ofertę sławnych serów trapistowskich i innych przetworów; list, elegancki prospekt z obrazkami i cenami, karta zamówieniowa — wszystko przemawia do klienta, wybrednego i przyzwyczajonego do wytwornej obsługi.

Zółto-czarne plakaty w autobusach wbijają w głowę: R. T. Released Time for Religious Training. Każda szkoła zobowiązana jest dać godzinę na tydzień na lekcje religii, organizowane przez poszczególne wyznania. „Prawo mówi, że możesz, sumienie mówi, że musisz" stwierdza w ogłoszeniu R.T. wspólny komitet protestantów, żydów i katolików. Adres, telefon. Zwróć się po informacje.

Inny plakat w pociągu podmiejskim informuje, że 80% dobrowolnej pomocy dla ludzi potrzebujących zagranicą idzie przez organizacje wyznaniowe. „Give through your faith" apel do pasażerów podaje od razu oragnizacje dobroczynne dla każdej religii. Protestancka — Share Our Surplus Appeal. Katolicka — Bishops' Collection. Żydowska — United Jewish Appeal.

Ale chyba najszerzej zakrojoną akcję reklamową prowadzi RIAL (Religion In American Life).

Na stacji kolejki podziemnej, wśród masy ogłoszeń, wisi również duży plakat przedstawiający rodzinę w kościele na ławce, mama, tata, syn i córka. Nad nimi napis: „Buduj mocniejsze, bogatsze życie", pod nimi wezwanie: „Worship together this week". Afisz wydany jest przez RIAL Inc., 300 Fourth Ave, New York 10, N.Y.

Szukam w książce telefonicznej, nakręcam numer, odzywa się zawodowo uprzejmy głos:

— Good morning, Religion in American Life, can I help you?

— Tak. Piszę artykuł o Ameryce dla tygodnika katolickiego w Polsce i dla polskiego miesięcznika w Londynie. Jesteście zjawiskiem bardzo charakterystycznym dla Ameryki i niespotykanym w innych krajach, czy mogę dostać jakieś materiały?

— Oczywiście, z przyjemnością.

Za dwa dni przychodzi przesyłka. Ulotki, pocztówki, biuletyny, broszurki. W kartoniku, w kopertach, kolorowe, zgrabne, poliniowane, wypunktowane. Slogany, instrukcje, informacje, wezwania, wskazówki. Cennik i karta zamówienia, na setki czy tysiące sztuk każdego rodzaju druków i plakatów (wszystko ponumerowane, w zamówieniu wpisuje się tylko krzyżyk w odpowiednie rubryki), jeśli twój kościół, synagoga czy organizacja społeczna chciałyby zainicjować lokalną kampanię międzywyznaniową na rzecz religii i cotygodniowego udziału w nabożeństwach. Tak? No to proszę, oto siedem punktów:

1. Omów z przyjaciółmi. 2. Zaproście przedstawicieli duchownych z każdego kościoła czy synagogi i świeckich ze wszystkich grup, stowarzyszeń, związków. Na podanej przykładowo liście figurują: izba przemysłowo-handlowa, związki zawodowe, rotarianie, YMCA, Rycerze Kolumba, skauting, towarzystwo rodziców i nauczycieli, weterani, kluby młodzieży, związek rolników, klub optymistów, związek kobiet itd. 3. Zorganizujcie komitet. 4. Wybierzcie zarząd. 5. Ustalcie program i rozkład czynności, rozplanujcie dokładnie dwumiesięczny okres przed kampanią, dzień po dniu. 6. Rozplanujcie szczegółowo 4-tygodniową kampanię, wedle haseł: I-szy tydzień: rodzina, II-gi tydzień: przyprowadź do kościoła kogoś znajomego, III-ci tydzień: młodzież, IV tydzień: dziękczynienie. 7. Bilans, statystyki, wysłanie podziękowań.

Do wykonania tego programu pomocne ci będą plakaty pięciokolorowe, wielkość mała, duża i średnia, nalepki przezroczyste na szyby sklepowe (kupcy chętnie je przyjmują, bo nie zajmują one cennego miejsca wystawowego), ogłoszenia do prasy i na radio, zwłaszcza w czwartki i piątki w czasie trwania kampanii. Masz oto gotowy wzór komunikatu prasowego, oraz edytoriału, przepisz to wstawiając daty, nazwiska osób, nazwę miejscowości i wyślij, a lepiej zanieś osobiście do redakcji miejscowej gazety. W tej oto broszurce znajdziesz szczegółowe instrukcje, jak zainteresować przedsiębiorców i kupców, władze miejskie i szkolne...

Poza tym przesyłka RIAL zawiera wypowiedzi znanych osobistości, cytaty z pism i gazet świadczące o wartości religii w życiu osobistym i społecznym i o konieczności dotarcia do dzisiejszego człowieka za pomocą nowoczesnych „środków masowych" (mass media). Wypowiedzi katolików zebrane są na oddzielnej kartce oznaczonej „Catholic", inne figurują pod nagłówkami: RIAL Leaders. Biuletyn informacyjny drukuje przekonywujący obrazek tamy (instytucje religijne), o którą rozbijają się wzburzone fale materializmu, oraz przekonywujące dane liczbowe, że wartość miejsca ogłoszeniowego ofiarowanego dla RIAL wynosi 8 milionów dolarów, że prasa zamieściła ogłoszenia o po-

wierzchni równej trzem tysiącom stron „New York Times'a" itd.

Komitet Religion in American Life Inc. powstał w 1949 roku, składa się z 70 osób świeckich różnych wyznań. Poparcia udziela mu 25 grup religijnych, poza tym — jak wszystko w Ameryce — finansują jego działalność wielkie koncerny oraz osoby prywatne. Listopad jest miesiącem szczególnego natężenia kampanii propagandowej, której celem jest podkreślanie wagi religii w życiu i nakłanianie wszystkich Amerykanów, by regularnie uczęszczali do domu modlitwy wedle swego wyboru.

Według Gallupa, w 1949 r. jedna trzecia dorosłych Amerykanów uczęszczała do kościołów, w 1957 zaś — 51 proc. W wielu miejscowościach wzrost ten przypisywany jest w dużej mierze kampanii RIAL i apelom:

„Znajdź siłę do życia." „Daj dzieciom wiarę, wedle której mają postępować." „Przykład musi być dawany, nie gadany. Nie miej za złe synowi, gdy w przyszłości nie będzie wierzył ani w Boga, ani w życie, ani w swe siły, jeśli ty, ojciec, nie wskazujesz w praktyce właściwej drogi swej rodzinie." „Czego szukasz w życiu? Zdrowia, pieniędzy, szczęścia rodzinnego, przyjaciół, kariery, rozrywek? Ponad i poza tym wszystkim, szukasz wewnętrznego zadowolenia i napełnienia, jakie płynie z religii. By je osiągnąć, trzeba samemu osobiście odkryć Boga, trzeba modlić się wspólnie w Jego przybytkach."

Motto amerykańskie „In God we trust", czyli „w Bogu pokładamy nadzieję", oraz wprowadzenie parę lat temu słów: „under God" do tekstu przysięgi na wierność fladze („...jeden naród, pod Opatrznością Boską, niepodzielny, z wolnością i sprawiedliwością dla wszystkich"), stwarza klimat swoistej „Bogu-Ojczyźnianości" i kampania RIAL trafia na grunt podatny lub obojętny, ale rzadko wrogi. Konieczność liczenia się z prawem naturalnym, o czym dość głośno było w czasie procesów norymberskich przeciw oprawcom niemieckim, powoli, ale stale dociera do umysłów. A materializm komunistyczny automatycznie popycha wrogów komunizmu w stronę religii.

Katolicy z natury rzeczy odnoszą się z pewną rezerwą do RIAL i do wszystkich tego rodzaju poczynań, trudno bowiem entuzjazmować się lekko osłodzoną wodą w butelce, jeśli się samemu posiada i źródło i rafinerię cukru. Ale oczywiście współdziałają z RIAL i z każdą akcją zmierzającą do przywrócenia i ugruntowania w społeczeństwie wiary w Boga i świadomości obowiązków stworzenia wobec Stwórcy.

Krytykom, którzy akcji RIAL i jej podobnym zarzucają „spłycanie całej sprawy religii w ogóle", można oczywiście przyznać sporo racji. Jednocześnie jednak pamiętać trzeba, że spłycić można tylko to, co poprzednio było głębsze. W nowoczesnym, tak dalece pogańskim społeczeństwie, zaczyna się właściwie od zera. Na płaskiej pustyni życia duchowego każdy ruch pionowy jest i pogłębieniem i sypaniem wzgórza.

***

— W tym hotelu-domu, prowadzonym przez dominikanki, mieszka nas stale 60 kobiet. Pracujące albo emerytki, wszystkie samotne, zapomniane. Dobrze mi tu i spokojnie.

— A co robisz w niedzielę?

— Pomagam siostrom. Bo w każdą niedzielę, przez cały rok, mamy od 100 do 150 rekolektantek. Trzy posiłki... Jest koło czego się pokręcić. Wzruszają mnie te proste kobiety, przeważnie robotnice lub panny sklepowe, od szesnastolatek do babek. Że aż tyle ich jest, które ten jeden dzień w roku chcą przeżyć w milczeniu i specjalnie Bogu ofiarować... I cieszę się, że praktycznie jest dla nich taka możliwość, bez dalekiego wyjazdu, bez noclegu poza domem, co dla matek małych dzieci jest bardzo trudne.

— Tak, tu są rzeczywiście przeróżne możliwości, zwłaszcza w większych miastach. Masa weekendowych i wieczorowych, korespondencyjnych kursów, rekolekcje krótkie i długie, zamknięte i otwarte, grupowe z kazaniami lub indywidualne samotne, konferencje Cana dla małżeństw, pre-Cana dla narzeczonych, wieczorna Msza gregoriańska, wykłady teologiczne, klubowe zebrania nad lampką wina z odczytem, nowenny, różańce i co kto chce. Oczywiście, w małych ośrodkach jest się zdanym tylko na własną parafię.

— I lekturę. Nigdy nie przypuszczałam, że jest aż taki wybór, już nie mówię o książkach, ale czasopisma! Musiałam spędzić parę tygodni w bibliotece miejskiej, szukając pewnych artykułów psychologicznych. W tym samym dziale mieści się filozofia i religia, w dodatku był wtedy właśnie tydzień „Religion in American Life" i wystawa na ten temat. Oprócz znanych mi czasopism, jak America, Jubilee, Commonweal, Catholic World, Catholic Digest, naliczyłam jeszcze całe tuziny innych, ogólne i specjalne, popularne i bardzo mądre. Niektóre marne, wiesz, w stylu tej lokalnej gazety, gdzie ukazują się tytuły w rodzaju: „Samobójca, który skoczył z mostu, nie był katolikiem". Zaściankowe i dla nie-katolików wręcz odrażające. Ale procent dobrych, choć popularnych, jest jednak bardzo wysoki. To samo z broszurkami. Jest ich krocie i w tym morzu można wyłowić nieraz prawdziwe perełki, jak na przykład Knoxa o cudach.

***

Powyższe „zdjęcia fotograficzne" podane są bez retuszu i nie łatwo z takich fragmentów zbudować ogólny obraz. Przed tą samą trudnością stoi zarówno czytelnik jak i przybysz do Ameryki, przeżywający fale oburzenia, podziwu, zdumienia, wzruszenia ramion i wzruszania się, oraz wykrzykiwania na przeróżne tony: „Ach, ta Ameryka!"

Ta Ameryka! Najpierw odrażająca, potem wciągająca. Tak samo jej katolicyzm. Najpierw wyraża się tylko w dolarach (dwie albo trzy kolekty w każdą niedzielę!) i superaktywnością imprezową w parafii dla dalszego ich zdobywania. Potem... potem może się zdarzyć, że Polak, odwiedziwszy ojczyznę po ośmiu amerykańskich latach, stwierdza po powrocie z „najbardziej katolickiego kraju Europy" (tak nieraz nazywa Polskę prasa amerykańska):

— Nie mów nikomu, bo mnie od czci i wiary odsądzą za taką zdradę narodową, ale wolę katolicyzm Amerykanina niż Polaka. I gdybym był Panem Bogiem, myślę, że też bym wolał!

Ewa Gieratowa

W kręgu codziennych zajęć

W „Przewodniku Katolickim" z dnia 16. 11. 1958 Hilda Graef daje ciekawe rozmyślania o sposobach uświęcenia pracy biurowej.

Warto poszerzyć temat i nie ograniczać go do osób zatrudnionych w biurach. Pracujemy w domu i w biurze, w warsztacie rzemieślniczym i fabryce, w ogrodzie i w polu, przy kierownicy i w okienku kasowym, w redakcji pism i przy biurku autorskim. Wszędzie spotykamy się z oporami płynącymi z trudnych czy niemiłych warunków pracy, z otoczeniem, które „rzuca pod nogi kłody" zamiast nieść pomoc i ułatwienie. Ubolewając nad tym, że wypada nam często wykonywać zajęcie całkowicie przeciwne naszym uzdolnieniom, naszemu wychowaniu, wykształceniu, zamiłowaniu, pomyślmy jednak, ile to daje okazji do codziennych zwycięstw nad sobą, a więc do pogłębienia duchowego i jakie otwiera możliwości, jeśli dążymy do uświęcenia naszego życia... Życie duchowe w kręgu codziennych zajęć — to nakaz, nie tylko dla szczęśliwych i zadowolonych, ale przede wszystkim dla niezadowolonych ze swej pracy, skłóconych z nią, traktujących ją często wzgardliwie, a także i dla tych, którzy próżno w niej szukają radości. Uświęćmy nasze codzienne trudy, a odnajdziemy w nich radość.

Św. Teresa z Avili, przełożona może najbardziej surowego w swej regule klasztoru, mawiała, że Boga znaleźć można nawet między garnkami i patelniami. Można Go znaleźć również i w ogrodzie, przy warsztacie i w biurze. Jednego tylko trzeba: zaprosić Go sercem gorącym do współudziału w znoszeniu codziennej troski, do pomocy przy pisaniu, szorowaniu, szyciu, do znoszenia wspólnie i dla Jego chwały wszelkich radości i przykrości, które płyną w ciągu całodziennego naszego trudu. Niech Bóg nie tylko patrzy na naszą pracę, ale niech zaproszony przez nas, bierze w niej czynny udział, a przez to ją uświęci.

Gdy pomyślimy o wszechobecności Bożej, o Aniele Stróżu, który czuwa nad nami dniem i nocą, gdy pojmiemy tę wielką prawdę, że Bóg podtrzymuje w swej niezrównanej dobroci nasz byt w każdej minucie jego istnienia — to wtedy zupełnie inaczej będziemy podchodzili do zagadnień życia duchowego na codzień. Kłopoty i zmartwienia, opory ze

strony współtowarzyszy, złe humory przełożonych, ukażą się nam w innym świetle i i nie będziemy ich brać ani tak tragicznie, ani odpłacać bliźnim równie gorzką monetą niezadowolenia.

Przypomnijmy sobie życie Świętej Rodziny, pełne codziennego trudu i troski. Najświętsza Panna prała, gotowała, przędła, tkała, nosiła wodę i robiła to wszystko, co przeciętna gospodyni musi w domu zrobić, by życie płynęło schludnie i gładko. Chrystus trzydzieści lat swego życia spędził w towarzystwie św. Józefa w warsztacie ciesielskim. Kościół ustanowił święto Józefa-Robotnika, by przypomnieć nam, że zbożna praca prowadzi do świętości, że jest w niej miejsce dla Boga.

Praca miała dawać pierwszym rodzicom szczęście i zadowolenie. Po upadku Adama Bóg odjął pracy radość: „Przeklęta będzie ziemia dla czynu twojego; w pracach jeść z niej będziesz po wszystkie dni żywota twego... W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba" (Gen. 3, 17-19).

Praca jest przeznaczeniem człowieka. Skutkiem grzechu pierworodnego została złączona z trudem i wysiłkiem. Jeśli codzienny, niewdzięczny trud oddamy na chwałę Bożą i do skarbca Maryi, stanie się on dla nas błogosławieństwem. Jeżeli jednak pracę będziemy uważać za zło konieczne, a nie służbę Bogu, to stanie się dla nas w wielu wypadkach ciężarem nie do zniesienia. Musimy traktować pracę jako pewien rodzaj modlitwy.

Św. Paweł jasno tłumaczy w swych listach, że jednym z najskuteczniejszych środków do osiągnięcia świętości jest praca. Sam był tkaczem i zarabiał na chleb codzienny. Umiał godzić życie duchowe z codziennymi zajęciami.

Z duchowego punktu widzenia w pracy największe znaczenie ma intencja. Jeżeli zapominamy, że praca ma być środkiem a nie celem, to wtedy nie ma ona nic wspólnego z życiem duchowym. Życie duchowe musi być jednolite. Składa się na nie trud całodzienny i wypoczynek; zabawa i sen. Gdy całość naszego życia codziennego ofiarujemy Bogu, uświęcimy je i przygotujemy się na śmierci...

„Jeżeli praca daje nam zadowolenie — pisze Hilda Graef — to będzie to dobry powód okazania Bogu wdzięczności. Jeżeli jest przykra i męcząca, potraktujmy ją jako zadośćuczynienie i cierpienie, które jest naszym osobistym krzyżem, dźwiganym po społu z Chrystusem i które rzeczywiście może się stać wielką pomocą w wysiłku dążenia do uświęcenia."

H. Z.

REKOLEKCJE ZAMKNIĘTE DLA PAŃ w Cenacle Convent (33 West Heath Road, London, N.W.3), prowadzone przez **ks. Wiktora Mrozowskiego,** superiora Chrystusowców z Francji, urządza Koło Pań **P. K. S. U. „Veritas"** w dwóch terminach: 1) **od 17 do 20 marca** — początek we wtorek o godz. 3.30 po poł., koniec w piątek o 10-tej rano; 2) **od 20 do 23 marca** — początek w piątek o 6.30 wiecz., koniec w poniedziałek o 9 rano. Uczestnictwo w rekolekcjach szyl. 3/-. Pobyt w klasztorze szyl. 40/- (bez względu na ilość spędzonych dni). **Zgłoszenia do p. Z. Mycielskiej,** 93 Philbeach Gdns., London, S.W.5. Tel.: FRE 7156, w godzinach od 4-6 wiecz. do dnia 14 marca (sobota). Dojazd do klasztoru koleją do do Finchley Road, lub Hampstead; autobusami nr 2 lub 28 do przystanku Platts Lane.

* * *

POLSKIE PIELGRZYMKI w roku 1959: **DO RZYMU** — 11-dniowa kolejowa od **13 do 23 lipca.** 4 dni w Rzymie — autokarem do **San Giovanni Rotondo** (na Mszę o. Pio), do **Sorento, Pompei, Neapolu i Monte Cassino.** W drodze powrotnej wieczór i 1 dzień w **Paryżu. UDZIAŁ £ 43.10.0. DO LOURDES** — koleją z W. Brytanii **od 13 do 19 sierpnia.** — 4 dni w Lourdes. **UDZIAŁ £ 28.0.0.** Dodatkowo (na życzenie) 2 doby w Paryżu **£ 6.10.0.** Polskie kierownictwo i opieka polskiego duszpasterstwa. Informacji udziela **Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii,** 8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8.

ZNAK CZASU

„Gdy zapadnie wieczór, mówicie: Będzie pogodnie, bo czerwieni się niebo. A rankiem: Dziś burza, bo różowieje smutne niebo. Wygląd przeto nieba rozpoznawać umiecie, a znamion czasu nie możecie?"

Tymi słowami z Ewangelii (Mat. XVI, 2-4) otwiera się nowy francuski miesięcznik katolicki „Znaki Czasu", którego pierwszy numer ukazał się w styczniu bieżącego roku. Pismo to ma za cel niesienie pomocy wszystkim tym, którzy budują świat współczesny — pomocy polegającej na konfrontacji zagadnień naukowych, politycznych i kulturalnych z duchem chrześcijańskim i z wiernością Kościołowi. Wiernością, która staje się coraz trudniejsza nie przez brak dobrej woli wierzących — ale ze względu na skomplikowane oblicze świata, wymagające wysilonego tempa, aby je ogarnąć w wielorakości zdarzeń i ich wymowie moralnej.

Nie lubię czytać pierwszych numerów nowych pism. Jest to prawie zawsze przebijanie się przez lawinę słów i konwencyj, słowem uroczysta nuda. Tymczasem pierwszy numer „Signes du temps", jakby rozumiejąc owo znużenie czytelnika, idzie z miejsca w rzeczowe artykuły, deklaracje ideowe zaś są na miejscu ogłoszeń. Na pierwszy ogień puścili długie studium o „Człowieku i atomie" — tytuł odstraszający, jako że na temat ten, a zwłaszcza na temat atomowej apokalipsy, pisze się tyle, że już dawno znieczuliliśmy się na tę kapitalną kwestię. Toteż „Signes du temps" wcale się nie zajmują ową apokalipsą naszego stulecia — rozważają natomiast trudności wszelkich konferencyj międzynarodowych, które z biegiem czasu stają się zmuszone mobilizować tak wielkie zastępy pomocniczych komisyj i specjalistów, że ostateczne wnioski i owoce odsuwają się coraz dalej od szarego człowieka, zamiast się przybliżać. W dziedzinie polityki: ciekawy obraz stosunków w Rosji, którą samo słowo „wolność" przeraża, jako że uosabia ono najgorsze wspomnienia głodu, chaosu, zamieszek. — W dziedzinie informacyjno - dokumentacyjnej długa rzecz o współczesnych Chinach i przyczynach psychologicznych dynamizmu pro-komunistycznego. W dziedzinie ekonomicznej: poważny sondaż wspólnego rynku europejskiego, który — zdaniem autora — może się urzeczywistnić za 15 lat całkowicie. Na stronach poświeconych życiu kulturalnemu i sztuce: niezwykle wnikliwy artykuł o filmach, o malarstwie, recenzja z najnowszej książki Simone de Beauvoir „La fille bien rangée" (nawiasem mówiąc jedna z najlepszych książek ostatnich i polecenia godna amatorom poważnej literatury), sprawozdanie z baletu amerykańskiego, oraz doskonała rubryka - index wszystkich dzieł pogłębiających każde z poruszanych tematów na łamach miesięcznika.

Dobre pismo. Należy dodać, że miesięcznik ten, w przeciwieństwie do emigracyjnego ŻYCIA, nie troszczy się o żadne umilenie czytelnikowi lektury — jest to zeszyt zwartego tekstu bez najmniejszej dla oka ozdoby i rozrywki, szczelny, surowy estetycznie, dla wiecznie kapryśnego polskiego czytelnika za surowy. Stron 38.

Jest to wznowienie dawnego pisma pt. „Życie Intelektualne", z ekipą redakcyjną, złożoną z duchownych i ludzi świeckich. Na czele: dominikanin, R. C. Chartier, autor pięknego zdania: „Jeżeli nie stać nas na miłość do Boga, niech nas stać będzie na przyjaźń".

J. W. K.

STEFAN ŁOCHTIN

SOWIETY: EWOLUCJA I ZASTÓJ

W końcu stycznia i na początku lutego b. r. w Moskwie odbył się XXI zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Zjazd wywołał znaczne zainteresowanie w świecie, gdyż sowiecka partia komunistyczna jest, jak dotąd, główną siłą ideologiczną całego bloku państw komunistycznych.

Pozycja tej partii we własnym państwie oraz w stosunkach z innymi państwami bloku, przeszła znaczną ewolucję na przestrzeni sześciu lat po śmierci Stalina, przy czym zjazd obecny był, w pewnym stopniu, punktem kulminacyjnym tego cyklu przemian. W czasach stalinowskich partia i jej aparat były niemal pustym dźwiękiem. Sam Stalin był całą partią, a narzędziem jego rządów wewnętrznych była przede wszystkim policja polityczna. Organizacja ta łącznie z aparatem zagranicznym rządu i wojskiem panowała nad światem państw satelickich. Punkt ciężkości władzy leżał więc w osobie Stalina i kręgu zaufanych urzędników policji politycznej.

PARTIA

Cały ten system uległ modyfikacji na skutek walk wewnętrznych pomiędzy spadkobiercami Stalina. Na czoło wysunął się aparat partyjny. Jego komórki rządzą każdym przejawem życia sowieckiego a aparat urzędów państwowych, instytucji ekonomicznych oraz policja i wojsko są piramidzie tych komórek podporządkowane bez reszty. Stosunki z państwami „obozu socjalistycznego" są także rządzone przez komórki partyjne: ambasadorzy stali się delegatami partii do „bratnich partii robotniczych" i cały system organizacyjny przybrał nowy charakter.

Rządy aparatu policyjnego odznaczały się dużą elastycznością polityki zagranicznej oraz przewagą elementów mechanicznego nacisku w polityce wewnętrznej. Policja, nawet komunistyczna, niewiele sobie robi z ideologii i haseł — potrzeby dnia są dla niej ważniejsze niż teoretyczne założenia. Natomiast partia, z natury rzeczy, jest mniej elastyczna w swej polityce, gdyż jej jednolitość i sprawność są zbudowane i na organizacji i na ideologii.

W tych warunkach zjazdy partii nabierają dziś nowego znaczenia. Stąd też i zainteresowanie XXI zjazdem.

Na zjeździe nie stało się nic, co by świadczyło, że ideologia partii i jej polityka uległy poważnej zmianie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Trzeba jednak pamiętać, że właśnie w ostatnich kilku miesiącach centralne władze partyjne dokonały wielu wysiłków, by udowodnić szeregowym komunistom, że ich ideologia nie załamała się, wbrew twierdzeniom rewizjonistów i obserwatorów zagranicznych. Powrócono, przede wszystkim, do zapomnianej przez pewien czas teorii przejścia od socjalizmu do komunizmu i do zarzuconej przez Stalina teorii o powolnym zanikaniu państwa. W lecie 1958 akademicy M. Mitin i K. Ostrowitianow, oraz zespół innych pracowników partyjnych pod kierownictwem B. Ponomariowa, ogłosili artykuły na te tematy. Chruszczow również brał udział w tych pracach, dając temu wyraz w przemówieniu na Zjeździe Komsomołu w kwietniu 1958 r.

Teraz, na zjeździe partii komunistycznej, pierwszy sekretarz partii oraz jego najbliżsi współpracownicy, zsumowali prace ubiegłego roku i ogłosili tezy, które można nazwać nowym programem partii komunistycznej, choć dotąd nie ma takiej oficjalnej nazwy. Wszystkie główne założenia tego programu znalazły się w referacie Chruszczowa na otwarciu zjazdu*) oraz w jego przemówieniu końcowym.

GOSPODARSTWO

Zgodnie z materialistycznymi założeniami ruchu komunistycznego, program ten opiera się przede wszystkim na podstawach ekonomicznych. Jego trzonem jest 7-letni plan rozwoju ekonomicznego ZSRR, zmierzający do rozszerzenia przemysłu ciężkiego tak, by był on zdolny do wytwarzania 86-91 milionów ton stali rocznie, a także obejmujący szeroki program rozwoju rolnictwa i przemysłu lekkiego oraz chemicznego, obliczony na prześcignięcie Stanów Zjedn. w produkcji na głowę mieszkańca. Ma to być, generalnie biorąc, program zapewnienia dostatku mieszkańcom ZSRR oraz „krok na drodze do zbudowania społeczeństwa komunistycznego", które zapanuje „w stosunkowo niezbyt odległej przyszłości".

Jest rzeczą raczej obojętną, czy program siedmiolatki będzie urzeczywistniony w całości czy tylko w części — w każdym wypadku zapowiada on poważną poprawę stosunków ekonomicznych w Sowietach. Najmocniejszym jej wyrazem jest szeroki program budownictwa mieszkaniowego, którego wykonanie może wreszcie doprowadzić do zapewnienia każdej rodzinie w wielkich miastach co najmniej jednopokojowego mieszkania. Byłby to znaczny postęp po latach „dokwaterowania" zmuszających małe rodziny do dzielenia pokoju z obcymi osobami, co jest ciągle zjawiskiem normalnym w Moskwie i wielu innych miastach.

Znaczna część zjazdu obracała się wokół metod, które należy zastosować w nadchodzącym siedmioleciu, by osiągnąć cele zakreślone w planie. Trzeba powiedzieć, że metody te, jak na Związek Sowiecki, są nowe. Przede wszystkim autorzy ich kładą stosunkowo słaby nacisk na czysty wysiłek fizyczny oraz długie godziny pracy. Element poświęceń fizycznych występuje raczej w szerokim programie przesiedleń na wschód, do Azji i nad Ocean Spokojny. W ciągu ostatnich czterech lat przesunięto do Azji ponad 5.000.000 młodzieży, a wędrówka ta ma trwać dalej. Poza tym jednak, cele gospodarcze mają być osiągnięte przy pomocy postępu technicznego w przemyśle. Na czoło wysuwa się automatyzacja urządzeń przemysłowych, lepsza organizacja pracy i zastosowanie wszelkiego typu mechanizmów zapewniających większe wyniki przy małych wysiłkach fizycznych. Zapowiedziano też skrócenie tygodnia pracy do 5 dni, a czasu pracy do 7 godzin dziennie w tych przemysłach, gdzie środki techniczne doprowadzą do wyższej wydajności. W ten sposób kierownictwo sowieckie weszło na drogę szukania lepszych wyników przy pomocy metod stosowanych już od dawna w uprzemysłowionych krajach Zachodu. Można mieć wątpliwości, co do praktyki tych reform. Dotychczas tylko niektóre dziedziny gospodarstwa w ZSRR odznaczały się sprawnością i dobrą organizacją; w innych często panował chaos prowadzący do eksploatacji fizycznego wysiłku człowieka dla wykonania planów na czas. Wszyscy pamiętają zresztą czasy stalinowskie, których znamieniem była eksploatacja taniej siły roboczej, skoncentrowanej w łagrach pracy poprawczej. Czasy te jednak chwilowo minęły. Nie zlikwidowano wprawdzie łagrów, ale zmniejszyła się ilość ich mieszkańców i zmieniły się ich założenia. Nie są to już teraz rezerwuary bezpłatnych robotników, gdyż siła robocza nagle zyskała nową cenę w ZSRR. Stało się to w związku z wydatnym powiększeniem produkcji przemysłowej oraz ze zmniejszeniem się przyrostu ludności pracującej w Sowietach. Mnogość zadań budownictwa i przemysłu postawiła państwo wobec zagadnienia skąd wziąć robotników albo jak pomnożyć ich siły przez postęp techniczny. Skutkiem tego stanu rzeczy jest uznanie pracownika wykwalifikowanego za dobro o znacznej wartości, o które należy dbać. Ta ewolucja psychologiczna jest dopiero w stadium rozwoju, ale jej manifestacje są coraz liczniejsze.

Tak więc w programie „budowy komunizmu" zwiększono nacisk na człowieka, zaspokojenie jego potrzeb i system zachęt do wysiłku. Jest to zjawisko nowe i godne uwagi. Można je traktować jako próbę uzyskania wyników gospodarczych przez koncesje materialne wobec społeczeństwa — proces charakterystyczny dla dalszych stadiów uprzemysłowienia i znany z wydarzeń wieku ubiegłego w Aglii i Ameryce.

„ZANIKANIE PAŃSTWA"

Materialistycznym odpowiednikiem przemian gospodarczych są zmiany w organizacji społeczeństwa. Zjazd moskiewski i tu zakreślił pewien program, ale jego zasięg jest o wiele mniejszy niż rozpiętość planowanych procesów ekonomicznych.

Opiera się on na teorii Chruszczowa o tym, że zanikanie państwa ma się zacząć już obecnie. Funkcje państwa mają powoli przejmować organizacje społeczne poczynając od organizacji sportu, ochrony zdrowia i uzdrowisk, oraz orga-

*) „Prawda", Moskwa, 28 stycznia 1959.

nizacji pomocniczej służby policyjnej mającej zastąpić znaczną część funkcji milicji państwowej.

Ten program został zaopatrzony w znaczną ilość zastrzeżeń. Pierwsze wskazuje, że organizacja państwowa nie zniknie tak długo, jak długo istnieje podział świata na państwa komunistyczne i kapitalistyczne. Państwo będzie więc dalej rozporządzać siłami zbrojnymi, policją bezpieczeństwa, aparatem reprezentacji zagranicznej i odpowiednią organizacją finansów.

Drugim ograniczeniem jest plan wzmocnienia wpływu partii. Organizacja ta ma być rdzeniem przyszłego „społeczeństwa komunistycznego", a więc także i społeczeństwa w stadium przejściowym podczas najbliższej siedmiolatki. W tej perspektywie rola organizacji społecznych i samorządowych będzie bardzo nieznaczna, gdyż wszystkie one znajdują się pod bezpośrednim kierownictwem i kontrolą partii.

Trzecie ograniczenie wynika z interpretacji roli samorządu społecznego, zawartej w przemówieniach Chruszczowa i jego towarzyszów. Przede wszystkim samorząd ten ma się przejawiać w postaci „spontanicznej działalności mas". Jak dotąd jej przejawem były kampanie „dyskusji ogólnosowieckich" przeprowadzonych przed nową reformą szkolną czy nowym planem siedmioletnim. Dyskusje te, zakrojone na wielką skalę, zasadniczo sprowadzały się do ogłaszania listów popierających inicjatywę partii i proponujących minimalne poprawki czy sugestie, w niczym nie dotyczące istoty proponowanych zmian. Poza tym Chruszczow zastrzegł się, że nie ma mowy o wprowadzeniu demokracji zachodniej — nawet w wersji zachodnio-europejskich socjalistów.

Dalej określił on sowiety i związki zawodowe jako typowe organizacje społeczne, kwalifikowane do przejęcia funkcji państwa.

W ten sposób zapowiedziane reformy polityczne sprowadzają się do zmiany nomenklatury w organizacji państwowej oraz do wąziutkiego, ściśle kontrolowanego samorządu. Interesujące są obietnice „zwężenia zasięgu przymusu a rozszerzenia granic przekonywania mas", interesujące są projekty organizacji „sądów społecznych" dla sądzenia osób postępujących „wbrew moralności komunistycznej", ale wszystko to nie jest zapowiedzią wielkich przemian ustrojowych. Można to nazwać raczej wprowadzeniem modyfikacji do systemu centralnego zarządzania państwem przez partię.

Hasła towarzyszące zapowiedziom wprowadzania „samorządu społecznego" są znamienne. Obietnice dalszego zredukowania policji politycznej i ograniczenia szeregów zwykłej milicji są wskazówką, o co chodzi. Jest to próba koncesji wobec opinii publicznej, podobnie jak w dziedzinie gospodarczej. Jest to chęć pozyskania mas a przez to podbudowania znaczenia partii i jej obecnego kierownictwa. Jest jednak ta różnica pomiędzy programem ekonomicznym a politycznym, że pierwszy ma przynieść zmiany realne a drugi może się najwyżej przyczynić do zmiany klimatu w już istniejących instytucjach. Koncesje polityczne są więc minimalne.

LITERATURA I SZTUKA

Natomiast nie widać żadnych koncesji ani żadnych zmian w programie partii w dziedzinie życia umysłowego.

Wszystkie przemówienia zjazdowe poświęcone tej sprawie tchnęły jednym duchem, wszystkie stały na stanowisku bezwzględnego konformizmu sztuki wobec żądań partii. Jest to krok wstecz w stosunku do atmosfery roku 1956, atmosfery, która pozwoliła na ukazanie się „Nie samym chlebem" W. Dudincewa i sprzyjała decyzji B. Pasternaka oddania do druku zagranicą jego powieści „Doktor Żywago".

Partia komunistyczna stoi na stanowisku, że sztuka i literatura mają sens jedynie jako narzędzia bieżącej propagandy partyjnej. Zadaniem ich jest realistyczne oddanie „życia w epoce budowania komunizmu". Wymaga się od nich pięknej formy i optymistycznej treści. Jedna i druga są z góry określone w postanowieniach partyjnych.

Ideologowie zjazdu wskazywali, że nie może być odchyleń od tych wytycznych. Nie grozili wprawdzie fizyczną likwidacją artystom poszukującym innym źródeł natchnienia, ale zawiesili nad nimi przekleństwo moralnego ostracyzmu, połączonego z perspektywą utraty materialnych środków bytu.

Atmosfera umysłowa zjazdu obfitowała w akcenty odcięcia się od wszystkiego, co w jakiejkolwiek formie różni się od sowieckiego komunizmu. Pod pręgierzem znalazł się „zgniły Zachód" na równi z „jugosłowiańskim rewizjonizmem" i „przeżytkami przeszłości" w samym Związku Sowieckim. Nie sprzyja to jakiejkolwiek niezależności myślowej, i nie sprzyja też rozwojowi literatury i sztuki.

*

Uchwały i przemówienia zjazdu ukształtowały więc zręby nowej polityki, której znamieniem mają być ustępstwa ekonomiczne i wzmocnienie sztywności ideologicznej. Jest to, do pewnego stopnia, logiczny wniosek ze stanu umysłów w Rosji sowieckiej. Lata nędzy stworzyły mocny i bezwzględny pęd tłumów do poszukiwania poprawy ekonomicznej. Pędu tego nie można zahamować. Natomiast te same lata głodu i prześladowań o wiele słabiej wyraziły się w prądach politycznych czy umysłowych. Masa ludzka marzyła o tym, by uniknąć terroru, ale poza te marzenia nigdzie daleko nie wyszła. Tylko jednostki usiłowały znaleźć inne wyjścia filozoficzne czy ustrojowe. Jednostki te można stosunkowo łatwo zagłuszyć a masę na razie zaspokoić koncesjami ekonomicznymi.

To też jest treścią polityki Chruszczowa.

Stefan Łochtin

SPRAWY I LUDZIE

(Ciąg dalszy ze str. 4)

urządzane wystawy po restauracjach, które, jakkolwiek mile, nie miały przecież atmosfery galerii. Stałe kontakty artystów z publicznością oraz przyjęcie, z jakim się spotkają ich dzieła u widzów, będą oczywiście z obopólną korzyścią. My, poznamy wreszcie bogaty nurt ich prac, dostępny dotychczas tylko nielicznemu gronu, oni, dowiedzą się także, co myśli o ich dziełach przeciętny emigrant, bez specjalnego wykształcenia malarskiego, ale intersujący się przecież dorobkiem kulturotwórczym swoich rodaków. Secundo, pochwalić trzeba powstanie prywatnego mecenatu. Odwykliśmy zupełnie od tego chwalebnego rysu wieków minionych, kiedy to co bogatszy magnat lub mieszczanin poczuwał się do obowiązku patronatu nad literaturą i sztuką.Ile takim prywatnym mecenasom zawdzięcza kultura dzisiejsza, nie da się przeliczyć na żadne wartości cyfrowe. Stąd wypada się cieszyć z wydarzenia, które daje mecenasa plastykom polskim. A może przykład chwyci? Może się znajdzie ktoś inny by roztoczyć mecenat nad inną dziedziną kultury? Sądzę, że najbardziej obecnie osamotnieni i pozbawieni głosu są nasi poeci, starsi i młodsi, szczególnie ci ostatni, bo jeszcze bez rozgłosu.

Galeria Grabowskiego ma niewątpliwe zalety i kilka małych wad. Położenie (okolica Brompton Oratory) świetne, wnętrze jasne, przytulne, starannie urządzone. Obrazy jednak, a przede wszystkim te w przejściach, nie wiszą niestety w najlepszej oprawie ściennej, co przy pewnej labiryntowej strukturze ścian, nie ułatwia znalezienia eksponatów i nie daje równych szans wszystkim płótnom. Może przy mniejszej ilości wystawionych dzieł, udałoby się rozporządzić ścianami równie korzystnie dla wszystkich artystów. Ale to są drobnostki, które przy dobrej woli nie mają większego znaczenia.

Oceniając ogólnie, okiem nie fachowca, trzeba przyznać, że wystawa robi bardzo dodatnie wrażenie. Publiczność otrzaskała się już z malarstwem abstrakcyjnym i już nie razi ono tak jak dawniej, ale trochę żal, że nasi artyści tak się przejęli panującymi prądami abstrakcjonistycznymi, że nie można zapewne mówić o pierwiastkach rodzimych, polskich. Naturalnie nie twierdzę, że imitują. nie, wierzę, że wyrażają swe własne treści wewnętrzne szczerze i nieskrępowanie; szkoda tylko, że niektóre płótna są tak podobne do tego, co się ogólnie widzi po galeriach na Zachodzie, lub także — widziało. Od pewnego czasu czysty abstrakcjonizm nie posługujący się kształtami rozpoznawalnymi choć w pewnym stopniu, zdaje się coraz bardziej zanikać. Mimo tych refleksji, wiele obrazów mi się podobało i niektóre wzbudziły „cette vibration intérieure", warunek sprawiedliwej oceny dzieła. którą każdy artysta chce wywołać.

Przemówiły więc do mnie przede wszystkim trzy obrazy Mariana Bohusz-Szyszko, a w szczególności jego silny. wzruszający „Chrystus z Krzyżem". Realizm tego dzieła pogłębia jeszcze przeżycie emocjonalno-religijne. Prymitywizm ujęcia dwu pozostałych, celowe dysproporcje, łagodniejszy koloryt, oparty o biel i zielenie, również przykuwają uwagę. choć wrażenie już nie jest tak silne. Tematyka religijna występuje także w dwóch obrazach Frenkla, malowanych według zupełnie innych kategorii. Niestety, chociaż ciekawe jako płaszczyzny kolorowe, nie zdołały mi przekazać orędzia, które artysta niewątpliwie w nie włożył. Trzy wystawiające panie: Baranowska, Michałowska, Sukiennicka, mają — zdaje się — oczywisty wspólny mianownik: kobiecość wizji. Objawia się ona czasem w pastelowym, delikatnym potraktowaniu tematu, np. „Kwiat jabłoni" (B), „Kompozycja" (M), w zwiewności „Tancerek" (S). Trzy miłe talenty, nie podporządkowujące się zresztą wyłącznie wspomnianym cechom charakterystycznym. Śliczni są „Błaznowie" Sukiennickiej, ale dlaczego jej „Zły pies" ma być złym, nescio; wygląda tak niewinnie! Dobrowolski, Marjan, Mleczko, Turkiewicz, Znicz-Muszyński przedstawiają różne aspekty abstrakcjonizmu. Ich płótna wykazują wielką pomysłowość koncepcji, dużą wrażliwość na kolor, są na pewno dobrze zrobione, ale o tym dowiemy się od specjalistów. Niektóre przykuwają uwagę widza na czas dłuższy, np. „Pejzaż na niebiesko" (D), niepokojący „Kompozytor" (Mar.), ciepła, kubistycznie potraktowana „Przechadzka popołudniowa" (Mle.), i Turkiewicza „Martwa natura". Znicz-Muszyński objawia wielki talent i choć niektóre płótna są pod wyraźnym wpływem Paul Klee, trzeba uznać „Zachód słońca" i „Sklep", za duże osiągnięcia. Chojko nie oszczędza farby i nakłada ją z talentem. Jego „Studium świtu", „Pejzaż" i „Chatka w górach" bardzo mi się podobały. Piwowara, ze względu na sposób ekspresji można by zbliżyć do grupy malarek. Jest na jego obrazach jak gdyby ewokacja świata z bajki lub poezji romantycznej. Niezdecydowane kontury, zwiewność, tajemniczość przemówią do niejednej imaginacji. Cztery rzeźby w metalu, ze spawaczem w ręku, Bobrowskiego, są ciekawe. „Katedra" bardzo dobra, „Figura" i „Samotny żeglarz" również, choć wygląda raczej na widmowy okręt Latającego Holendra.

A więc brawo Grabowski, brawo Związek Artystów Polskich w Wielkiej Brytanii, brawo trzynastka artystów.

z. e. w.



MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ

NOTY O TWÓRCZOŚCI MŁODYCH POETÓW KRAJOWYCH

VI

Anna Pogonowska

Twórczość poetycka Anny Pogonowskiej okazuje wyraźnie wewnętrzne pęknięcie pokolenia. Spośród wierszy, pisywanych przez kilkanaście młodych poetek w Kraju utwory Pogonowskiej wyróżniają się swoją typowością.

Jej liryki mogą się wydać sentymentalne i trochę staroświeckie, o bardzo kobiecym typie uczuciowości. Należą one do tego samego gatunku co miniaturowe poemaciki Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, ale brak im, niestety, siły i kunsztu, które tak charakteryzowały autorkę „La Précieuse". U Pogonowskiej razi nieco niedostatecznie artystycznie przetrawione rozczulenie nad samą sobą:

Nie nadam imienia przyczynie opadania mych
powiek Zwisania rąk moich
Lituję się nad tą którą byłam i tą którą
mogłam zostać.
Jakże współczuć obecnej tak nieobecnej.

Gdy poetka opowiada co widzi, gdy słowami kreśli zewnętrzną rzeczywistość, zaskakuje nieraz mocą poetyckiego wyrazu. Stwarzając obraz, zestawia i kondensuje osiągając rezultaty zarazem piękniejsze i bardziej artystycznie dojrzałe niż w rozważaniach nad przemijaniem i więdnięciem. „W przyszłości" jest dobrym przykładem takiego wiersza pejzażu. Dziwi i pociąga zarówno oszczędnością słów użytych dla wyrażenia zamierzonej treści, jak i trafnie dobraną formą.

Oto ziemia szczęśliwa. Jak strzały słoneczne ludzie
Wypalają się równo w spokoju powietrza.
Gasną płomienie w czas swój. Wysoko wybiega dym.
Ciszą spieniona śnieży się Droga Mleczną.
Jedynie ptak rozdarty przez jastrzębia
Podpala błękit krwią, strąca gwiazdę cierpienia
I księżycowi skarży się pies — nie wie, że boga złotego
Zdeptała stopa ziemian.

Erotyki — jak zresztą najczęściej erotyki kobiece — brzmią mdło i nieprzekonywująco. Wydaje się, że kobiety stworzone są raczej na bohaterki niż na autorki poezji miłosnej. Erotyki Pogonowskiej przy całym swym sentymentalizmie rażą prozaicznością „Nie wybaczę ci przyspieszonego bicia serca, Gdy dzwonił — nie od ciebie — telefon, Nie wybaczę ci słów — które mnie chciały Tak — lekko").

Pogonowska-liryk nie zauważyła jakby zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich lat dwudziestu. Jej wiersze operują często rekwizytami zaczerpniętymi z tradycyjnego magazynu. Gdy robi to umiejętnie, trudno mieć jej to za złe. Jest w tym coś naiwnego i wzruszającego zarazem. Jakby serce miało jednak przywilej na staroświeckość. Ale obok wierszy — powiedzmy najogólniej — lirycznych, na których dzisiejsza, gorzka rzeczywistość nie wycisnęła swego piętna lub wycisnęła je tylko powierzchownie, spotkać można utwory o charakterze refleksyjnym, o tematyce światopoglądowej.

Stosunek do religii, do Boga, odgrywa w nich dużą rolę. Tu można odczuć wyraźnie szturm materializmu na świadomość autorki. Omawiana poetka nie jest wyjątkiem. Służyć może za typowy przykład deformacji psychiki wywołanej przez tak natrętne i brutalne wtłaczanie poglądów, że trzeba by wyjątkowo dużo charakteru i przedwczesnej dojrzałości, żeby się mu oprzeć. Kobiety zdają się ulegać tej deformacji wewnętrznej łatwiej. Nie znaczy to, by przyjmowały materialistyczny światopogląd (szczególnie w jego wulgarnym, komunistycznym wydaniu). Jednak pseudo-naukowe informacje, którymi je karmiono w szkole czy na uniwersytecie, zresztą co chwila i wszędzie, a na które młode dziewczęta nie umiały samodzielnie znaleźć odtrutki, niszczyły światopogląd tradycyjny i paraliżowały zdrowy rozsądek nie dając nic w zamian. W takiej ideowej pustce, czy raczej niepewności, zdaje się tkwić (jeśli po twórczości sądzić) Pogonowska. W tym szczególnym nieładzie światopoglądowym znaleźć można „Boga-Człowieka".

...On wierny
W Synu Swoim rozkwita
Nędzę ducha i ciała
Przeszywa Boża chwała
Krzyż w ramiona Go wita...

ale równocześnie:

...Nie potrzeba mi nieśmiertelności
Uderzenie śmierci
Roztrąci mnie jak mlecz
W skrzydlate nasiona.

Gdzie indziej dowiadujemy się jednak „na temat osobowości":

...Ja — czy to ten ból w okolicy łopatki?
Natrętny obraz wypaczonej myśli?
Sen, w którym nic nie ma?
Śmierć jako perspektywa dotarcia do swej osobowości.

Cały cykl „Obliczenia" pełen jest sprzeczności i niepokoju, w których wyrażaniu autorka nie zawsze umie ustrzec się prozaizmów: „Postawiwszy te zastrzeżenia Mogę zaufać logice i namiętności Wizjom szybszym i jaskrawszym od blasku Aby rozdzierać pętle widnokręgów Za ciasnych dla mego uśmiechu i dla mego skrzywienia".

Zagubienie, czy „skrzywienie" doprowadza do pytania, które — jeśli nawet wypowiedziane jest nieco niezgrabnie — posiada przejmującą wymowę:

Mówią że w epoce łupanego atomu
Niewspółczesna jest wiara w Boga —
W cóż więc mam wierzyć? W siłę piekielną
Która nas wodzi istnieniem?

Problem wiary, któremu tak wiele miejsca poświęca poetka w swych wierszach światopoglądowych, dźwięczy także w lirykach. Ujęcie jego jest tu trafniejsze i artystycznie udane. Gdzie wielkie i nieco abstrakcyjne sprawy wszechświata ustępują miejsca „trosce codziennej", gdy zmartwienia kosmiczne i atomowe zastąpione zostają troską o własne dzieci i ich potrzeby, zyskuje na tym poezja.

Moje dzieci muszą mieć cukier srebrny, słoneczny
Moje dzieci muszą mieć masło pachnące światłem,
Mleko tłuste, miód z rozbłyskanej tęczy
Łąk, chleb złoty jak horyzont latem.

Urok tych wierszy jest dobrej próby. Brzmi w nich liryka o starej polskiej tradycji. Nie oznacza to wcale epigoństwa. Przeciwnie: wszelki prawdziwy postęp w twórczości wymaga znajomości tradycji i jej uwzględniania. Próby stworzenia dzieł „zupełnie nowych" są zawsze przedsięwzięciami poronionymi. Martwe jeszcze przed urodzeniem, przypominają żałosne eksponaty z gabinetu zoologicznego, pływające w spirytusie sztucznie chroniącym je od gnicia. Wyzbycie się wszelkich dyscyplin i ograniczeń oraz pokusa dziwaczności (nie: dziwności) za wszelką cenę są złymi do-

radcami twórcy. Dziwność zwykłej rzeczywistości opowiedziana po prostu i pięknie była, i zapewne pozostanie, kluczem lub w każdym razie jednym z kluczy do dobrej poezji. Wiersz pt. „Piastunka“, szczególnie w swym zakończeniu, może posłużyć tu za ilustrację:

Synek mój dla niej kwiaty rysuje
niezdarne,
Spogląda w niebo dla niej i
w chmurach jej pragnie.
Ja ściskam go za ręce. Kartofliska
pachną.
Wóz szeleści daleki. W zorzę
wjeżdża łatwo.

*

Parę słów poświęcić warto poetyckiemu rzemiosłu Pogonowskiej. Gdy chodzi o interpunkcję, używa jej ona z umiarem. Często upłynnia tekst przez eliminację przecinków lub nawet kropek. Wprowadza też coś w rodzaju kropki złagodzonej, ukrytej. Nowe zdanie wewnątrz wiersza zaczyna się u niej nieraz od dużej litery, gdy poprzednie nie zostało zamknięte kropką, która wprowadziłaby podział zbyt brutalny. Technika ta daje często udane i ciekawe rezultaty. Metafora nierzadko zaskakuje trafnością, jak na przykład „gwiazdy wodołazy W kałużach podnoszą twarze“. Poetka unika neologizmów. „Szczątek dnia gorzącego (zamiast „gorejącego“) jest (raczej nieudanym) wyjątkiem. Również zastosowanie przestawni w wierszu „Kolory“ zaliczyć należy do technicznych potknięć: „Chwieją wody się i drzewa wysokie“.

Ostatni cykl w tomiku „Kręgi“ pt. „Barwy i bryły“ poświęcony jest — jak łatwo się domyślić — plastyce. Nie brak oczywiście wiersza o van Gogh'u. Na pociechę jest: o El Greco — mniej stereotypowy temat u młodych poetów. Sam ten wybór dobrze świadczy o smaku autorki. Miłą też niespodziankę stanowi opowiedziana wierszem „Krucjata dziecięca“ Wojtkiewicza, tego młodo zmarłego, niezwykle utalentowanego malarza. Wagę i znaczenie jego twórczości nie docenianej i nie docenionej do dziś, wcześnie dostrzegł był André Gide, czemu dał wyraz we wstępie do katalogu paryskiej wystawy polskiego artysty.

Nie w cyklu „Barwy i bryły“ jednak szukać należy najciekawszej o plastyce wypowiedzi, ale w wierszu pt. „Na temat sztuki współczesnej“:

Obraz świata pękł
Kręgosłup wyobraźni złamany
Mlecz pacierzowy wypływa —
Machina już nie wyrzuca
Gładkich form bóstw i ludzi
Ciekną
Plamy kosmiczne
Zygzaki nieskończone
Zjawy —

Wiersz kończy się pytaniem równie trafnym co beznadziejnym:

Kto ulepi
Z tej miazgi
Kształt świata nowego
Poszerzonego ciosami pojęć
Przezroczystych
Nie okrytych dotąd ciałem.

Druga jeszcze wypowiedź dotycząca sztuki — tym razem architektury — zwraca na siebie uwagę. Jest nią ostro ironiczny wiersz o odbudowie Warszawy.

Niewątpliwą zaletą Pogonowskiej jest niezaangażowanie się poetyckie w „radosną twórczość“. Wiersze jej nie służą ugruntowaniu „nowego ładu“, choć „ład“ ten zaraża ją niepokojem. Raczej zwrócone są w stronę źródeł tworzonego przez człowieka piękna, równie odwiecznych, co nie do wyczerpania. Źródłom tym zawdzięcza poetka najpiękniejsze swe utwory:

Topole wyciągnęły się szumem —
Roztajały zmierzchem twarde
cienie —
Świat umie
Nabierać głosu — milczeniem.

(M. P.)

Kamienna muzyka Karpowicza*)

„Muzyka kamienna — przypomnijmy ją przypomnijmy
niech nas gnębi niech odbiera nam
liście nad głową
Muzyka kamienna — ta której nie
da się udoskonalić
niech przelewa się z kielicha
w kielich kwiatu z słowa w słowo
niech nas stawia boso na chmurze
niech odmienia nas w zimnych
kryształach —
Muzyka kamienna muzyka tak
doskonała
że widzę jak w jej dźwięku
kamienieją ptaki...“

Podobnie jak życie dla wielu ludzi jest naskórkową podróżą po powierzchni oceanu w błogiej nieświadomości jego głębi i tajemnicy, tak też poezja w ręku niejednego literata jest li tylko mniej lub więcej zręcznym żonglowaniem obrazkami, których ani prawda nie ożywiła ani rumieniec życia nie dotknął. Pod papierową wrzawą, poza maską min i grymasów, pod cienką warstwą teatralnych gestów, zmyślonych uczuć i umownych myśli, cierpliwa i milcząca toczy swój nurt rzeczywistość, która nie musi krzyczeć, aby być. Rzadkim ptakiem jest poeta, pisarz, filozof, który potrafi nawiązać z nią kontakt. Dlatego z ogromną satysfakcją czyta się utwory tych ludzi, którzy uniknąwszy banału nie popadli w abstrakcję i dziwaczność, a myślą rozumną i sercem żarliwym przedarli się poprzez niezliczone zasłony, aby wziąć w posiadanie to co tak wielu oczom uchodzi i z tak wielu dłoni się wymyka.

Tymoteusz Karpowicz, urodzony w 1921 r. na wileńszczyźnie, obecnie tak jak i wielu innych kresowiaków wrocławianin, należy do pokolenia, które dojrzewało w czasie wojny i okupacji, którego świadomość przeorały wydarzenia w dziejach narodu tragiczne i wstrząsające. Poeci tego pokolenia nie stroją min na scenie, nie mają skłonności do błaznowania, do traktowania poezji jak magicznej szkatułki, z której w miarę potrzeby raz wyciąga się królika za uszy, a raz kilometry barwnych wstążek. Cechuje ich powaga, skupienie, nieufność i sceptycyzm. Nieraz błąkają się po bezdrożach nihilizmu i katastrofizmu. Często stają się ucieleśnieniem niepokoju, lub też zaciekle badają rzeczywistość, rozgarniając na boki chwasty pozorów, ustalonych opinii, utartych sformułowań. Omijając mielizny fałszu i banału, tak co do treści jak i co do formy, dopracowują się własnej wizji, własnego widzenia, rozumienia i czucia. Karpowicz zdaje się należeć do tych ostatnich.

Na jego ustosunkowaniu do rzeczywistości znać ślady zawiedzionych nadziei tak co do świata, który okazał się inny niż to można było wnioskować z podręczników, jak i do ludzi, którzy, mimo że wyznają prawdy i głoszą zasady, życiem swoim jednak przeczą jednym a łamią drugie. Stąd wszystkiego trzeba się nauczyć na nowo, trzeba zedrzeć naskórek pozoru i przyzwyczajenia ludzi i rzeczy. Odkrywszy drugie oblicze rzeczywistości, świadom bolesnych nieraz rozbieżności między istotą rzeczy a jej deformacją w wersji oficjalnej, poeta wraca, aby odwrócić ustalony porządek i zdumionym ludziom ukazać drugą połowę życia, która nie mieszka w sztywnych formułach i paragrafach:

„Sąd nad ziarnkiem, które nie
wzeszło
jest niemądry
Sąd nad drzewem, które nie szu-
miało
jest śmieszny
Sąd nad człowiekiem który się
załamał
jest nieludzki
To was w togach może raczej
sądzić
ziarnko niewzeszłe
drzewo nieszumiące
i człowiek złamany“

(„Sąd“)

Prostackie widzenie świata w białym i czarnym kolorze, obojętność, powierzchowność i przewrotność ludzi smuci, irytuje, rani. Oto mijają się obojętnie na ulicach, ale biegną na złamanie karku, aby pogapić się z bliska jak ktoś umiera pod kołami samochodu. Kiedy domniemany umarły wstaje, otrzepuje ubranie i odchodzi, są głęboko rozczarowani:

„Na krzyk
zbiegli się sąsiedzi
potem milicja
karetka pogotowia

— ale ponieważ nikt nie miał krwi na rękach ani ołowiu w sercu, uznano alarm za fałszywy i porozchodzili się, jak gdyby nigdy nic,

Jakby tylko krew i ołów
wyjawiały ludziom
ludzki ból“

— konkluduje Karpowicz. Mówi się im, przekłada, ale ludzie nie rozumieją. Ból, cierpienie innego człowieka to dla nas świat zamknięty, niezrozumiały. Powierzchowność myśli i uczuć prowadzi do płytkiego pojmowania świata i ludzi. Jak niedaleko, niegłęboko w gruncie rzeczy docierają nawet ręce tych, którzy chcieliby nam pomóc, mówi Karpowicz w wierszu „Chory“:

„Włosy mi uczesali
powstałe z lęku
by uspokoić
we mnie przerażenie

Dali mi białą koszulę
kiedy nie mogłem
rozpoznać siebie
w ciemności...“

---

*) Tymoteusz Karpowicz: „Kamienna muzyka“, Czytelnik, 1958.

W poezji, tak jak i w prozie zresztą, istnieje szereg zasadniczych tematów, które w różnych formach powtarzają się od tysiącleci. Jednym z nich jest temat przemijania, bolesne i gorzkie nieraz poczucie przemijalności rzeczy tego świata. Romantycy, uważający, że szczęście to coś konkretnego jak ptak, który ulatuje i rzeka, która płynie, w chwilach zachwytu i uniesienia błagali ptaka o powstrzymanie lotu, a rzekę o zahamowanie zbyt pospiesznego nurtu. Odeszli romantycy, ale do dziś dnia ludzie uważają czas za coś, co upływa, a przemijalność rzeczy świata zewnętrznego, jak i zmienność wewnętrznych nastrojów, dalej ranią naszą świadomość. Chcielibyśmy zatrzymać bieg unoszącej nas rzeki, usunąć rozdarcie pomiędzy tym co wczoraj, a tym co jutro; marzymy, świadomie lub nieświadomie, o tym, aby życie nasze rozgrywać się mogło w ramach niezmiennego „dziś". Objawia się tu ukryta tęsknota duszy ludzkiej, która sama będąc nieśmiertelną, nie może znaleźć zadowolenia we frywolnej niestałości materialnego, śmiertelnego świata. Stąd niedaleko już, o krok zaledwie, do mistycyzmu, do uznania, że niewystarczalność materii płynie z jej ograniczoności, a nienasycenie duszy z jej tęskności za elementem trwałym, wiecznym, nieograniczonym, słowem, Boskim.

Karpowicz zbliża się do mistyki, zdaje sobie sprawę z ograniczoności i przemijalności świata materii, domyśla się i doszukuje treści duchowych pod materialną powłoką ludzi i rzeczy, ale w kraj mistyki się nie zapuszcza. Woli swoje drzewa, ptaki, kwiaty i kamienie, chwile radości, miłosnego uniesienia, serdecznej przyjaźni, które kocha może właśnie za ich żywot krótki, niepewny, podlegający różnym fluktom, prawom rozkładu i zniszczenia:

„Wierzyłem:
całowane drzewo
nie utraci liści —
spadają liście
a odpływa
drzew

Ręką zakochaną
przygarnięta rzeka
nie odpłynie —
a odpływa
we mgle

Jest w moim krajobrazie
błąd barw i zapachu
lecz ciągle
ciągle kocham
to co wciąż się
zmienia"

(„Miłość")

Tematykę przemijania rozwija Karpowicz i w innym, pięknym wierszu „Czarodziejska góra":

„Nie powtórzą się:
niebo zapisane skrzydłem ptaka
drzewo z okrągłym echem w środku
cierpliwość palta i bunt iskry
....
nie powtórzą się w naszym
kieszonkowym życiu
są wytrwałe w znikaniu
tak jak my w jawności

Więc całujmy rzeczy znikome:
brzózki nóg białe nietoperze dłoni
bramy oczu........"

Jak już się rzekło, Karpowicz nie jest mistykiem w religijnym znaczeniu tego słowa. Jest natomiast mistykiem natury. Ten rodzaj mistycyzmu, który nieraz można spotkać wśród pisarzy i poetów (Proust, Rimbaud) polega na niespodzianym odkryciu drugiego oblicza rzeczywistości materialnej przy równoczesnym odkryciu duchowych treści w sobie i zrozumieniu łączności, jaka zachodzi między intuicyjnym rozumieniem samego siebie i świata zewnętrznego, który nas otacza. Ta intuicyjna łączność ze światem rzeczy pozwala przenikać cielesną, materialną powłokę i nawiązywać intymny kontakt z istotą przedmiotów martwych, które są martwe dla oczu ślepych i przyzwyczajonych, ale które żyją ukrytym życiem. To życie objawia się oczom śmiałej intuicji i mistycznego zamyślenia, które wprowadzają człowieka w samo serce rzeczywistości. Dziwnym prawem paradoksu, świat ducha poznajemy drogą badań rzeczywistości materialnej. I nie może być inaczej. Droga do Nieba prowadzi przez Ziemię. Podobnie droga do ukrytych znaczeń i prawd poetyckich wiedzie przez kraj konkretu. Karpowicz dobrze zdaje sobie z tego sprawę, rzuca się in medias res rzeczywistości dotykalnej od razu i bez wahania:

„Nie ocalisz się przecież — więc
rzuć się w nią jak najprędzej
w studnię ocembrowaną rzeczami
aksamitną i twardą zarazem
....
Leć leć Otwieraj się na wizję
podnoszącą się z dna przeczutego
wpadaj w chmurę kamienną i
wychodź z niej żywy
Bądź igłą zszywającą dwie krawędzie
ziemi
grzbietem gór i obłokiem deszczem i
klonem ziarnem i rzutem
....
Tylko ptakowi zawierz że ptak
rozumie ciebie
chociaż uciekasz od niego w
odmienną stronę bezdrzewną
Tylko gałęzi potrąconej u góry
zaufaj że ciebie rozumie
jakbyś był jej owocem spadającym
wzdłuż wysmukłego pnia..."

(„Studnia")

Czytając Karpowicza, a w tomie jego wiele jest piękna, które warto poznać, odnosi się wrażenie, że to nie opis zewnętrznych cech, nie powierzchowna obserwacja, ale wyprawa w głąb i tłumaczenie rzeczy od wewnątrz, przekazywanie w nowych słowach czegoś co jest i odkryciem i radością poznania. W tej poezji, wyjątkowo męskiej, rzeczowej, pozbawionej akcentów sentymentalizmu i roztkliwienia, unikającej abstraktów, operującej konkretem w formie zwięzłej i przejrzystej, szumiącej wreszcie niby drzewo pochylone nad rzeką, zamyślone nad losem ptaków i kamieni — drobne obserwacje, zanotowane jakby na marginesie większych wydarzeń, urastają do rozmiarów symbolu:

„Niemy i mały
leży w potoku
spłaszczony głaz

Pod rwącą falą
zimny od lęku
trzyma się dna

Lecz kiedy wody wyschną w
upałach
zlizany kamień wypręża grzbiet
Kamienną dłonią
ostatnim kroplom
zadaje śmierć"

(„Głaz")

Wiele by jeszcze można napisać o wierszach Karpowicza, o ich drapieżnej formie, o ich treści daleko wybiegającej poza przeciętność myślenia i odczuwania, o symbolice powtarzających się elementów (jak np. kamień), o gniewnym rozrachunku z ludźmi, o pięknym pojmowaniu przyrody i miłości. Ale noty mają swoje bardzo konkretne granice, więc ku końcowi volens nolens zmierzać muszę. Wymieniając tyle zalet poezji Karpowicza nie można nie wspomnieć, że ma ona swoje braki. Brakiem zasadniczym jest, zdaniem piszącego te słowa, brak Boga. Mistycyzm Karpowicza zatrzymał się na poziomie intuicyjnej łączności ze światem rzeczy, z przyrodą, nie poszedł dalej na spotkanie z jej Stwórcą. Odkrywszy wiele prawd poeta nie pokusił się o odkrycie Prawdy. Postanowił jakby cieszyć się życiem i światem, który go otacza nie kwestionując jego celowości, nie wnikając w jego pochodzenie, nie wdając się w dialektykę tragicznych sprzeczności tzw. ludzkiej doli. Na rozrachunek z samym sobą, z ludźmi, ze światem i Bogiem może jeszcze za wcześnie. Może w przyszłych swoich utworach pójdzie Karpowicz o ten jeden — jakże ważny — krok dalej, o krok, który decyduje o powstaniu prawdziwie wielkiej sztuki. —

Tymczasem jednak cieszyć się można bez przesady poetą, który przywraca nam i wzmacnia nadwątloną wiarę w świeżość, moc, piękno i prawdę poetyckiego słowa. Że tak jest, można się przekonać czytając wiersze, jak „Biały niedźwiedź", „Czarodziejska góra", „Martwe polowy", a także „Zwycięstwo", którego nie ma w tomie, a który ukazał się w „Twórczości" (marzec 1958). Wiersz ten w całości przytaczam poniżej jako ilustrację poetyckich osiągnięć Karpowicza, świadom, że utwór sam najlepiej o tym powie, niż nie wiem jak zręczna pochwała.

„Udało mi się zamknąć ją w mym
wnętrzu
Wchodząc do rzeki — aż po złotą
szyję
nurzam jej ciało w niecierpliwej
wodzie
kiedy uderzam nogą w ostry
kamień
słyszę jak ona kurczy się i cofa
stopę
jej ciepłe włosy splątane we
śnie
próżno szukają ujścia z moich
włosów
Pokorna — leży we mnie lecz co
noc
zapala siebie tuż pod moim
sercem
Wtedy przypada do mnie kamień
oszalały
i rzeka ogniem wpływa do mych
oczu
mały kwiat polny kąsa mnie tak
wściekle
że wyję cicho choć jestem
zwycięzcą"

(Z. Ł.)

TADEUSZ ZIARSKI

Obrońcy Śląska

W Pszczynie, na cmentarzu przy kościółku św. Jadwigi, wśród grobów synów i córek ziemi śląskiej, znajduje się skromny, opuszczony pomnik. Blisko sto lat temu pochowany tam został prawdziwy i wielki obrońca Śląska, o mało mówiącym dziś nazwisku — Bogedain. Nie doszukamy się polskiego brzmienia w tym nazwisku — nic w tym dziwnego — nosiła je stara rodzina niemiecka, która od wieków żyła we Wróblinie, pod Głogowem. Bernard Jakub Bogedain, jako dziecko, nie umiał nawet mówić po polsku. Na Śląsku z takich ludzi wyrastali giganci polskości.

Śląsk powrócił do Macierzy nie tylko dzięki przelanej krwi powstańców; często nieznane lub zapomniane rzesze cichych działaczy wśród ludu śląskiego, głównie zaś duszpasterze, prowadzili przez dziesiątki lat nieprzerwany bój o zachowanie mowy polskiej w kościele, szkole, w książce. Budzili uśpioną polskość, wydrapywali ją spod pleśni narosłej w czasie długiej nocy germanizacji.

Nazwisko Karola Miarki znane jest olbrzymiej większości Polaków. On redagował „Katolika" i „Zwiastuna Górnośląskiego". Mało kto wie jednak, że to biskup Bernard Bogedain zachęcał Miarkę do pisania po polsku. Sam borykał się w Opolu, w 1849 r., z wydawaniem tygodnika „Gazeta Polska dla Ludu Polskiego", będąc jednocześnie radcą szkolnym przy rejencji i przez pewien okres posłem z powiatu opolskiego do sejmu pruskiego w Berlinie.

Bogedain był synem rolnika z Wróblina (Fröbel) pod Głogowem. Urodził się 11 listopada 1810 r. i wysłanie go, jako młodego chłopca, do stryja Zbigniewa, cystersa w Obrze, zdecydowanie zaważyło na całym jego życiu i ideałach, dając podstawę dla naszej pamięci o nim. Tam bowiem, u stryja ,mały Bernard nauczył się po polsku mówić, później czytać i pisać. Ukończył gimnazjum w Głogowie i w 1831 r. wstąpił na teologię we Wrocławiu. Kończy studia w Poznaniu i w latach 1833-34 otrzymuje święcenia kapłańskie z rąk arcybiskupa Dunina. Stryj Zbigniew był wówczas proboszczem w Kopanicy, w Poznańskim i z jego rad korzysta ks. Bogedain, będąc wikarym w Grodzisku, później wikarym i katechetą gimnazjalnym w Bydgoszczy, w latach 1835-1837. Jego zdolności pedagogiczne skłaniają przełożonych do mianowania go — jako stosunkowo jeszcze młodego księdza — katechetą w seminarium nauczycielskim w Poznaniu, następnie dyrektorem seminarium w Paradyżu. Pozostaje tam do 1844 r., zakładając ochronkę dla sierot polskich.

Ks. Bogedain zostaje powołany przez władze pruskie w Poznaniu na odpowiedzialne stanowisko radcy szkolnego. W wieku 34 lat było to wielkim wyróżnieniem, ciągnęły go jednak bardziej strony ojczyste. Otrzymuje przeniesienie dopiero po czterech latach, w 1848 r. i pozostaje w Opolu aż do otrzymania sakry biskupiej, w r. 1858. na dwa lata przed przedwczesną śmiercią.

W Bytomiu proboszczem był ks. Józef Szafranek — postać znana i czczona przez cały lud śląski. Z nim to ks. Bernard Bogedain współpracował na wspólnej, najważniejszej niwie — walki o zachowanie kultury polskiej na Śląsku i o prawa języka polskiego, systematycznie tępionego przez rząd pruski.

Jako radca szkolny ks. Bogedain używał swych wpływów z bardzo wydatnymi wynikami. Obserwując przywiązanie Ślązaków do pieśni kościelnych i pragnąc zachować ich oryginalne polskie pochodzenie, wydał ks. Bogedain w Opolu, w 1856 r., przy pomocy swego ucznia Józefa Nachbara, „Chorał, czyli dostateczny zbiór melodyj do przeszło 700 pieśni w języku polskim". Zbiór pieśni, w tak wielkiej ilości, był owocem wieloletniej pracy i studiów. Poprzednio, w 1844 r., ks. Bogedain wydał w Poznaniu śpiewnik: „Pieśni nabożne dla użytku katolików archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej". Do roku 1894 śpiewnik ten doczekał się aż 10 wydań! Innym dorobkiem literackim ks. Bogedaina był przekład na niemiecki części kazań Skargi, uwielbianej postaci śląskiego kapłana.

Po latach pracy na Śląsku, 9 maja 1858 roku, ks. Bogedain zostaje konsekrowany we Wrocławiu przez arcybiskupa Przyłuskiego. Papież Pius IX, na wniosek biskupa Henryka Foerstera, mianował go sufraganem wrocławskim i tytularnym biskupem Hebronu. Ślązacy z radością przyjęli wiadomość o wyróżnieniu przez Kościół „jednego z nich". Biskup Bogedain wizytując parafie Śląska witany był z entuzjazmem. Jego zasługi w obronie języka polskiego znane były wszystkim. Nie ustawał w swych troskach, staraniach, bojach. Zmarł przy pracy — podczas wizytacji parafii w Pszczynie, 17 września 1860 roku. Pochowano go na placu boju, obok kościółka św. Jadwigi w Pszczynie, na Śląsku.

* * *

Biskup Bernard Jakub Bogedain był jednym z szeregu obrońców polskości Śląska. Obok Karola Kosickiego poniósł niewątpliwie największe zasługi. Wielu duszpasterzy bojowało również o ten sam cel, z różnym powodzeniem, rozmaitymi metodami.

Następca ks. Józefa Szafranka, wielkiego Ślązaka, w parafii w Bytomiu, ksiądz Norbert Bonczyk, obrał własną drogę do pobudzania poczucia polskości u Ślązaków.

Syn sztygara kopalni „Marii" w Miechowicach pod Bytomiem, całe życie spędził w stronach rodzinnych. Urodził się 6 czerwca 1837 r. i miał szczęście uczęszczać do szkoły ludowej, w której uczył jeden z fanatycznych Ślązaków, Paweł Bieniek. On to zaszczepił ukochanie mowy śląskiej w małym Norbercie, który mając dziesięć lat traci matkę i dwie siostry podczas szalejącej epidemii. Dziedzice w Miechowicach, Winklerowie, wysyłają Bonczyka do gimnazjum w Gliwicach, które kończy w 1858 r., następnie studiuje teologię i języki na uniwersytecie we Wrocławiu, w latach 1858-62. Styka się tam z Adamem Asnykiem, z którym należą do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego. Bonczyk zaczyna tam pisać wiersze polskie i niemieckie oraz przekłada poezje Schillera, Goethego, Klopstocka i innych.

Po święceniach kapłańskich 4 czerwca 1862 r. ks. Bonczyk zostaje wikarym w Piekarach. Po trzech latach wraca do Bytomia, gdzie pozostanie do śmierci. Zakłada tam w 1869 r. „kasyno" polskie, później, w 1871 r., Towarzystwo Młodzieży Polskiej. Po śmierci ks. Józefa Szafranka w r. 1874 przez 12 lat jest proboszczem w jego parafii. W końcu otrzymuje w 1886 roku nową parafię w Bytomiu, pod wezwaniem Świętej Trójcy.

Działalność duszpasterską ks. Bonczyk łączy z bujną twórczością literacką w starym, barwnym języku śląskim. Pisze także wiersze po polsku, niemiecku i łacinie. Wydaje wiele broszur, życiorysów duchownych i drobne poematy okolicznościowe. W literaturze śląskiej zajął należne mu miejsce dzięki dwóm epickim dziełom, które uczyniły go „lirykiem Śląska". „Stary Kościół Miechowski" jest obrazem obyczajów wiejskich i jednocześnie epopeją śląskiego wieśniaka, a „Góra Chełmska" — to powieść poetycka, napisana na tle tzw. „walki kultur". Dzieła, wydane w latach 1879-1886, doczekały się licznych wydań, szczególnie „Stary Kościół Miechowski"; niektóre wydania ukazały się w wiele lat po śmierci autora, już w odrodzonej Polsce.

Działalność literacka ks. Norberta Bonczyka spowodowała kłopoty z władzami pruskimi. Został nawet aresztowany i przebywał w więzieniu dwa miesiące, rzekomo za przekład powiastki Bolandena „Der alte Gott" (Stary Bóg żyje")... Wyszedł z więzienia bytomskiego w 1872 r. nieugięty i zabrał się znów z zapałem do poezji śląskiej, wczytując się w Mickiewicza, Pola, Malczewskiego, którzy byli dla śląskiego księdza wzorem w tworzeniu nowej, czysto śląskiej liryki, jego własnej broni w walce o dusze Śląska. Broń kunsztowna a skuteczna, używana przez innych, świeckich pisarzy śląskich, jak Czesław Damroth, czy później Jan Łysek.

Nie tylko pod Górą Św. Anny Ślązak bił się o prawa przynależności do Rodu Piastowego. Księża śląscy, Bogedain czy Bonczyk, bojownicy o mowę śląską i polską, zasługują także na miano obrońców tej prastarej dzielnicy polskiej.

Tadeusz Ziarski

KSIĄŻKI

„KRÓL JEST NAGI"

Howard Fast dołączył do licznej już dzisiaj grupy zawiedzionych pisarzy komunistów. Od wczesnej młodości był naprzód sympatykiem a potem członkiem komunistycznej partii Stanów Zjednoczonych. Rewelacje Chruszczowa na XX kongresie sowieckiej partii komunistycznej i następujące po nich wypadki w świecie satelickim przekonały go, że w partiach komunistycznych świata nie ma tej prawdy, którą Fast zdawał się w niej widzieć.

Ukazanie się książki w polskim tłumaczeniu jest zjawiskiem niewątpliwie pozytywnym. Daje ona naszemu czytelnikowi szeroki wgląd w sprawy, które dotąd były dlań zamknięte.

O wewnętrznych stosunkach w Sowietach pisano już wiele. Drukowane w czasach surowej cenzury stalinowskiej, książki na ten temat przyniosły światu wiadomości o tragedii ludzi pod rządami terroru. Przemycone z Zachodu do państw za kurtyną przyspieszyły one proces „destalinizacji" i przyczyniły się do chwilowego rozluźnienia dyktatury.

Książka Fasta nie zajmuje się dużo Rosją Sowiecką, gdyż autor miał zbyt mały wgląd w tamtejsze stosunki. Jej główną nutą jest oburzenie człowieka przeciw stosunkom panującym wśród komunistów za granicą.

Stosunki sowieckie, a w szczególności antysemityzm, zajmują — oczywiście — niemało miejsca. Ale najbardziej rewelacyjne są rozdziały o królestwach moralnego terroru, które zagraniczni przywódcy komunizmu zbudowali sobie w środowiskach wolnych ludzi.

Fast potwierdza, że „aparat" partii komunistycznej jest wszędzie taki sam, bez względu na to czy działa na przestrzeniach Rosji czy Stanów Zjednoczonych. Różnica jest tylko taka, że w Stanach Zjednoczonych jego przedstawiciele nie rozporządzają ani władzą ani policją. Istota jednak pozostaje niezmieniona. Władza komunistyczna jest brutalna, nie znająca granic, nie licząca się z niczym. Jej jedynym celem jest utrzymanie w ręku kierownictwa nad członkami i sympatykami.

Partia komunistyczna nie liczy się ze swymi członkami, gdyż komuniści nie liczą się z człowiekiem. Jest on dla nich ziarnkiem w morzu ludzkiego piasku, materiałem, z którego można sypać tamy. Pojedyńczy człowiek nie liczy się: jego uczucia, przeżycia, jego godność osobista — nie mają dla partii żadnego znaczenia. Jest to nowoczesna forma niewoli, narzucona właśnie tym, którzy myśleli, że swą uległością wobec partii naprawią świat.

Partia, zgodnie ze świadectwem Fasta, nie zna wdzięczności — zna tylko zemstę. Nie wie ona co to obowiązek wobec innych, gdyż uznaje tylko obowiązki wobec siebie.

W walce o władzę partia nie gardzi żadnymi środkami. Szkoli swych przedstawicieli do używania kłamstwa i prowokacji, nieliczenia się z prawdą, podobnie jak nie liczy się z człowiekiem i jego „ja".

Fast wielokrotnie myślał, że stan taki związany był jedynie z konkretnym kierownictwem. Przekonał się jednak, że to nie kierownictwo, ale system komunistyczny narzucał takie bezduszne postępowanie.

Dodatkowym powodem jego odejścia z szeregów komunistycznych był antysemityzm w Rosji. Fast nie wiedział i nie zdawał sobie sprawy, że antysemityzm jest polityką partii w Rosji. Odkrycie tej polityki i zbrodni popełnianych w jej imieniu przeważyło szalę.

Na marginesie książki Fasta warto zauważyć, że najbardziej mu obrzydzili Sowiety pisarze sowieccy, podróżujący za granicą. Ich kłamliwe opowiadania o stosunkach w ZSSR początkowo działały na komunistów amerykańskich, po to jednak, by wobec rewelacji Chruszczowa na XX kongresie wywołać tym większy zawód. Bracia-pisarze sowieccy mają tendencję do nieograniczonego kłamstwa, zdaje się mówić książka Fasta na ten temat.

Wydanie polskie jest dobrze tłumaczone z angielskiego. Wydano je starannie. Nie obeszło się jednak bez drobnych błędów. Oto sowiecki pisarz Borys Polewoj ukazuje się w książce jako Borys Polowy. Jest to niedopuszczalne spolszczenie obcego nazwiska. Nie można bowiem np. Mr. E. Blacka przedstawiać po polsku jako E. Czarnego, choć to niewątpliwie poprawne tłumaczenie.

S. Łochtin

*) Howard Fast: KRÓL JEST NAGI. Instytut Literacki. Paryż 1958. Biblioteka „Kultury". Tom XXXII.

LINCOLN

(Dokończenie ze str. 15)

jak wypowiedzianych, jak jego charakter. Dlatego też jego mowy, jego listy muszą być rozpatrywane w związku z faktami, które je wywołały. Nie zostały bowiem powiedziane lub napisane dla słów i jako słowa: ale stanowią zawsze część jego życia na danym etapie wewnętrznego rozwoju. Nie zawahałbym się o tym człowieku napisać, jakże znanym zdaniem, że wzrastał w latach w w mądrości i łasce u Boga — choć nie u ludzi (bo to stało się dopiero po jego tragicznej śmierci).

I dlatego gdy wewnętrzna uczciwość i rozum każą mu zmienić zdanie, uczyni to odważnie, bez względu na osobiste skutki. Nie z wyrachowania — choć był to polityk, który musiał działać i postępować w myśl wszelkiej rozumnej polityki — sztuki rzeczy możliwych; — ale z obowiązku sumienia. Gdy pewnego razu ktoś publicznie uczyni mu zarzut, że w jakiejś sprawie zmienił zdanie, Lincoln odpowiedział jasno: „Oczywiście! I nie bardzo sobie cenię człowieka, który dziś nie jest mądrzejszy, niż był wczoraj". Miał sumienie za mistrza, nazywał je „wewnętrznym swoim światłem", i w sumieniu przede wszystkim chciał mieć przyjaciela, choćby to był jego jedyny przyjaciel: byle tylko pozostał z nim do końca życia. Powiedział zresztą: „Rządy swoje pragnąłbym tak sprawować, aby pod koniec, gdy zdam władzę i nie pozostanie mi już żaden przyjaciel na ziemi, pozostał mi przyjaciel w moim sumieniu i żył we mnie".

Oto druga prawda o Lincolnie, ściśle związana z poprzednią: był to człowiek, który się nie zatrzymywał w rozwoju, który miał najrzadszy z darów: dar wewnętrznego wzrostu i przeto każdego roku — nie wstydźmy się tego zlekceważonego słowa — stawał się l e p s z y niż był w roku poprzednim. To co nasz Słowacki nazywał ideą doskonalenia, było zasadą jego życia.

A po trzecie: Lincoln nie należał do żadnego określonego wyznania protestanckiego, pewne jego wypowiedzi zdają się dość wyraźnie świadczyć o jego znacznych wątpliwościach nawet co do niektórych dogmatów, wspólnych chrześcijanom bez względu na przedziały. Można to może przypisać temu, że ten wielki samouk, choć nie rozstawał się z Biblią, a był tak głęboko i do dna myślącym człowiekiem, nie miał szczęścia, aby i w tej dziedzinie zdobyć sobie wiedzę, która by zadowoliła jego wymogi. Lecz powiedziawczy to, trzeba powiedzieć także, że nie łatwo znaleźć świeckiego człowieka, który by — tak jak on — umiał poruszyć, wstrząsnąć nawet, żarem wiary, zupełnie mistycznym doznaniem działania Opatrzności Bożej, wzniosłością myśli o Bogu wypowiadanych i pamięcią o Jego działaniu w świecie. Tylekroć łączył imię Boga z ważnymi przemówieniami i państwowymi aktami, ale nie ośmielał się czynić Boga swoim stronnikiem. W czasie straszliwej wojny pamiętał, że obie strony przekonane o swej wyłącznej słuszności, modlą się do tego samego Boga, że obie nie mogą mieć całkowitej racji, ale obie mogą być w błędzie co do widzenia własnej sprawy, o której wyniku Bóg postanowił. Jednemu z pastorów abolicjonistów, który go „zapewnił", że Bóg jest po stronie tych, którzy walczą o wyzwolenie Murzynów, Lincoln odpowiedział, że o tym nie wątpi; ale chciałby przede wszystkim i z całej duszy o to się modli, aby cały naród amerykański „znalazł się po stronie Boga". Można mieć wadliwą teologię, a być wielkim chrześcijaninem. I właśnie Lincoln i w swych słowach i w swym postępowaniu, i jako człowiek i jako mąż stanu — może być nazwany wielkim chrześcijaninem XIX wieku. — Duch tchnie, kędy chce...

Jan Tokarski

Notatki

WYSZŁA nareszcie „księga w stulecie zgonu", poświęcona Mickiewiczowi, nakładem Polskiego Towarzystwa Naukowego. W związku z rocznicą zawiązał się w roku 1955 w Londynie komitet wydania księgi, w której miały się znaleźć wyniki ostatnich badań nad Mickiewiczem poza Krajem, zarówno uczonych polskich, jak też slawistów obcych. Na czele komitetu stanął prof. St. Stroński. Śmierć zabrała go rychło po napisaniu szkicu do księgi, o którym wyraził się, iż „uważa go za swoje ostatnie zobowiązanie naukowe". Po jego śmierci obowiązki przewodniczącego komitetu objął prof. Władysław Folkierski.

Przyczyną trzyletniego opóźnienia księgi było niespodziewane opieczętowanie Biblioteki Polskiej w Paryżu. Autorzy utracili dostęp do głównej skarbnicy materiałów Mickiewiczowskich poza Krajem, a ponieważ znaczna część prac na nich się opierała, trzeba było opóźnić druk księgi aż do ponownego udostępnienia Biblioteki Polskiej.

W oczy się rzuca, że księga powstała na emigracji. Autorami są wyłącznie emigranci i poloniści cudzoziemscy. (Prace napisano w czterech językach.) Większość poruszanych zagadnień tyczy życia, twórczości i działalności Mickiewicza na obczyźnie.

Jaka jest wartość naukowa księgi? Tworzy ona bardzo poważny zbiór przyczynków historycznych oraz sądów obcych uczonych o Mickiewiczu. Kilkoro autorów naświetla niezmiernie interesująco stosunki poety z osobistościami i instytucjami obcymi w Europie (Czapska, Markiewicz, Bronarski, Piekut, Zaleski). Ogromnie ciekawa, choć niewykończona, wydaje się praca Józefa Trypućki o języku Mickiewicza. Pionierską rzecz napisał gen. Marian Kukiel o „Mickiewiczu w podziemiu", o jego związkach z wolnomularstwem narodowym (węglarstwem). Świetny historyk epoki napoleońskiej przeprowadza wielki historyczny proces poszlakowy i wysuwa hipotezę, że Mickiewicz był czynnym węglarzem.

Historycy literatury dziwnie do tej pory stronili od tego tematu, lekceważąc m. in. głębsze znaczenie i powiązania ruchu filomackiego i późniejszych jego przeobrażeń. Wydaje się, że gen. Kukiel powiedział wiele, ale nie wszystko. Niektóre z jego hipotez budzą nawet zastrzeżenia. Ale niewątpliwie wytyczył on nowy, pionierski szlak w badaniach nad Mickiewiczem. Naszym skromnym zdaniem, cała twórczość i działalność młodego Mickiewicza, w Wilnie, Kownie, i potem na zesłaniu w Rosji, aż do pobytu w Rzymie, ściśle się wiąże z działalnością i ideologią związków tajnych, które naówczas nurtowały polskie elementy patriotyczne.

(Autor tych słów zamierzał opracować ten sam temat, czemu przeszkodziła choroba, lecz nie rezygnuje z ogłoszenia laickich uwag, którym, rzecz jasna, ani się równać z erudycją gen. Kukiela. Mimo to odczytałem niektóre dokumenty o Mickiewiczu w konspiracji inaczej niż gen. Kukiel. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że ruch filomacki miał co najmniej powiązania z masonerią.)

540-stronicowa księga Mickiewiczowska, z 20 wkładkami ilustracyjnymi, jest hołdem nauki polskiej w stulecie zgonu poety, najpiękniejszym i najpoważniejszym, jaki był możliwy na wygnaniu.

*

NAKŁADEM rzymskiego „Sacrum Poloniae Millennium" ukazała się fundamentalna praca prof. Oskara Haleckiego „Od Florencji do Brześcia (1439 — 1596)" w języku angielskim. Ogromny tom liczy 444 stron i należy do najpoważniejszych osiągnięć historiografii polskiej na obczyźnie w ramach przygotowań do Tysiąclecia Chrztu Polski.

Prof. Halecki jeszcze w roku akademickim 1917-18 poświęcił kurs wykładów na Uniwersytecie Jagiellońskim uniom florenckiej i brzeskiej. Studia swoje pogłębiał przez całe życie, rozszerzając je w ostatnich latach zbadaniem archiwów watykańskich i włoskich. Owocem czterdziestoletniej pracy naukowej jest właśnie tom „Od Florencji do Brześcia". Historycy polscy doprawdy nie zmarnowali lat wygnania.

*

OKOLICZNOŚCI towarzyszące odejściu zbuntowanej grupy poetów z „Merkuriusza Polskiego" i założeniu „Nowego Merkuriusza" potwierdzają w całej rozciągłości nasz sąd o wstręcie do demokracji tych wychowanków wyższych uczelni brytyjskich, wyrażony w „Notatkach" w nrze poprzednim. „Merkuriusz Polski — Życie Akademickie", tj. prawowita kontynuacja miesięcznika akademickiego, w nrze 104-105 ujawnia niewiarogodne wprost szczegóły „buntu", który na zewnątrz uzasadniało się jako zerwanie z „reakcją".

„Żałować należy — czytamy w artykule pt. „Odpowiedź Grupie" — że odejście odbyło się w typowej dla ONR-owskich rozłamów atmosferze. Było wzywanie do bojkotu nowej redakcji, wejście do lokalu i przywłaszczenie sobie 300 egz. listopadowego numeru, kampania prasowa nie oszczędzająca organizacji itp. Dziwić się można małemu wpływowi naszych gospodarzy na młode pokolenie i jego postępowanie w chwilach decydujących. Jeśli idzie o własne interesy, na bok idą wszystkie względy, a przede wszystkim dobre formy." Autor cytowanego artykułu, p. Ludwik Angerer, kreśli obiektywnie historię „Merkuriusza", wykazując megalomanię, podszywanie się pod cudze zasługi i zwykłe kłamstwa głównemu leaderowi „buntu". Jak się okazuje, w chwili rozpoczęcia flirtu „Merkuriusza" z gomułkowszczyzną, prenumerata i kolportaż pisma spadły do połowy, a na to miejsce rozpoczęto masową, i oczywiście bezpłatną, wysyłkę pisma do Kraju, „chyba po to, by marnować znaczki". A więc z powiewem „rewizjonizmu" zaczął się nie rozwój, jak twierdzili „buntownicy", lecz zmierzch pisma.

Jerzy Iranek-Osmecki we wnikliwym artykule pt. „Reakcje kontrolowane" stawia kropkę nad „i", odsłaniając właściwe motywy podsycania rzekomego konfliktu pokoleń na emigracji. „Chyba najlepszym chwytem — pisze Iranek-Osmecki — jeśli chodzi o emigrację, było wygrywanie konfliktu młodych, zbuntowanych, a często niedochowanych i niewychowanych „intelektualistów". Konflikt intelektualistów jednak jest zawsze z rzeczywistością, choć starają się nadać mu pozory inne. Taki brak uczciwości z samym sobą robi z niektórych intelektualistów osoby podatne na różne podszepty, czy pośrednie kierowanie, zwłaszcza jeśli mogą przy tym wyżyć się ze swej ukrytej nienawiści... Dlatego też niektórzy młodzieńcy parający się piórem na emigracji tak usilnie podtrzymują tezę o konflikcie pokoleń. Chodzi przy tym i o to, by zdyskredytować i oddzielić od młodszego emigracyjnego pokolenia pokolenie starsze, które nie tylko pisać, ale i myśleć i na doświadczeniu opierać się potrafi."

Pierwszy numer „Merkuriusza Polskiego", wolny od „czadu rewizjonistycznego" (jakby się wyraził Gomułka) kończy nareszcie długotrwały mit o rzekomym rozejściu się dróg starszego i młodego pokolenia emigrantów i o odmiennym pojmowaniu sprawy polskiej przez oba pokolenia. W rzeczywistości bowiem, młode pokolenie na emigracji utożsamiano od pewnego czasu, prawem kaduka, z paru hałaśliwymi trzydziestoletnimi panami.

„Merkuriusz Polski", ten „legalny", okazał w pełnym świetle prawdziwe oblicze młodzieży studiującej. Pismo wypełniają nareszcie autentyczni studenci, poruszając problematykę studencką i zamieszczając korespondencje z różnych środowisk akademickich w świecie. Znajdujemy w piśmie trzeźwą ocenę spraw polskich, doskonale zapowiadającą się publicystykę (J. Iranek-Osmecki, Leszek Klimek i Aleksander Łuczak), aczkolwiek raczej mizerną poezję. Ale ostatecznie poezja to tylko margines życia i można wydawać świetne pismo bez wierszy. Należałoby się też czytelnikom nieco odpoczynku po wieloletnim syceniu ich poezją „Grupy". Autentyczni studenci, którzy objęli redakcję „Merkuriusza", nie różnią się w poglądach na zasadnicze sprawy z pokoleniem starszym.

Trzeba też bezstronnie i z ulgą przyznać na podstawie lektury dwu numerów „Kontynentów — Nowego Merkuriusza", że i ta grupa nie jest jednolita. Na dobrą sprawę tylko jeden jedyny publicysta i poeta w jednej osobie wyraża poglądy, które potem skwapliwie i dość systematycznie przedrukowuje prasa komunistyczna w Polsce. Dotarł on nawet ze swym tomem wierszy do Państwowego Instytutu Wydawniczego. Inny poeta, również przez PIW drukowany, nie ukrywa, że jest tzw. lewicowym intelektualistą.

Ale niemal wszyscy inni to młodzi ludzie szukający własnych dróg, myślący i utalentowani. Pewien zamęt do pisma wprowadzają tylko niedocenieni przez „starych" poeci, którzy na złość mamie odmrażają sobie uszy i na złość emigracji mają pozytywny stosunek do „przemian" w Kraju.

*

BAWIŁ przez parę dni w Londynie Tadeusz Nowakowski. Cóż to za niespożyta żywotność! Gejzer humoru i anegdoty. I jaki talent! Po znakomitej powieści „Obóz Wszystkich Świętych" Nowakowski nie spoczął na laurach, ale co

kilka tygodni ogłasza długie opowiadania, w których nie ma ani jednego puszczonego zdania. A każdy temat sięga „do trzewi“ współczesnych problemów i opiera się na rzetelnej wiedzy o życiu.

Tadeusz Nowakowski wysunął się na emigracji na czoło tego pokolenia pisarzy, które ruszało na wojnę mając lat 20-25. W Kraju rola ta przypadła Wojciechowi Żukrowskiemu.

Tadeusz opowiadał o najwybitniejszym przedstawicielu najmłodszego pokolenia, powojennego: Hłasce. Bawił on przez pewien czas w Monachium pijąc i demolując lokale i mieszkania prywatne. Barbarzyńca o wielkim talencie. Nie może znaleźć dla siebie miejsca nigdzie w świecie. Podobno nienawidzi tak samo ustroju, który go wychował, jak i Zachodu. Teraz szuka szczęścia w kibucu palestyńskim, gdzie podobno już zdezorganizował pracę.

Czyżby literaturze polskiej groził najazd Hunów? Przecież wszystko, co po wojnie powstało dobrego, wyszło spod piór starszej generacji, międzywojennej. Nawet tacy pisarze jak Tadeusz Nowakowski i Wojciech Żukrowski wykarmili się na macierzystym chlebie dwudziestolecia.

✱

PODOBNO „Kultura“ dostała prawo przekładu „Doktora Żywago“ na język polski. Jeśli przekład dokonany będzie z oryginału rosyjskiego i jeśli podejmie się go Czesław Miłosz, otrzymamy zapewne o wiele piękniejszą książkę niż bezduszne tłumaczenie angielskie, którym się tak dziś świat zachwyca. A już w każdym razie wiersze Pasternaka są wprost wyzwaniem dla Miłosza.

✱

NA CZEŚĆ laureata nagrody za działalność teatralną na emigracji, dyr. Leopolda Kielanowskiego, ufundowanej przez Obywatelski Komitet Pomocy Polakom, odbyła się domowa uroczystość w „Ognisku“. Mimo nastroju domowego, pięciu mówców wypowiedziało swoje kwestie z większą tremą niż na scenie, ponieważ w środku salki ustawiono mikrofon z inicjatywy radia Wolnej Europy.

Gospodarze „Ogniska“ natomiast wydawali się bardzo stremowani otwarciem przez gości dwu więcej niż przewidziano butelek jugosłowiańskiego rizlinga. Dlatego też trzecią, zapasową, butelkę wyniesiono w pośpiechu, zanim się goście rozeszli. Szkoda, bo okazja była wyjątkowo miła. „Lampka wina“ w starodawnych czasach oznaczała po prostu wino, bo wszak nikt nigdy nie pił wina z lampy. Był to zatem eufemizm oznaczający albo skromną ilość wina albo skromność gospodarzy, którzy potem raczyli gości do upadłego. Dopiero na emigracji „lampka wina“ zaczęła oznaczać jeden jedyny kieliszek taniego zazwyczaj napoju.

Piszę to z żalem, bo kto jak kto, ale Kielanowski wart dobrego toastu, a zaproszenia na „lampkę“ podpisał najlepszy na obczyźnie znawca teatru i wina zarazem, Zygmunt Nowakowski.

✱

INNYM ZGOŁA zasadom hołduje mgr Mateusz Grabowski. Ten Arcysarmata i Mazur z urodzenia, posiada doskonale rozwinięty zmysł praktyczny, który łączy z najszlachetniejszym idealizmem. Aptekarz i paczkarz otwierający na własny koszt galerię sztuki polskiej w Londynie to prawie jak opowieść o żelaznym wilku.

I to jaką galerię! Nie zapamiętałem, jak większość korespondentów, ani koloru sufitu ani podłogi, ani materiału, z jakiego zbudowano przepierzenia sal, lecz wyniosłem ogólne wrażenie ciepła, przytulnej atmosfery i ładu w Galerii Grabowskiego. Połączenie wystawy sztuki nowoczesnej ze skromnie, na marginesie jakby, umieszczonymi gablotkami wytworów polskiej sztuki ludowej i z rozwieszonymi na ścianach kilimami, świadczy o dobrym smaku artystycznym pana magistra Grabowskiego. Choć w czasie otwarcia wystawy usuwał się on, swoim zwyczajem, w cień, musiał być dumny jak paw. Dostrzegł chyba, jakie wspaniałe pomieszczenie dał bezdomnej sztuce polskiej, i że zaproszonym na otwarcie wystawy artystom, krytykom i dziennikarzom angielskim i polskim dostarczył sposobności do głębokiego przeżycia i wymiany myśli. Jako dobry Polak wiedział przy tym, że takie myśli najlepiej kleją się przy napitku.

Galerię oddał właściciel do użytkowania Zrzeszeniu Plastyków Polskich w W. Brytanii. Pierwsza wystawa obejmowała prace członków Zrzeszenia. Będzie o nich pisał w ŻYCIU kompetentny krytyk. Trudno się jednak powstrzymać od wyrażenia spontanicznego zachwytu zarówno nad ogólnym poziomem artystycznym prac, jak też nad kilku poszczególnymi obrazami. „Chrystus pod krzyżem“ Mariana Bohusza-Szyszki przykuwa wzrok niezwykłością i siłą wizji, wyrażonej głównie kolorem. Poza tym, jeśliby wypadło z czterdziestu wystawionych płócien nagrodzić trzy, drugą nagrodę przyznałbym S. Frenklowi za „Saint Ives“, a trzecią A. Dobrowolskiemu za „Krajobraz w kolorze niebieskim“.

✱

WYSTĄPIŁA w Londynie kilkakrotnie Krystyna Ankwicz, kiedyś świetna aktorka teatru krakowskiego i filmu polskiego, dziś grająca na scenie niemieckiej. Nie straciła niczego ze swej świeżości, werwy scenicznej i rozległej skali talentu.

Urodzony, albo, jak się to mówi, rasowy, aktor czuje się bez sceny jak ryba bez wody. Toteż Krystyna Ankwicz znalazła się na scenie niemieckiej, przy czym w występach swoich, scenicznych i radiowych, często recytuje i śpiewa piosenki polskie. Kto wie, czy na wielu Prusaków, Ślązaków i Gdańszczan nie działają one jak pieśń wajdeloty na Konrada Wallenroda? Niesłusznie lekceważymy Niemców, nie dbając o manifestowanie wśród nich naszej sztuki. A podobno, jak twierdzi Krystyna Ankwicz, są jej bardzo ciekawi.

✱

ZMARŁ w Warszawie, w rok po powrocie do Kraju, Stanisław Młodożeniec, jeden z najciekawszych poetów i prozaików dwudziestolecia, właściwy twórca polskiego futuryzmu, zawsze usuwający się w cień i nie umiejący dbać o swą sławę. Niemalże w dniu śmierci wyszły jego „Poezje zebrane“ i wybór opowiadań. Chociaż Młodożeniec był twórcą polskiego futuryzmu i najwybitniejszym pisarzem gwarowym międzywojnia oraz czołowym ideologiem literatury chłopskiej, historia literatury obeszła się z nim po macoszemu, a jego zasługi zgarnęli inni.

J. B.

Teatr dla dzieci

O założeniu, celu, znaczeniu, trudnościach itp. powołanego do życia w Londynie teatru dla dzieci Czytelnicy zapewne wiedzą już doskonale, gdyż cała prasa emigracyjna pisała o tym do znudzenia. Również w programie pierwszego przedstawienia znajdujemy dwie rozprawki: „Witamy Was“ i „Jak powstał teatr dla dzieci?“, wprowadzające w arkana organizacyjno-wychowawcze teatru. Trochę może nawet tego „smrodku dydaktycznego“, jakby powiedział Melchior Wańkowicz, czuje się za wiele wokół pięknego, pożytecznego i w pełni udanego przedsięwzięcia.

Na premierze uraczono słuchaczy aż dwoma przemówieniami; w drugim była znowu mowa o założeniu, celu, znaczeniu, trudnościach teatru itp. Zwłaszcza wiele mówiło się i pisało o trudnościach i zasługach społecznych. Na wspaniałych korytarzach i w sali teatralnej Instytutu Francuskiego uwijało się przed, w czasie i po przedstawieniu mnóstwo pań z komitetu i kierownictwa teatru, sprzedających programy, rozsadzających widzów, liczących kasę i spełniających wiele innych pożytecznych funkcji, które (panie) nie omieszkały w czasie spełniania swych czynności pracowicie uświadamiać publiczności o trudnościach i zasługach. To społecznictwo może teatr obrzydzić. Tak jakby gospodarze zaprosiwszy na suty obiad gości wypominali im, ile pracy i kosztów pochłonęły przystawki, pieczyste i ciasta. Duszą teatru dla dzieci jest Regina Kowalewska, której, na szczęście, poza jej dziełem na scenie, nie było nigdzie widać. Panie i panowie z komitetu winni wziąć z niej wzór i usunąć się za kulisy ze swymi zasługami i trudnościami. Wierzymy, że nie są małe, ale przypominanie ich psuje zabawę.

Regina Kowalewska ma za sobą jeszcze polskie studia nad teatrem dla dzieci. Można zaufać jej wiedzy, jaki powinien być teatr dla dzieci. Jakby z dotychczasowej dyskusji w prasie i kawiarniach wynikało, nieletniemu widzowi obojętny jest tekst i sens sztuki, natomiast uwagę jego pochłaniają jakoby tylko elementy dekoracyjno-kostiumowe, ruchowe oraz charakterystyczność postaci scenicznych. Przysłowie mówi: „Zapomniał wół, jak cielęciem był“, ale jeśli sięgnąć pamięcią do pierwszego widowiska teatralnego, które

zapewne dla olbrzymiej większości Polaków było wspólne, mianowicie do szopki z kolędnikami lub do jasełek, to trzeba się zgodzić, że istotnie wrażenia wzrokowe i ruchowe działają najmocniej na wyobraźnię dziecka. Ale uwagi jego nie uchodzą również elementy słuchowe, a tekst bynajmniej nie jest obojętny. Wyrazy, powiedzenia, dialogi jasełkowe zapadają na całe życie w duszę dziecka.

Gdyby tekst nie odgrywał w teatrze dla dzieci roli, wcale nieważna byłaby jego treść narodowa. Można by się wówczas ograniczyć do pantomimy śpiewno-muzycznej. Istnieje nawet pantomina często wystawiana przez Anglików „Puss in Boots". W teatrze wszelako tekst posiada znaczenie pierwszorzędne. Toteż trzeba przyznać słuszność tym, którzy wybór „baśni scenicznej" Hanny Januszewskiej pt. „Kot w butach" uważają za nienajszczęśliwszy. Owszem, piękne i sugestywne dekoracje, kostiumy, postacie, znakomite akcesoria (śpiewające koło młyńskie, mówiąca wierzba, powóz, kobyłka, oślica, bęben, strzelby itd.), dużo ruchu, śliczne, choć źle przez głośnik podane piosenki, w tym najbardziej urocze staropolskie, wszystko ładnie, a nawet doskonale. Ale tekst? Nie wydaje się, by p. Januszewskiej można zarzucić złą polszczyznę, jak to uczynił Zygmunt Nowakowski, lub brak poetyczności. Baśń jej jednakże jest zagmatwana, trudna, mało dramatyczna, chwytająca zbyt wiele srok za ogon, a tematycznie i frazeologicznie zupełnie obca dzieciom urodzonym na obczyźnie. Jan Sobieski znalazł się w tym wszystkim jak Piłat w Credo.

Organizatorzy twierdzą, że nie ma wielkiego wyboru sztuk dla dzieci. Zapewne. Ale dlaczego nie zaczęto od „Betlejem polskiego" Rydla, z jakimiś aktualnymi wstawkami, zwłaszcza że i pora roku pomysł ten dyktowała? Rzecz bądź co bądź uniwersalistyczna, i polska zarazem, i jasna, i przystępna, i dekoracyjna, i sugestywna, i wychowawcza, i dająca aktorom pole do popisu.

Z „Kota w butach" trudno było zrobić lepsze widowisko niż to uczyniła Kowalewska. Dekoracje Tadeusza Terleckiego znakomite, opracowanie muzyczne Jerzego Kropiwnickiego — kropiwnickie, a więc doskonałe, nagrania pieśni Mariana Nowakowskiego — nowakowskie. Kostiumy — nie napisano czyje, a szkoda, jakby powiedział Stanisław Baliński, bo byśmy zapamiętali. Może tylko husarz był słabo wypierzony. „Kot w butach", tj. Włada Majewska — zasłużył na kilka przymiotników oznaczających zachwyt i spisał się, mówiąc językiem sportowym, ofiarnie, umiejętnie łącząc śpiew z żywością ruchów.

Cała obsada aktorska pokazała się z najlepszej, dobrze nam znanej, strony. A więc Butscherowa pokazała czarujący uśmiech, Sobieniewska niewinną twarzyczkę, Bzowski sarmacką twarz z otwartymi ustami, Ratschka świetną mimikę, Prus-Olszowski przyklejony nos, Konarski szelmowskie spojrzenie, rajtarzy siłę, Reńska temperament, Oleńska artystyczną pyskatość, Laskowski dobry głos, Ławiński adwokacką powierzchowność, Chudzyński konkursowe nogi, a Dygatówna piękny dekolt. Najbardziej urocze okazały się jednak dzieci. W matkę (Reńską) wdała się wyraźnie Ewa Zagórska, natomiast talenty Tereski Laskowskiej, Krysi Mielżyńskiej, Marka Świderskiego, a zwłaszcza Niki Johnsona (Przekory), być może przyszłego Giełguda, okazały się samorodne. Rzecz oczywista, że dzieci mogły się spisać tak dobrze tylko dzięki oparciu o aktorów.

W sumie przedstawienie się udało i eksperyment teatru dla dzieci się powiódł. Ale ważne było również to, co ten teatr dał życiu. Niechby nasi rodacy w Kraju zobaczyli ten obraz: ze wszystkich dzielnic Londynu i z prowincji ciągną na Kensington polscy rodzice z dziećmi od lat trzech do szesnastu. Między sobą dzieci mówią niemal wyłącznie po angielsku, ale z rodzicami na ogół po polsku. Na widowni powstaje jednak z chwilą podniesienia kurtyny jakaś wspólnota o barwach polskich. Ze sceny płynie słowo i pieśń polska. Dzieci czują i rozumieją, że są cząstką tej wspólnoty, że ich językiem i ich dziedzictwem jest polszczyzna. Reagują w każdym razie po polsku. Takie jedno przedstawienie daje więcej niż nudne napomnienia rodziców, żeby nie zapominać macierzystego języka. Z teatru wychodzą dumni i pokrzepieni na duchu rodzice oraz dzieci, którym pokazano, że i polski świat jest piękny. Udał się nam ten teatr.

J. B

ROZCZAROWANIE

Tradycyjne i coroczne żniwo najsławniejszych nagród literackich Francji, przyznawanych prawie równocześnie: nagrody Goncourt, **Femina i Renaudot** wywołało w pierwszym rzędzie powszechne osłupienie, potem zaś szerokie głosy protestu. Rok 1958 zostanie w annałach literackich dziwacznym nieporozumieniem, kryzysem krytyki francuskiej w ogóle. Od paru lat zauważono już tendencję nagradzania autorów pod hasłem rekompensaty za zapoznanie ich dzieł istotnie wartościowych, które przeszły prawie nie zauważone, i nadawania nagrody z opóźnieniem rocznym lub niekiedy paroletnim za utwory ostatnie, prawie z reguły słabsze. W ten sposób zamiast omawiania wyróżnionego dzieła przetrząsa się wcześniejszy dorobek twórczy, usprawiedliwiający dokonanie wyboru. Najlepszym tego przykładem jest twórczość bardzo wybitnej pisarki Françoise Mallet-Jorris. Nagroda Femina uwieńczyła ostatnią jej książkę pt. „Empire céleste", piątą z kolei powieść bardzo młodej autorki. Nazywa się ją powszechnie „nowym Balzakiem". I słusznie. Chociaż ostatnia powieść nie dorównywa poprzednim („Le rempart des béguines", „Chambre rouge", „Les mensonges"), krytyka podkreśla zgodnie niezwykle wysoką klasę pisarską pani Mallet: realizm w rysowaniu postaci, środowisk, sytuacji, wyrażony stylem bogatym i zwięzłym, równocześnie o długim epickim oddechu. Jest to prawie zawsze obraz burżuazji belgijskiej, widziany zarówno od wewnątrz jak i od zewnątrz i umiar w dozowaniu tych punktów patrzenia, doskonały mechanizm psychologiczny są najmocniejszymi zaletami Mallet. Żałować trzeba, że nagroda Femina spotkała tę właśnie powieść, która jest najmniej balzakowska i najsłabsza. „Empire céleste" to historia młodego człowieka, świadomego swej przeciętności, której stara się przeciwstawić własną, ale zmyśloną osobowość wyrażoną w swym pamiętniku. Ale z nagród ostatnich — ta jeszcze jest najłatwiejsza do umotywowania. Prawdziwa burza rozpętała się zaś wokół nagrody Goncourt. Jest nią książka dyplomaty belgijskiego François Walder pt. „Saint Germain ou la Negotation", rzecz osobliwa, nie mieszcząca się w żadnym rodzaju literackim, a najdalsza od powieści. Historia negocjacji toczących się w roku 1570 pomiędzy katolikami a hugonotami w sprawie oddania tym ostatnim czterech miast francuskich: La Rochelle, Montauban, La Charité i Cognac odtwarza wiernie obraz ówczesnych sporów religijnych i stanowi dla badaczy przedmiotu i historyków doskonałą dokumentację, natomiast literacko jest to poroniony utwór teatralny, który byłby zapewne pierwszorzędnym materiałem dla sztuki Montherlanta, lecz pod piórem Waldera stał się zaledwie esejem, napisanym zresztą z dużą kulturą. Jest paradoksem, a dla samego autora prawie żenującą niespodzianką, wyniesienie tego utworu do rangi „najlepszej książki roku", do czego ani nie miał pretensji ani ambicji.

Trzecia ze znanych nagród, Renaudot, jest zaś skandalem w najgorszym tego słowa znaczeniu. Powieść „La Lézarde" Edouarda Glissant, opisująca niezrozumiałe i nieprawdopodobne zdarzenia wśród mieszkańców Antylli, nie tylko nie odznacza się żadnymi walorami ani treści ani formy, ale jest wprost nieczytelna, irytująca pretensjonalnością i sztucznością zarówno języka, jak i postawienia problemu. Nie doczytałam jej do końca i z ulgą dowiedziałam się z prasy, że poważny krytyk Robert Kemp zastanawiał się, czy członkowie jury nie byli ofiarą zbiorowego obłędu wyróżniając ten właśnie utwór.

Refleksje smutne. Nagrody dezorientujące przeciętnego czytelnika, oficjalna krytyka w ostrej polemice z członkami jury każdej z wymienionych nagród, wybredny czytelnik zawiedziony w swych nadziejach i zaufaniu do tak zwanych „czynników miarodajnych" — oto rezultat wielkiego sezonu literackiego Francji. Kiedy lat temu parę, pisałam na łamach ŻYCIA o wielkim wydawcy paryskim Bernardzie Grasset, walczącym zaciekle z „fabrykantami książek", nie przypuszczałam, że jego pesymistyczne podejście do literatury jako do „nałogu" sprawdzi się aż tak dokładnie. Oczywiście, nie jest to żaden prognostyk ani wyrok na literaturę obecną, której najlepsze nieraz owoce bywają nie zauważone. Jest to tylko chwilowa i przemijająca nieprzyjemność, ale nieprzyjemność bardzo wielka.

J. W. K.

J. R. LAMBOR

Burns dla Szkotów

Dziesięć milionów Szkotów na tej wyspie i dwadzieścia pięć milionów szkockich emigrantów rozrzuconych po całym świecie związało się w ponad pięć tysięcy klubów Burnsa. Kluby te przez 364 dni w roku nie funkcjonują i nagle, na jedną noc w roku, jak kwiat paproci wytryskają. Zbierają się wtedy ich członkowie, jedzą hagis, ongiś codzienną strawę najuboższych Szkotów, piją whisky, i wreszcie czczą pamięć poety co najmniej trzema mowami w czasie każdej uczty. Dziewięćdziesiąt procent zebranych nie potrafiłoby prawdopodobnie zarecytować więcej niż jednej, dwu zwrotek z utworów Burnsa, bo ogólnie biorąc rozmiłowani w nim Szkoci niewiele wiedzą o jego pracy literackiej i często podchodzą do niej jak analfabeci. Mają jednak zadziwiająco dokładne wiadomości o jego licznych przygodach miłosnych, wymienią bez trudu nazwiska bohaterek tych przygód, choć jest to rejestr niekrótki. Dunoon, miasto, w którym mieszkam, stolica zachodniej Szkocji, może się pochwalić tylko jednym pomnikiem: jest nim pomnik Marii z Argyll, stąd właśnie pochodzącej przyjaciółki Burnsa.

Skąd w tym purytańskim narodzie tyle uznania i miłości dla Burnsa mimo wszystkich jego grzechów? I dlaczego Szkoci tak wielbią go nadal, chociaż już okrągłe dwa wieki upłynęły od dnia jego urodzin?

Szkot ma głębokie przywiązanie do rodzinnej ziemi. Dwadzieścia pięć milionów Szkotów musiało z sobą wywieźć na emigrację coś, co by im po latach Szkocję przypominało. Wiersze i piosenki wywieźć najłatwiej, a wiersze i piosenki w dialekcie — najmocniej są z własną ziemią związane. Anglik może śpiewać „Old lang syne", ale tylko Szkoci będą się tym chwalić. Bo te piosenki są częścią składową życia Szkota, częścią każdego szkockiego zebrania, każdej pohulanki, zabawy; śpiewają je matki dzieciom nad kołyską. W tych to piosenkach zaczęła się i trwa wielka popularność Burnsa. Nasłuchał się ludowych śpiewów od dzieciństwa i upodobawszy je sobie zaczął potem na swój sposób przerabiać; powstawały wiersze, piosenki, wszystkie w dialekcie, wszystkie dla każdego Szkota jak rodzone. Szkoci powtarzają je i śpiewają, nie wiedząc często gęsto, że to w nich przede wszystkim mają podziwiać talent Burnsa. Jak nasze „Czerwone jabłuszko", czy „Umarł Maciek, umarł", z którymi urodziliśmy się i nikt nie pyta o autora. Dlatego twierdzę, że Szkot chwalący się Burnsem zna go jednak lepiej niż mu się zdaje i to nie tylko z niezbyt cenzuralnych historyjek o jego pijackich i miłosnych uciechach.

Z drugiej znów strony Szkot chętnie widział w Burnsie sprzymierzeńca, kiedy mu pijaństwo i inne grzechy główne z kalwińską surowością wymawiano. A nie tak to łatwo grzeszyć po kryjomu w szkockiej prowincji, gdzie nawet Glasgow składa się z małych skłóconych z sobą skupisk. Więc tak się bronił: „Te moje grzechy tak strasznie w waszych oczach wyglądają, bo będąc człowiekiem prostym, nie potrafię za nimi przemawiać. Ale te same grzechy w Burnsa piosenkach stają się zwykłą ludzką słabością".

Tak to i było. Więc Szkot, broniący swego prawa do ulegania ludzkim słabościom, buntuje się często razem z Burnsem przeciw twardym kalwińskim osądom, przeciw kalwińskiej hipokryzji, dławiącej oddech Szkocji przez wieki. „Sądy były zbudowane dla tchórzy, kościoły, aby zadowolić księży" — pisze Burns. Reformacja, która miała wybawić ludzi spod rygoru Kościoła katolickiego, skończyła się w Szkocji zupełną moralną tyranią. Wiersz „Holy Willy" jest najsilniejszym atakiem na tę tyranię. Burns Szkocji spod tej tyranii nie wybawił, ale żył akurat w takim czasie, w którym automatycznie stał się palcem wskazującym na tę walkę wyzwoleńczą. Swoim życiem — nie chciałbym go nazwać rozpustnym — nieraz przebrał miarę, ale też pamiętajmy na przykład, że demokracja rozpoczęła się w krwawej łaźni rewolucji francuskiej.

Biedny rolnik, gnębiony przez niedostatek, sam niedoszły emigrant, uciekinier z nieurodzajnej Szkocji, potępiany przez Kościół — musiał znaleźć sympatię współziomków, którzy mieli tak samo twarde życie, te same codzienne troski, i tak jak on szukali od nich ucieczki.

Burns — tak jak nikt — znał Szkotów z ich codziennego życia i ten typ życia szkockiego utrwalił w swoich wierszach i piosenkach, tworzonych w dialekcie. Piosenki te, nierzadko rubaszne, ale zawsze pełne poezji, budziły w Szkotach przywiązanie do ojczystej ziemi i w nich właśnie trzeba szukać stopnia odpowiedzialności Burnsa za wzmocnienie nacjonalizmu w Szkocji. Nacjonalizm ten, rozpalony przez Wallace'a i Bruce'a, dochodził wówczas do końca swojej epoki. Powstania Stuartów skończyły się klęską, w południowej Szkocji system klanowy otrzymał potężny cios przez upadek powstania, przez masową emigrację i przez rozwój handlu i przemysłu w Szkocji z inicjatywy angielskiej. Północna Szkocja zamknęła się w sobie i nosa po dziś dzień nie wystawiła na szeroki świat, nawet w celach wojennych czy rabunkowych. Oświata z rąk angielskich również miała okazać się wrogiem nacjonalizmu. Już za parę lat Scott w czystym języku angielskim miał zakończyć ten okres wspaniałym requiem swych historycznych powieści. Burns — ubogi poeta piosenkarz — zatrzymał niechcąco ten upadek nacjonalizmu, przekształcając go tylko po swojemu. W swojej poezji nie lubił wychodzić poza Szkocję, toteż w pamięci Szkotów pozostaje zawsze chłopakiem z Kyle pijącym i śpiewającym w miejscowych karczmach, uprawiającym szkocką rolę, z marnymi zresztą rezultatami...

„Tak to jest u nas" — śpiewał — „tak to się żyje w Szkocji, taka jest w Szkocji mowa, taki obyczaj, czy jest taki gdziekolwiek indziej?"

Miały te piosenki niemałą widać w sobie siłę, jeśli się stały tak cennym paliwem dla zagrożonego nacjonalizmu szkockiego. Ale nacjonalizm z poezji Burnsa płynący — nie miał nic w sobie wybuchowego. Był to raczej spokojny, można powiedzieć, sympatyczny i lekko melancholijny nacjonalizm, może dlatego, że był podświadomy. Gdyby nie owoce, które wyhodował, nie byłby pewnie nigdy nacjonalizmem nazwany. Nie zdawał sobie Burns sprawy pisząc — dajmy na to — „Tam o'Shanter", że jego wiedźmy, licha i diabły rozlecą się po świecie z paszportem szkockim, czy że ludzie jedzący niesmaczny hagis, będą mieli od razu Szkocję przed oczami, efekt ojczyźniany, którego ani szampan, ani parmezan, ani nawet makaron nie potrafi wywołać tak silnie.

Burns śpiewał u kolebki romantyzmu. Można rzec, że jego poezja ma tę samą co romantyzm datę urodzin. Był tym, który nie uznawał granic, łamał je z pasją, kochał życie i szukał go wszędzie, nie gardząc żadnym jego objawem.

Jeżeliby porównać Burnsa z innymi poetami, trzeba by wrócić do wcześniejszych poetów szkockich, jak Ramsey, Furgusson. Patrząc na Byrona, Wordswortha, Lamartina czy Mickiewicza porównywać jest trudno, mimo Mickiewiczowskich ballad i romansów. Trzeba jednak zaznaczyć, że sięgał — na innym co prawda poziomie — na pola i obszary, na które reszta romantyków do spółki sięgała. Nie wzlatywał tak blisko nieba jak Shelley, nie wybuchał taką grozą jak Byron, a jednak był za pan brat ze skowronkami, a jego rewolucyjne poglądy i sympatie wygoniły go z salonów do knajp hrabstwa Dumfries.

Powiedzmy, że to co Byron znalazł w Grecji, Shelley we Włoszech, Mickiewicz w Polsce, a inni na wschodzie, zachodzie, na ziemi i w zaświatach, Burns odkrył to wszystko w zakamarkowej biednej Szkocji. Strasznie tym tę dziurę wzbogacił.

J. R. Lambor

ANNA TOKARSKA

PAX ROMANA ROŚNIE

Eichstätt nie znajduje się wprawdzie „pod Monachium", jak to nas zapewniały zaproszenia Pax Romana na dwa zjazdy międzynarodowe. Pomimo wszystko ma pewien związek z bawarską stolicą, bo mieści się jeszcze w obrębie Bawarii; powiedzmy, że niemal na „kresach" Górnej Bawarii.

Nie wiem, czym kierowały się władze Ruchu, że właśnie w tym miasteczku naznaczyły spotkanie przedstawicielom organizacji studenckich z tylu krajów. Jeśli jednak chciały skłonić uczestników do zadumy i refleksji nad odwiecznością faktu międzynarodowej współpracy katolików bez względu na minione konflikty i aktualne a wielorako uzasadnione różnice; nad „geograficzną" tej współpracy uniwersalnością; nad wszechstronnością metod apostolatu: to trzeba powiedzieć, że miejsce było dobrane idealnie.

Bo bawarski, niemiecki Eichstätt przywołuje na pamięć i Wschód i Zachód chrześcijański, Rzym i Konstantynopol, Jerozolimę i Monte Cassino, York i Akwizgran, Irlandię i Wessex. Wszystko to powiązało się tu z sobą już przed 12 wiekami...

Eichstätt to jeden z punktów działania św. Bonifacego. A ten Apostoł Niemiec, troskający się też o nawrócenie Słowian, był — żeby użyć dzisiejszego terminu — Anglikiem. W roku 741 utworzył tu pierwsze benedyktyńskie opactwo i lokalne biskupstwo, w cztery lata później przemienione na diecezjalne. Opatem i biskupem w jednej osobie uczynił swego kuzyna, św. Willibalda z Wessex, który powołał do pomocy swego brata św. Wunibalda i swoją siostrę św. Walburgę. Według lokalnych tradycji, to niezwykłe rodzeństwo miało być pochodzenia królewskiego. (Jest to zupełnie możliwe, zwłaszcza jeśli sobie przypomnimy, że w ówczesnej Anglii rzadko kto nie był królem.) Ale choć nie wiadomo, czy ojciec Willibalda, Wunibalda i Walburgi był królem, pewne jest to, że był Świętym. To św. Robert, który zmarł we Włoszech, w mieście Lucca, kiedy wracał z pielgrzymki do Rzymu, dokąd się wybrał ze swymi synami. Obaj byli benedyktyńskimi mnichami, a jeden z nich, właśnie św. Willibald, pierwszy biskup i patron Eichstättu, wybrał się z Rzymu na pięcioletnią podróż-pielgrzymkę na Wschód: Jerozolima, Syria, Bizancjum.

Zarówno obaj bracia, jak ich siostra, byli ludźmi znakomicie wykształconymi. W Anglii wtedy — jeszcze przed okresem wewnętrznych zaburzeń — kwitły zakonne i katedralne ogniska wiedzy, zwłaszcza York, który sam stanął kiedyś na współpracy nauczycieli irlandzkich i kontynentalnych, lecz w zamian też wysyłał nauczycieli na kontynent, np. współcześnie właśnie Alkuina, głównego organizatora szkół, bibliotek i oświaty w państwie Karola Wielkiego i głównego współtwórcę tzw. karolińskiego renesansu. Ten renesans wprawdzie wkrótce zostanie zalany falą nową barbarii na Zachodzie, ale owoce jego już nie przepadną: będą do nich nawiązywały następne wieki i jako natchnienie stanowić on będzie współczynnik wielkiego wzlotu XII i XIII wieku.

W czasie swego pięcioletniego pobytu na Wschodzie św. Willibald przyjrzał się dokładnie wysokiemu napięciu życia umysłowego na terenach Bizancjum i znacznie wyższej kulturze, panującej tutaj niż na prymitywnym Zachodzie. Toteż kiedy drogą na Rzym i Monte Cassino przybył do Niemiec i otrzymał sakrę jako pierwszy biskup Eichstättu, równolegle obok akcji religijnej i zorganizowania męskiego i żeńskiego opactwa benedyktyńskiego przy pomocy brata i siostry, prowadził pracę intelektualną. Ufundował znakomitą szkołę przy katedrze i stanął na jej czele jako „magister".

*

Ten wstęp „historyczny" i skok w dalekie czasy jest z mej strony pewnego rodzaju wybiegiem, którym chcę pokryć zażenowanie, że dopiero teraz, po kilku miesiącach, przystępuję do opisania dwu imprez zorganizowanych w Eichstätt przez Pax Romana. Odbyły się one bowiem pod koniec ubiegłego lata. Różne przeszkody sprawiły, że dopiero teraz mogę dopełnić swego zobowiązania. Dlatego wolałam zacząć najpierw od spraw, które się w tym mieście działy przed tysiąc dwustu laty. Na takim bowiem tle sprawy sprzed kilku miesięcy będą miały wygląd rzeczy, które się dopiero zdarzą w przyszłości, a więc które nie tylko że nie są spóźnione, ale nawet nie zaczęły jeszcze być aktualne...

Po ostatniej wojnie z każdym rokiem poszerza się zasięg akcji Pax Romana. Nowym tego przejawem w zeszłym roku była obecność delegacji z Indonezji i Polski, oraz zjazd Federacyj Uchodźczych — pierwszy tego rodzaju.

Zjazd ten obradował w dniach 23 do 25 sierpnia 1958 i miał dwa cele na oku. Po pierwsze, utworzyć komisję zjednoczenia wszystkich federacji uchodźczych znajdujących się w najrozmaitszych krajach osiedlenia a należących do Pax Romana. (Był to wniosek jednej z federacji w USA.) A po drugie, inkorporowanie dwuosobowej delegacji tej komisji do zarządu studenckiej gałęzi Pax Romana MIEC*). Myśl ta otrzymała poparcie Międzyfederalnego Zjazdu MIEC i projekt został przyjęty i uchwalony, co samo w sobie jest pewnego rodzaju osiągnięciem.

Nasuwa się jednak następujące zastrzeżenie: oto w dyskusjach nie uwzględniono podstawowej przecież sprawy — czy taka komisja federacji ma istotne uzasadnienie. Rozmowa na ten temat przyczyniłaby się do wyjaśnienia wielu spraw i rzecz cała mniej by wyglądała na forsowanie zasady „sztuki dla sztuki" — w danym wypadku: organizowania się dla organizowania. Dyskutowano głównie sam projekt inkorporacji tej nowonarodzonej pan-wygnańczej Federacji Federacyj, omawiano trudności poszczególnych zrzeszeń studenckich na uchodźstwie — ale niemal wyłącznie chodziło o trudności techniczno-organizacyjne i finansowe. Mr. Edward Kirchner, Amerykanin, ale o psychice, żywości, temperamencie i entuzjazmie Sycylijczyka, naczelny organizator i opiekun Federacji wygnańczej, usiłował wielokroć sugerować, aby studenckie zrzeszenia na emigracji jak najwięcej uwagi poświęcały zagadnieniu łączności ze swoimi krajami pochodzenia. Tymczasem dyskutanci tych spraw w ogóle nie podjęli, co należy uznać za jedno z głównych uchybień zjazdu. Mogło się nasunąć wrażenie, nie najweselsze przecież, że poszczególne zszeszenia albo w ogóle nad tym zagadnieniem się nie zastanawiają, albo że nie mają go dostatecznie przemyślanego, przeto wolą się usuwać od rozmów na ten temat i tkwią biernie w swoim status quo. Jedynie Węgrzy demonstrowali dość zwarte stanowisko, wydawali się wiedzieć czego chcą i najbardziej zaznaczyli się w tych obradach. Może dlatego, że są to uchodźcy najświeższej daty, przez co cechuje ich jeszcze wigor, a co najmniej świadomie „konstruowana" inicjatywa. A ponadto — stanowili najliczniejszą delegację.

Zważywszy jednak najrozmaitsze za i przeciw, wydaje się, że sam pomysł takiej Federacji federacyj uchodźczych, jak też jej stałe przedstawicielstwo przy zarządzie studenckiej gałęzi Pax Romana są dobrą rzeczą. Toż ci przedstawiciele krajów zza kurtyny posiadają i pewne q u o d i pewne q u o zupełnie specjalne. To znaczy — mają, a przynajmniej mieć powinni, zarówno własną problematykę, jak też własny kąt jej widzenia, przez co mogą stanowić pożyteczne dopełnienie, czy pożyteczny akcent w całości Ruchu. Lecz jakoś tak się stało, że ten pierwszy zjazd „młodoemigranckich" delegatów toczył się dość ociężale i niemrawo.

Przynajmniej na sali obrad. Ale z tego nie wynika, że również współżycie między delegatami i eskapady „na zewnątrz" obciążone były tym samym ołowiem. Wręcz przeciwnie. — Żeby użyć oksfordzkiego zwrotu — delegaci obojga płci nieraz jakby wyraźnie chcieli dowieść, że nie znajdują się tu „in statu pupillari". Warto podkreślić — a osobiście uważam to za radosne miłosierdzie — spotkania nie były naładowane bolesciwą nostalgią i cierpiętnictwem, co czasem cechuje imprezy urządzane przez „starych" emigrantów.

*

Bezpośrednio po imprezie uchodźczej, w dniach od 26 — 30 sierpnia odbył się w tym samym miejscu międzyfederalny zjazd MIEC o przeobfitym programie zarówno ideologicznym jak też organizacyjnym — doprawdy znakomite przygotowanie do XXIV światowego kongresu Pax Romana.

Brało udział około 150 delegatów i delegatek z całego niemal świata. Liczba naprawdę „w sam raz". Bo było w miarę tłoczno, „pełno", dostatecznie „wszechświatowo", żeby uczestnicy czuli i własną „ważność" i znaczenie spotkania, jakby uskrzydlającego egzotyką — w najlepszym i najbardziej pozytywnym sensie tego słowa. Była to bowiem egzotyka widzialnej, namacalnej uniwersalności ruchu; każda delegacja mogła stanowić ilustrację do jakiejś wielkiej księgi o jedności ludzkiego rodzaju we wszystkich najrozmaitszych rasach i narodach, narodach od najstarszych po najmłodsze, które rodzą się na naszych o-

czach, co świadczy, jak ten nasz glob bogaci się o coraz nowe elementy, a równocześnie pomniejsza się; jak różniczkując się, coraz bardziej się o siebie zazębia i pomimo rodzących się konfliktów steruje — chcąc nie chcąc — ku jakiejś formie jedności.

Jedność w różnorodności. Tak. Ale co ma być zasadą tej jedności? Przecież nie kultura lub cywilizacja: bo naocznie można tu było sobie uprzytomnić, że nasza kultura, którą przez wieki Zachód chciał traktować jako kulturę po prostu, jako cel dla ludzkości sam w sobie, jako kulturę jedyną: jest tylko jedną kulturą obok wielu innych. Musi więc być zasadą jedności coś, co wszystkie kultury przerasta a równocześnie twórczo przenika; coś co jest od wszystkich możliwych kultur rozleglejsze, ale co im pozwala na najpełniejsze wyrażenie swych prawdziwych wartości; coś co nie znosząc, nie likwidując uzasadnionych różnic, jednoczy w wyższej syntezie.

Jako katolicy wierzymy, że tą jedyną najpełniejszą a zarazem najliberalniejszą zasadą jedności jest Kościół i pełnia chrześcijaństwa katolickiego. Z tych właśnie zasad wychodzi ruch Pax Romana świadomie przyjmujący całe bogactwo kultur ludzkości i przeto nie narzucający — podobnie jak nie czyni tego sam Kościół — żadnej jakiejś wyłącznej formy apostolatu. Ale — jak to było powiedziane w czasie inauguracyjnego przemówienia na kongresie w Wiedniu — „dopuszcza wszelkie tendencje, wszystkie środki działania katolików w świecie uniwersyteckim pod warunkiem, że są szczere, wartościowe, zaprawione ogniem Boskiej miłości. Ta różnorodność nie tylko że nie jest przeszkodą, ale stanowi o bogactwie. Jest wezwaniem do jedności w świadomości wspólnego dobra i wierności Kościołowi".

Przez rozmowy i kontakty osobiste, może bardziej jeszcze niż przez spotkania grupowe i — bardzo zresztą ciekawe i owocne — obrady, można się było mnóstwo nauczyć i dowiedzieć. Ciekawą rzeczą np. było usłyszeć od delegata hinduskiego, że po gwałtownym wybuchu nienawiści religijnych pomiędzy ludnością muzułmańską a hinduską w latach czterdziestych, obecnie ogarnęła Indie całkowita religijna apatia. Dotyczy to nie tylko starych religii tego kraju, ale również tamtejszych chrześcijan i także katolików, zwłaszcza spośród młodego pokolenia. To młode pokolenie bowiem nastawiło się przede wszystkim pragmatycznie, na rzeczy bezpośrednio uchwytne w dziedzinie społeczno-gospodarczej i politycznej.

Z drugiej znów strony, usłyszałem od reprezentacji Sudanu i Południowej Afryki, że inność katolicyzmu, tak oczywista, nie przeszkadza, iż nawróceni przywierają do religii całym sercem. Ale rodzima inteligencja afrykańska wysuwa postulat, aby europejski kapłan misjonarz, wysyłany do Afryki, miał pełne uniwersyteckie wykształcenie, i żeby rozumiał problematykę zupełnie nowej rzeczywistości tego kontynentu, tak przecież niepodobną do tego, co misjonarz mógł — jako kleryk — czytywać w zacnych misyjnych pisemkach w Europie. Inaczej może mimo woli stać się przyczyną wielu szkód, których skutki mogą być nieobliczalne dla katolickiej przyszłości afrykańskich krajów.

Delegaci azjatyckich Filipin i Afryki podkreślali też konieczność ściślejszego kontaktu z Pax Romana. Była o tym mowa zarówno w rozmowach indywidualnych, jak też w czasie dyskusji w grupach. Widać było, że delegaci tych dwu kontynentów łączą wielkie nadzieje z działalnością Ruchu. Domagali się też, aby młodzi katolicy, upatrzeni na przyszłych leaderów, mogli odbyć przeszkolenie w centrali Pax Romana, zarówno ideologiczne, jak administracyjno-organizacyjne. Należy powiedzieć, że energia, inicjatywa i przebojowość tych delegatów były zadziwiające. Zarówno w rozmowach, jak i obradach budzili podziw i szacunek dla jasnego i konkretnego widzenia tego, czego chcą, dla swej praktyczności i dla powagi, z jaką brali udział w całym zjeździe. Z tego zjazdu można wyprowadzić wniosek, że w najbliższej przyszłości Pax Romana skieruje znaczną część swych wysiłków na kraje azjatyckie i afrykańskie.

Jak wiadomo, po raz pierwszy po wojnie wzięła w tym zjeździe udział delegacja z Polski, której przewodził wielce obrotny (w słowie i tańcach) Stefan Wilkanowicz, sekretarz „Znaku". Ta delegacja szybko zwróciła na siebie uwagę. „Krajowcy" występowali bardzo wyraźnie jako zespół i całkiem świadomie, przy każdej nadarzającej się sposobności, usiłowali wywrzeć odpowiednie wrażenie na uczestnikach zjazdu, aby rozproszyć romantyczny i ponadheroiczny obłok, jakoby przybywali ze stratowanego, jęczącego kraju. Owszem, mają ważne i poważne problemy, ale chcą je umieszczać na płaszczyźnie — żeby tak powiedzieć — ludzkiej, a nie apokaliptycznej.

Tadeusz Mazowiecki, redaktor „Więzi", na komisji europejskiej zjazdu wygłosił w języku niemieckim dość obszerny a dobrze ujęty komunikat (przełożony potem przeze mnie na angielski i dołączony do materiałów zjazdowych; służyłam bowiem delegacji krajowej za „tłumaczkę", przekładając ich wypowiedzi na angielski a angielskie komunikaty tłumacząc im na polski). Dał on informację o życiu akademickim w Polsce, i cyfry o ilości szkół wyższych i studentów, oświetlone dla porównania liczbami sprzed wojny. Mówił o zmianie atmosfery na uniwersytetach, o prawie zupełnej wolności badania naukowego, o znacznie zwiększonych możliwościach druku prac naukowych, jak też i o tym, że chociaż i dziś ten czy ów wykładowca musi w jakiejś sprawie milczeć, to jednak nikt nie musi kłamać; a przymus milczenia — dodał — zdarza się i gdzie indziej na szerokim świecie.

Zwróciwszy uwagę na zmiany, jakie w Polsce zaszły, autor powiedział tak: „Kiedy mówimy o dalszym demokratycznym rozwoju, nie mamy na myśli negacji naszego ustroju społecznego i gospodarczego, lecz dalszą ludzką personalistyczną ewolucję". I podał jako charakterystyczny przykład świeżo wówczas ogłoszoną statystykę warszawskiego instytutu socjologicznego, przeprowadzoną wśród studentów, z której wynika, że większość, i to znaczna, studentów polskich jest ludźmi wierzącymi. Równocześnie jednak większość studentów wypowiada się za ustrojem socjalistycznym, co jest rzeczą znamienną.

Nie da się też podzielić młodzieży w Polsce tylko na marksistowską i katolicką. Wśród części młodzieży panuje bowiem tendencja do odrzucania wszelkiego wiążącego światopoglądu. Jest to m. in. skutek awersji za atmosferę zakłamania złączoną z forsowaniem światopoglądu w okresie stalinowskim. W rezultacie powstała niechęć nie tylko przeciw poglądom skompromitowanym, ale przeciw wszelkim poglądom w ogóle, które usiłują dać systematyczne i całościowe wytłumaczenie rzeczywistości, a przeto odwołują się do pewnych konieczności i wartości pozaosobistych. Tak więc sceptycyzm i nawet cynizm, nie mówiąc już o przejawach nihilizmu, to także jeden z wielkich problemów w stosunkach polskich.

Większość młodzieży jest jednak po prostu młodzieżą. To znaczy ożywiają ją ideały i wysokie hierarchie wartości. Jednak jeśli chodzi o katolicyzm, to dwa główne względy mogą sprawić, że będzie przemawiał do wartościowych młodych ludzi, którzy z różnych powodów znaleźli się z dala od niego: jeśli postawa katolików będzie wolna od wszelkich form fanatyzmu, otwarta na rzeczywistą problematykę dzisiejszości, uznająca każde dobro bez względu na to od kogo ono idzie, wydająca prawdzie wyznawanej świadectwo poparte życiem i przykładem. To raz. A po drugie: katolicyzm polski musi wyrwać się ze swej tradycyjnie sentymentalnej i tradycjonalistycznej postawy, musi wreszcie zacząć wypracowywać intelektualną podbudowę. Nie można realnych zagadnień załatwiać banałem, „pobożnym" frazesem, manifestacją. Polscy katolicy w kraju życzyliby sobie, żeby zagranicą nie traktowano ich sytuacji z punktu widzenia sensacjonalnego, służącego często celom wyłącznie politycznym i siejącego tylko zamęt. Pragną głębszego zrozumienia sytuacji katolicyzmu w Polsce, tego co jest n o v u m na polskim terenie, bez upraszczania sprawy i załatwiania jej hasłami zamiast racjonalną analizą.

Następnie Mazowiecki przedstawił szereg postulatów, w jaki sposób Pax Romana mogłaby z pożytkiem pomóc młodym katolikom w Polsce. Między innymi: zorganizowanie spotkania kilkunastu młodych polskich katolików w którymś z krajów europejskich z przedstawicielami krajów Europy, Dalekiego Wschodu, Afryki, Ameryki łacińskiej i USA; obozy młodych z różnych krajów w Polsce, etc. W ten sposób zacieśniłyby się nie tylko kontakty, nie tylko następowałoby wzajemne poznawanie się, bliższe rozumienie wachlarza problematyki życia katolickiego, ale i młodzi Polacy mogliby się przekonać naocznie, że życie poza Polską wcale nie układa się tak chwalebnie, łatwo i świetliście, jak im się to nieraz wydaje.

Różne sugestie Mazowieckiego spotkały się z wielkim aplauzem i zrozumieniem. Jest rzeczą interesującą stwierdzić, jak niezmiernie żywo zajmowali się nasi delegaci z Kraju przede wszystkim problemami krajów azjatyckich i afrykańskich. Odbywali bezustannie rozmowy z przedstawicielami tych krajów, usiłując się dowiedzieć od nich jak najwięcej szczegółów. A krótko mówiąc, de-

legaci z Kraju byli bardzo lubiani i dla swych walorów osobistych, dla przebojowości i energii. Poza tym rozprzestrzeniali ogromne mnóstwo słowiańskiej hałaśliwości w mniej uroczystych i formalnych chwilach zjazdu, i to w ilości, która nawet na hałaśliwym przecież kontynencie i w tak międzynarodowym otoczeniu była zaiste osłupiająca.

Jako postscriptum do tego punktu mogę dodać, że pod koniec zjazdu każdy uczestnik, żeby nie wiedzieć skąd pochodził i bez względu na koloryt swej skóry, znał osobiście co najmniej jednego „członka zespołu Mazowsze" — jak mówiono. A nie minęło nawet pół tygodnia, gdy wszystkie narodowości śpiewały polską piosenkę: „Szła dzieweczka do laseczka"...

Na tym i poprzednim zjeździe było dwoje przedstawicieli PKSU „Veritas": Andrzej Wroński i podpisana. Stosunek delegatów krajowych do nas, biednych emigrantów, był ironiczny. Ale nie będę o tych sprawach osobno wspominać, bo wszystko przybrało wielce miły i przyjacielski obrót, co nie przeszkadzało zażartym nieraz polemikom i wykłócankom także i na sali obrad. Ostatecznie my, emigranci, także mamy słowiańskie dusze. I języki.

*

XXIV Światowy Kongres Pax Romana w Wiedniu od 31. 8. — 6. 9. miał przebieg mniej zadowalający niż zjazd w niezapomnianym Eichstätt. Uczestników mnóstwo. A że równocześnie odbywało się w Wiedniu wiele innych międzynarodowych zjazdów, delegaci zostali rozrzuceni po różnych odległych punktach wielkiego miasta, daleko od sal posiedzeń. Również rozproszone były miejsca posiłków. Miało to ten skutek, że uczestnictwo na referatach ogólnych i po komisjach było utrudnione, a chwilami wręcz niemożliwe. Ucierpiało na tym życie religijne, udział wspólny we Mszy św., wspólna Komunia św. — przecież tak istotna treść spotkań, urządzanych przez Pax Romana. Jakże to inaczej było w Eichstätt! Tam rzeczywiście — jak się wyraził mój towarzysz A. Wroński — staliśmy na wysokości zadania „i w tańcu i w różańcu". — I w całym „pośrodku" między tymi dwoma ogniwami.

Temat wiedeńskiego kongresu brzmiał mniej więcej tak: „Prawda a podstawy wolności dzisiejszego uniwersytetu". Materiały do dyskusji zostały przygotowane dość starannie na podstawie wielu ankiet, rozesłanych do różnych środowisk i wybitnych intelektualistów katolickich. Z tych odpowiedzi dokonano dla poszczególnych zagadnień dość szczegółowych sumariuszy. Trzeba jednak powiedzieć, przynajmniej na podstawie tych dyskusji, w których udawało mi się brać udział, że „żywa" dyskusja nigdy nie osiągnęła nawet poziomu owych powielonych sumariuszy z sugestiami i punktami.

Ale nie chcę się już dłużej nad tymi sprawami rozwodzić. Także i dlatego, że jeszcze w tej chwili ogarnia mnie okropne zmęczenie na samo wspomnienie, jak się tam było zziajanym, zagonionym, zamęczonym, ginącym w nieznanym mieście i pozbawionym tchu od nadmiaru

(Dokończenie na str. 36)

NASZE SPRAWY

Żeby nie było wojny

Przypominam sobie w czasie wojny w obozie jeńców w Niemczech radość niektórych jeńców-Polaków z cierpień, jakie spadały na niemieckie miasta w wyniku niemieckich bombardowań.

— Dobrze im tak! Niech walą w nich jak najwięcej! Niech im giną ich żony, dzieci i matki, niech im się walą ich kościoły i muzea! Oni tak postępowali i postępują w Polsce, to niech teraz doznają tego samego.

Głosy te budziły we mnie głęboki niepokój. Nie należy się cieszyć z cierpień wroga, należy mu współczuć. Konieczność wojenna może zmuszać do zadawania nieprzyjacielowi cierpienia, ale nie można tego czynić z zadowoleniem, folgując uczuciom nienawiści i zemsty. Duch zemsty odbiera moralną czystość cierpieniom i prześladowaniom doznanym, odbiera także cechę sprawiedliwego wymiaru kary odwetowi. Spycha na poziom moralny nieprzyjaciela.

Poza niektórymi Chińczykami z Formozy oraz może niektórymi Węgrami, jesteśmy chyba jedyną społecznością w świecie, wśród której są tacy, co nowej wojny światowej pragną. Cała reszta świata wojny nie chce, wojny się boi i wojnę pragnie odwrócić.

Otóż wojny nie wolno pragnąć. Wojna, zwłaszcza nowoczesna, jest zbyt wielką potwornością, by można było bez wielkiego wypaczenia moralności widzieć w niej cel godny pożądania. Wojna jest nieszczęściem, którego trzeba się starać za wszelką cenę uniknąć. Gdy przyjdzie, trzeba ją znieść jako dopust Boży, trzeba sumiennie spełniać swoje obowiązki, trzeba bronić w niej sprawy swej ojczyzny i trzeba starać się ją wygrać. Ale cieszyć się z niej — nie wolno.

Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Kto pragnie, by klęski i nieszczęścia spadły na jego wrogów, może się jeszcze doczekać, że sprawiedliwość Boża zrzuci je na jego własną głowę. Bo miara winy moralnej niekoniecznie mierzy się miarą czynów materialnych. Grzech nienawiści, nie wyrażonej w praktycznym czynie (nie wyrażonej może z powodu słabości, lub braku okazji), jest być może czasem grzechem cięższym i bardziej zasługującym na karę od wielkich, zbrodniczych czynów, rzeczywiście popełnionych, ale popełnionych z niezupełną świadomością ich okropności.

Nie wyobrażajmy sobie, że nowa wojna światowa koniecznie musi wyjść nam na dobre. I że koniecznie musi nas oszczędzić. Skąd mamy pewność, że bomby atomowe nie będą rzucone na Polskę? Warszawa, Poznań, Białystok, Lwów, Toruń, Tczew, Bydgoszcz, Wrocław — to wielkie węzły kolejowe, których zniszczenie może być dla operacji wojennych ważniejsze, ze względu na bliskość frontu, od zniszczenia miast rosyjskich. A miasta górnośląskie oraz Kraków (łącznie z Nową Hutą) — to olbrzymie centrum przemysłowe. A Gdańsk, Gdynia i Szczecin, to niezmiernie ważne, na zachód wysunięte porty. Pamiętajmy, że Niemcy mają dziś wielki głos w obozie alianckim, a w wojnie na terenie europejskim ich głos może być wręcz decydującym. To oni być może będą pobierać decyzje, a już z całą pewnością to oni będą udzielać rad, które będą bardzo uważnie słuchane.

I skąd mamy pewność, że z nowej wojny, choćby z fizycznymi ranami, wyjdziemy zwycięsko politycznie? Jeżeli Niemcy, jak na to się zanosi, będą w tej wojnie uczestniczyć po stronie alianckiej jako główna aliancka siła na europejskim kontynencie, to oni zbiorą owoce alianckiego zwycięstwa. Przecież mamusie amerykańskie postarają się o to, by ich chłopcy wrócili po wojnie jak najprędzej do domu. A Niemcy w Europie zostaną. Jakie to będą owoce — nie trudno sobie wyobrazić. Jeśli wciąż będą wtedy u władzy w Niemczech „dobrzy Niemcy", to nam zapewne, w imię sprawiedliwości, w imię swojego sumienia i w imię swej dobrej opinii w świecie zostawią Gniezno, a może nawet i Poznań, ale obawiam się, że nawet najlepsi Niemcy nie zostawią nam linii kolejowej Bydgoszcz — Toruń — Olsztyn, nie mówiąc już o Gdańsku, a już tym bardziej nie mówiąc o Wrocławiu i Szczecinie. Co z nami zrobią „źli Niemcy", o ile w przewrotach wojennych dojdą w Niemczech znowu do głosu, wyliczać nie potrzebuję.

A jeśli Niemcy ostatecznie przerzucą się na stronę sowiecką, co nie jest szczególnie prawdopodobne, ale jest przecież możliwe? Nie zbiorą wtedy owoców zwycięstwa alianckiego, ale czy mamy pewność, że po takim pomnożeniu sił obozu przeciwnego zwycięstwo alianckie nastąpi? A również wyliczać nie potrzebuję, jakie byłyby dla nas konsekwencje wspólnego zwycięstwa Niemiec i Rosji nad resztą świata.

Rzecz prosta, nie twierdzę, że nowa wojna takie wyniki dać dla nas musi. Przebieg jej może być zupełnie inny i dla nas pomyślny.

Ja tylko zwracam uwagę, że wojna jest wielką niewiadomą i wielkim ryzykiem i pragnąć jej nie należy.

To jest jedna z przyczyn, dla których jesteśmy na ogół w świecie nie lubiani: zbyt wielu spośród nas pragnie nowej wojny i jesteśmy pod tym względem w świecie wyjątkiem. Świat nie chce tej wojny nie tylko przez wygodnictwo i tchórzostwo. Instynkt ogółu ludzkości powiada, że wojna jest potwornością, że dążenie do wojny jest zbrodnią i że pragnienie wojny jest pragnieniem niemoralnym. I instynkt ten jest zdrowy.

Nie tylko nie powinniśmy chcieć wojny, ale przeciwnie, powinniśmy się modlić, żarliwie się o to modlić, by jej nie było.

Ale w takim razie — powiedzą ludzie słabej wiary — co będzie z Polską, jeśli wojna jej nie wyzwoli?

Cóż to? Czy pomoc Boża nie może nas wyzwolić — bez wojny? Drogą powolnej, ale stałej ewolucji, lub jakąś inną drogą mniej krwawą i mniej katastroficzną?

Polonus

LISTY I UWAGI

JESZCZE RAZ PANU MALKIEWICZOWI

Przeciw moim „siedmiu działom ideałów emigracyjnych" wytoczył p. Andrzej Malkiewicz w liście do redakcji ŻYCIA (nr 2/563) taką ilość rozmaitego kalibru armat i moździerzy, a także miotaczy dymu, że dla zwalczenia ich wszystkich trzeba by zająć kilka stron i pozbawić Czytelników ŻYCIA pasjonującego materiału redakcyjnego. Mój Oponent wprowadził do dyskusji wiele nowych zagadnień polemizując m. in. z różnymi moimi poglądami ze starych felietonów. Ani na te kwestie ani na tak ważkie zagadnienie, co i dlaczego Bolesław Taborski mówił redakcjom komunistycznym w Polsce, odpowiadać nie mogę, bo to wszystko odbiega od głównego przedmiotu dyskusji.

Najchętniej ograniczyłbym się do stwierdzenia, że różnimy się w poglądach z P. Malkiewiczem i na tym spór zakończył. Postąpiłbym tak, gdybym miał pewność co do twierdzenia mojego Oponenta, że „w podstawowych zasadach niepodległości jesteśmy na ogół zgodni". Obawiam się jednak, że właśnie co do tych podstawowych zasad, które P. Malkiewicz porównuje do „ciężkiej artylerii... ideałów e m i g r a c y j n y c h, ziejącej świętym ogniem", nie jesteśmy zgodni. Dlatego też te ideały, tę ciężką artylerię, te działa uważam za istotę dyskusji. Zagadnienie polega na tym, czy da się pogodzić tytuł i rolę emigranta politycznego z wyjazdami do Kraju. Oczywiście, można te wyjazdy, jak chce P. M., traktować również jako sprawę indywidualną. Osoba ludzka ma przecież wolną wolę, zwłaszcza na emigracji, gdzie jej nie krępuje żadna sankcja społeczna. W sedno trafił P. M. pisząc o wyjazdach: „Zdaje się, że najgorsze w oczach p. J. B. jest to, że są to kontakty indywidualne". Oczywiście! Jakże sobie inaczej wyobrażał P. Malkiewicz jakąkolwiek rzeczywistość i działalność społeczno-polityczną? Że każdy sobie rzepkę skrobie? Że każdy na swój sposób zbawia ojczyznę, obmyśla prawa, zawiera sojusze, wypowiada wojny, planuje gospodarstwo narodowe, urządza państwo? Że emigracja p o l i t y c z n a to zbiorowisko rozdartych wewnętrznymi sprzecznościami i nie wiedzących czego się trzymać jednostek?

A jakże wyglądają te sprawy w wielbionych przez P. M. społeczeństwach anglosaskich, czy gdziekolwiek indziej na świecie? Czy każdy obywatel myśli i działa, nawet w ustrojach demokratycznych, na swój prywatny sposób? W pojęciu polityki mieści się działanie zbiorowe. Indywidualizm w tej dziedzinie można chyba traktować tylko jako żart. Np. w przedwojennej Warszawie co rok dnia 1 maja wychodził na ulice jakiś indywidualny „socjalista" (nazwisko umknęło mi z pamięci) defilując ze sztandarem własnej partii, której był założycielem, prezesem i jedynym członkiem.

Ładnie by sprawa polska wyglądała, gdybyśmy ją zdali na flukta myśli, teoryj i rozwiązań indywiduów „wolnych nie tylko od zewnętrznych przymusów, ale także i od wewnętrznych uprzedzeń, ignorancji i politycznych uproszczeń", jak radzi P. Malkiewicz. To już nawet nie anarchia, ale jakiś nihilizm, nudyzm polityczny. Powrót do liberum veto, do zasady „szlachcic na zagrodzie". Wyszydzanie „uznanych autorytetów emigracyjnych" prowadzi prostą drogą do zagubienia sensu emigracji, do sobkostwa, widzimisiostwa, kultu własnej osoby, a w końcu do rozstania się ze społeczeństwem emigracyjnym.

Emigrację pojmuję jako pewną ideę, koncepcję polityczną, w której udział biorą d o b r o w o l n i e jej wyznawcy. A jeśli nie biorą udziału, to już ich i n d y w i d u a l n a sprawa. Tyle, że wtedy nie mogą sobie rościć prawa do tytułu emigrantów p o l i t y c z n y c h, a tym bardziej do wtrącania się w sprawy emigracji. Są bowiem emigrantami albo z przypadku, albo dla wygody życiowej, albo dla zarobku, albo dla fantazji. Nazwa obojętna, dość że nie są emigrantami politycznymi.

Nikt nikogo na emigracji nie pociąga do odpowiedzialności za wychwalanie Gomułki, za uznawanie rządu komunistycznego w Kraju, za branie paszportu konsulatu PRL lub Zjednoczonego Królestwa. Kto chce, może sobie jeździć tam i nazad dla przyjemności lub robienia interesów w zniewolonym Kraju. Kto nie chce, nie musi i nie powinien nazywać się emigrantem politycznym. Chodzi tylko o to, aby podział był jasny i widoczny. Aby ci, dla których emigracja polityczna jest błędem, maskaradą, zabawą cieni, wieszeniem nad Polską, fikcją etc., pozostawili ją łaskawie w spokoju. My, emigranci polityczni, będziemy się bez nich bawić w legalizm. W ogóle, po co ta dyskusja, jeśli P. Malkiewicz stoi na stanowisku indywidualnego rozstrzygania, co politycznie słuszne, a co niesłuszne i neguje oraz wykpiwa emigracyjny „legalizm"? Albo — albo.

Bo — wracam do wątpliwości wyrażonej w pierwszych słowach tego listu — podejrzewam, że co do „podstawowych zasad niepodległości" wcale nie jesteśmy zgodni z P. Malkiewiczem, i dlatego też, w konsekwencji, różnią nas poglądy na sprawę wyjazdów do Kraju. Poza wysuwaniem rozlicznych wątpliwości co do prawdziwej sytuacji w Kraju, P. Malkiewiczowi, jako historykowi, zbyt miła jest idea przemian politycznych. Pisze np.: „Kiedyś prawa feudalnych baronów były słuszne, potem prawa królów z Bożej łaski, potem 'święty egoizm narodowy' rozpalał umysły i konkurował z różnymi postaciami 'woli ludu' — a jutro?"

„A jutro?" Oto jest pytanie, które nas różni. „P. J. B. nie ma co do tego wątpliwości" — pisze P. Malkiewicz. Nie mam. Nie mam wątpliwości, że narzucony Polsce ustrój i władza są sprzeczne z dobrem państwa i narodu. I że na to istnieje emigracja, aby to głosić i wszelkimi dostępnymi sposobami dążyć do zmian w Kraju. Drogi do uznania lub porozumienia z przemocą nie widzę. Sianie wątpliwości co do tego uważam za dywersję. A za jeden z osłabiających emigrację przejawów kompromisu uważam wyjazdy do Kraju.

Szczegółowe uzasadnianie tego poglądu będzie próżne, jeśli wyjdziemy z odmiennych założeń, jak to proponuje P. M., wysuwając dwie tezy wstępne: że każdy ma prawo ustalać własną politykę emigracyjną i że trzeba się poddać biegowi historii. Zresztą nie mam nic do dodania do raz już wyłuszczonych argumentów.

A teraz kilka spraw drugorzędnych.

Pisze w swym liście P. M. o moich wywodach: „bardzo to polskie". Ogromnie byłoby to pochlebne, gdybym się mógł zgodzić na twierdzenie, jakoby typowo polskie było „przekonanie, że własna sprawa jest zupełnie słuszna (a więc cudza zupełnie łajdacka)". Pisząc „dochodzenie wszelkimi sposobami s ł u s z n o ś c i własnej sprawy" użyłem tzw. w stylistyce pleonazmu, tzn. dokonałem skrótu niepotrzebnie gadatliwego zdania, które w całości mogłoby mieć brzmienie następujące: „dochodzenie wszelkimi sposobami własnej sprawy, j e ż e l i j e s t s ł u s z n a". Ponieważ jednak mam do czynienia z historykiem, a nie z polonistą, śpieszę zapewnić, że oprócz figury stylistycznej uważam w chwili obecnej tę sprawę, o jaką walczy emigracja, za „zupełnie słuszną", a cudzą za „zupełnie łajdacką".

Na dowód zmienności celów w polityce przytacza P. M. dzieje Burbonów i Habsburgów oraz programy partii brytyjskich. Sądzę, że sprawa Habsburgów i Burbonów była tylko pośrednio sprawą Austrii i Francji, ale głównie była to sprawa Burbonów i Habsburgów, i rzeczywiście nie przestają oni jej nadal uważać za niezmienną. Tak samo sprawa Gomułki i komunizmu jest tylko pośrednio sprawą wplątanej w to Polski, ale w rzeczywistości jest to sprawa Gomułki i jego partii. Gdy jednak mówię o sprawie p o l s k i e j, mam na myśli wolność i suwerenność mojego narodu, które są, przynajmniej od 10 wieków, sprawą n i e z m i e n n ą. Gdy zaś mowa o torysach i laburzystach, pisałem już poprzednio, że taktyka w polityce, zwłaszcza wyborcza, zmienia się, lecz, jak sam Malkiewicz przyznaje, „od początku ten sam ultra-socjalistyczny program", i każdy inny program, pozostaje niezmienny. Cele są niezmienne, taktyka zmienna.

Nie pisałem, że „spędzenie wakacji gdziekolwiek na świecie jest walką o konkretne cele narodu", lecz tylko i wyłącznie, że wyjeżdżanie dla osobistej przyjemności do Zakopanego jest odstępstwem od idei emigracji politycznej.

Nie ośmieszałem w żaden sposób „wewnętrznego zmagania" ludzi chcących wracać do Kraju, przeciwnie, napisałem, że najuczciwszym zaspokojeniem tęsknoty i rozwiązania trudnych problemów życiowych jest powrót do Kraju. Ale na stałe.

Mało mnie interesuje, co w Polsce deklarował przyjaciel P. Malkiewicza, natomiast wiem, że każdy emigrant odwiedzający Kraj, a zwłaszcza czujący potrzebę publicznego deklarowania czegokolwiek, to woda na młyn reżymowej propagandy.

P. M. kwestionuje ścisłość podanej przeze mnie cyfry „półtora miliona Polaków w łagrach i więzieniach" sowieckich w chwili obecnej. Chętnie sprostuję tę cyfrę, jeśli mi tylko miłośnik ścisłych faktów, P. Malkiewicz, poda inną, dokładną. Wiem, że tylu mniej więcej Polaków zapodziało się gdzieś w Sowietach i łudzę się nadzieją, że może jeszcze żyją. W każdym razie nie widzę

powodu, żeby tę stratę odpisywać w rozmowach z Anglikami dla skaptowania ich przyjaźni jako niebyłą.

Gorszy P. M., że śmiem twierdzić, iż w Kraju „28 milionów musi się zachowywać jak intruzi". Niestety m u s i, podczas gdy turysta z emigracji godzi się na to dobrowolnie.

Czy należy wyrażać wdzięczność Gomułce, jak zaleca św. Tomasz? Pewnie tak, ale mi to trochę przypomina ogłoszenia z gazet: „Panu Złodziejowi, który zechciał mi zwrócić dokumenty i fotografie ze skradzionej torebki z gotówką, składam tą drogą podziękowanie". Od razu dodaję, że Gomułki nie posądzam o żadną niemoralność osobistą. Jestem wszakże przekonany, że nie zamierza on spełniać żadnej innej roli jak tylko przywódcy partii komunistycznej, wykluczając jakąkolwiek inną formę ustroju poza dyktaturą partii inspirowanej z Moskwy. Inną rolę przeznaczają mu tylko „rewizjoniści", krajowi i emigracyjni, do których tępienia, nawiasem mówiąc, zabrał się teraz Gomułka z zawziętością.

Zarzuca mi wreszcie P. M. „słabą znajomość stosunków w Polsce", nieznajomość sądów osób przybywających z Kraju oraz także „anglosaskiej mentalności". Sam zaś mieni się porte-parole społeczeństwa w Kraju, masy emigracyjnej, a także wspomnianych Anglosasów. (Chesterton zaklął by szpetnie.) Nie pretenduję do konkurencji w rozeznawaniu się w mentalności ostatniej grupy. Wierzę na słowo Panu M., że każdy Anglik, który odwiedził Polskę, „kwestionuje co drugie twierdzenie" emigranta polskiego, jakoby w naszym Kraju było „źle", aczkolwiek wcale co innego czyta się w angielskiej prasie i książkach.

Co do masy emigracyjnej natomiast, którą mi P. M. przeciwstawia jako „maluczkich" i rzekomych „emigrantów z przypadku", muszę zaprotestować. Znam tych ludzi dobrze i często się z nimi stykam. To przeważnie byli żołnierze, moi koledzy. Trudno ich postawę określić inaczej niż postawą walki. I to nie oni jeżdżą do Kraju, tylko panowie inteligenci, studenci, malarze, poeci, handlowcy. A w ogóle nie rozumiem finezji rozróżnienia na „maluczkich" i wielkich. Przecież te same zasady i to samo postępowanie obowiązują nas wszystkich. I „wielkich" i „maluczkich".

P. M. wyraża zdanie, że goście z Kraju są „niemile zaskoczeni poglądami, jak i całą mentalnością, à la p. J. B.". Widać z różnymi gośćmi zdarzyło się nam rozmawiać. Aby nie być gołosłownym i nie powoływać się, jak P. M., na mitycznych anonimów, pozwolę sobie przytoczyć zdania dwu młodych ludzi z „Merkuriusza Polskiego" (nr 104-105): „Dopiero w pewien czas później, gdy na zachód zaczął przyjeżdżać szerszy wachlarz młodzieży z Kraju, można było stwierdzić, czym dla nich jest istnienie emigracji i jak bardzo chcą oni, żebyśmy byli emigracją nieustępliwą, bezkompromisową." (J. Iranek-Osmecki). A studiujący obecnie w Szwajcarii p. Aleksander Łuczak, który opuścił Polskę przed 26 miesiącami, pisze: „Jestem przeciwny również tendencji rozbijania i lekceważenia emigracji. Tylko pełna wolność w Kraju może przekreślić istnienie emigracji politycznej. Tymczasem tej wolności nie ma, jest więc emigracja, i ona ma pewne, choć ograniczone pole działania". P. Łuczak pisze również: „Dlatego też, jakkolwiek uważam, że sprawa wyjazdu do Polski jest prywatną sprawą każdego wyjeżdżającego, to jednak oficjalne wyjazdy ludzi znanych są szkodliwe, tym bardziej, jeśli godzą się oni na jakieś oficjalne wystąpienia."

Więc jakże? Może jednak nie wszystkich ludzi z Kraju i nie całą masę emigracyjną P. Andrzej Malkiewicz reprezentuje?

J. B.

P.S. Osobie, ukrytej pod literami M. M., która mi w poprzednim numerze „naurągała", chętnie się wytłumaczę, jeśli mi najpierw wyjaśni, co rozumie pod „krytyką chrześcijańską" i „kulturą serca".

OD SIOSTRY MARIETTY MARTIN

„Je vous remercie vivement de m'avoir envoyé le numéro de décembre 1958, de ŻYCIE...

Voulez-vous dire à M. Zdzisław E. Wałaszewski que ma mère, mes enfants et moi, nous sommes extrêmement émus par son article. La sûreté de son instinct lui a suggéré un portrait d'une parfaite véracité; la subtilité de sa pénétrante analyse, lui fait rendre un précieux hommage à une âme et un talent d'une exceptionelle qualité. C'est par une amie polonaise venue en séjour à Londres, qui a apporté votre revue en Pologne où elle a été lue et commentée par les amis qu'y a laissés ma soeur, que j'ai eu connaissance de l'étude de M. Wałaszewski..."

Lucie A. Rosé

Wypis z listu p. Lucie A. Rosé, siostry Marietty Martin. Pani Rosé zwróciła się do nas o przesłanie numeru gwiazdkowego ŻYCIA ze studium Z. E. Wałaszewskiego pt. „Marietta Martin — poetka mistyczna XX w." O artykule zawiadomili ją przyjaciele z Polski. **(Red.)**

NA TEMAT KSIĄŻEK „VERITASU"

...Korzystam ze sposobności, aby skreślić kilka słów pod adresem „Biblioteki Polskiej". Przed świętami czytałam z dziewięciolatkami kłótników Kozarynowej i przyszłam do przekonania, że jest to najcelniejsza książka dla dzieci wydana po wojnie. Wejdzie do żelaznego kapitału podobnie jak „Wspomnienia zielonego mundurka" Gomulickiego. „Srebrną ostrogę" dostał mój wnuczek na gwiazdkę, jest to pierwsza książka, którą sam czyta, więc widocznie mu odpowiada (mnie mniej), przy tym zauważyłam, że czytelnicy do lat dziesięciu gubią się w dialogach i wolą styl opisowy. Pomimo dużego napływu książek z Kraju, zawsze ozdobą naszej biblioteczki są „Białe dzieci na czarnym lądzie", tylko Pawełek obyty z literaturą misyjną, patrząc na okładkę, powiedział: „Co, już trędowate, bez nosów?!". Federacja kobiet wydaje tu swój Informator, umieszczam w nim recenzje, w najbliższym numerze będzie „Dom starej lady"; z niecierpliwością oczekuję „Pana Henryka" i „Panią Helenę" — chyba te książki znajdą czytelników...

M. Małachowska

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XIII Nr 3(564)

Marzec 1959 r.

Wydaje:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", 12 Praed Mews, London, W.2

Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt. **Prenumerata** (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-, dol. 1.50, fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-, dol. 3.00, fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-, dol. 6.00 fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej. **Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi 'crossed' (//), **b) w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego, **c) we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 łam £1.5.0, dol. 3.00., fr.fr. 1000. Kolor 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Spolem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A., **Vistula (Aust.) Pty Ltd.**, Daking House, Rawson Place, Sydney, N. S. W. **Belgia: Mme E. Kulakowska,** 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. — Pren. kwart. 60 frs. **Brazylia: ks. dr Antoni Łatka,** Praca Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: W. Olszewski,** 39 Avenue de la Republique, Bessancourt (S. et O.) C. C. P. Paris 13512.43. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Vatra Trade,** 277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjednoczone: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **Miss Alicja Kowalczyk,** 12135 St. Aubin Hamtramck 12, Mich. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto poczt. Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja: Mgr B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 8.00 krs. **Włochy: Antoni Grzybowski,** via Michele Amari 52, Roma.

PAX ROMANA ROŚNIE

(Dokończenie ze str. 33)

gościnności gospodarzy, którzy nie zostawili niemal chwili wolnej, bo z wyjątkiem zdaje się jednego wieczoru, wszystkie były zajęte wycieczkami, przyjęciami, przedstawieniami, etc.

Nasuwa się pytanie, czy tego rodzaju „kolosalna“ impreza warta jest kosztów i szalonego trudu, jaki kierownictwo Pax Romana musi w to wkładać. Pax Romana to ruch a b i n t r i n s e c o intelektualny. A wszelka masówka jest zaprzeczeniem atmosfery intelektualnej, uniemożliwia rzetelną pracę myśli, wymagającą skupienia i po prostu fizycznej możności ogarnięcia. Zarówno uczestnicy muszą się czuć „ogarnięci“ jak też i oni muszą „ogarniać“. Słowem: impreza taka nie może przerastać „ludzkich“ rozmiarów i proporcji. Przecież w takich wypadkach nie może chodzić o „demonstrację“. A więc pora na pytanie: czy kongresy w tej formie nie stały się już nazbyt wielką machiną, aby mogły przynosić te korzyści, których należałoby się po nich spodziewać?

Anna Tokarska

*) Francuski skrót nazwy: Międzynarodowy Ruch Studentów Katolickich. Analogiczny skrót angielski: IMCS.

KSIĄŻKI NADESŁANE

BOLESŁAW WIEWIÓRA — GRANICA NA ODRZE I NYSIE ŁUŻYCKIEJ W POLITYCE ZACHODU. — Wydawnictwo Poznańskie. Poznań, 1958, str. 120.

OSTATNIA PRÓBA GERMANIZACJI ŚLĄSKA OPOLSKIEGO. — W opracowaniu prof. Kazimierza Popiołka i mgr. Wacława Sobańskiego — wyd. Zachodnia Agencja Prasowa, Poznań, 1958, str. 35.

ALBERT CAMUS — CZŁOWIEK ZBUNTOWANY (L'homme révolté) — Biblioteka „Kultury“, t. XXXIV. Wyd. Instytutu Literackiego. Paryż, 1958, str. 514.

JAMES BURNHAM — REWOLUCJA MANADŻERSKA (The Managerial Revolution) — z piętnastego wydania amerykańskiego oryginału przełożył J. Horzelski — Biblioteka „Kultury“ t. XXXV. Instytut Literacki, Paryż, 1958, str. 277.

TADEUSZ KATELBACH — ROK ZŁYCH WRÓŻB (1943). — Biblioteka „Kultury“ t. XXXVI. Wyd. Instytut Literacki, Paryż, 1959, str. 223.

JÓZEF ŁOBODOWSKI — PIEŚŃ O UKRAINIE — z przekładem na język ukraiński ŚWIATOSŁAWA HORDYŃSKIEGO — Biblioteka „Kultury“ t. XXXVIII. Wyd. Instutut Literacki, Paryż, 1959, str. 33.

STEFAN KORBOŃSKI — WARSAW IN CHAINS — przekład z polskiego NORBERTA GUTERMANA. Wyd. George Allen und Unwin Ltd. Londyn, 1958, str. 319. Cena szyl. 30/-.

HARRY WELTON — THE THIRD WORLD WAR. The Pall Mall Press Ltd. Londyn, W. C. 2. Zamówienia do: F.C.I. Book Service, 4, Holland Road, London, W. 14, str. 336. Cena szyl. 21/-.

VIII ROCZNIK POLSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO NA OBCZYŹNIE. — Rok 1957/58. Londyn, 20 Princes Gate, S. W. 7, str. 116. Cena szyl. 10/-.

TEKI HISTORYCZNE — POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE NA OBCZYŹNIE, t. IX. Nakładem Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego. Londyn, listopad 1958, str. 142. Cena szyl. 12/6.

NIEPODLEGŁOŚĆ — czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski — tom VI (po wznowieniu). Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego) Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski. Londyn, 1958, str. 288.

THE POLISH REVIEW — kwartalnik. — Tom III nr 3. 1958. Wyd. Polskiego Instytutu Sztuki i Nauki w Ameryce. New York, 145 EAST 53rd Street. N.Y., stron 127. Cena numeru dol. 1.25. Roczna subskrypcja dol. 5.00.

PORADNIK KULTURALNO-OSWIATOWY nr 210. Grudzień 1958. Wyd. Polska YMCA w Europie Zachodniej. Londyn, str. 48.

W. DIAMAND — W POSZUKIWANIU TŁA, WYTYCZNYCH I DRÓG POLITYKI ZDROWEGO ROZSĄDKU — nakładem własnym 51 stron powielanych. Sao Paulo, B. Sta Cecilia, r. Albuquerque Lins nr 1198, Brasil.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.